

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Marek Nowakowski

Silna gorączka

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

KOCIOŁ

To śmieszne o tym pisać, tylko wstyd. To zaczyna się przeważnie od takich zajobów–kotłów w środku, te żelazne szczęki, które trzymają człowieka w spokojnym nastroju, rozluźniają się i zaczyna się kołowanina, cały ciąg spraw wy- łązi ze spodu natrętnie, wszystkie drańskie i męczące. I to jest szpas, nie można sobie z tym dać rady. Albo jeszcze inaczej – jest ze mną ktoś, dziewczyna, liczę na nią, mój świat to również ona, duży kawał mojego świata, pozbyć się jej – to znaczy wyrwać coś z siebie, coś stracić – cholernie bolałoby to. Więc na początku są lekkie jakieś niepokoje w środku, idziesz do swojej dziewczyny, liczysz na Bóg wie jaką jej wszystkowiedzę albo taką mądrą, przenikliwą samiczą intuicję, przychodzisz do niej sztywny jak drut, taki szklisty, ostry, wsłuchany w swoje drgania i winy cholerne i czekasz na tę jej wszystkowiedzę, z ogromnym napięciem czekasz... Napięcie jest tak drańskie, że nigdy, choćby już dziewczyna dochodziła powoli, po omacku do twego bólu – że nigdy nie przyjdzie wtedy spokój, to Coś jadowite, które siedzi w tobie przyczajone, dopiero zaczyna wierzgać, odpychasz wszelką pomoc, ona, myślisz wtedy jak w transie, ona jest w świetnym nastroju, ona nie może pomóc, ona jest obca, ona nic nie rozumie, ona jest przeciw tobie ten łańcuch nie kończy się. To drańskie Coś, które zniszczy cię na długie tygodnie, już się zaczęło... Najgorzej, że nie wiadomo, kiedy wyskoczy to z ciebie.

Bo wtedy było zupełnie dobrze i nic nie wskazywało na to, że zacznie się wielki klops. Wstałem raniutko, pogwizdywałem nawet, ogoliłem się, zjadłem śniadanie i próbowałem zabrać się do roboty, ale nic mi nie wychodziło, sprawa raczej prosta, ostatnio przez tydzień nad tą robotą siedziałem, więc jestem wypłuty i na razie nic z siebie nie wyduszę.

Poszedłem do pracowni galanterii plastikowej. Do tego Ładnego Współczesnego. On tam pracował, właściciel tego interesu też młody, w ogóle wszyscy tam młodzi, modni, tacy życiowi chłopcy, co po studiach postanowili nie bidę klepać, ale forszę zarabiać. Tego Ładnego Współczesnego poznałem niedawno, fajny facet, ostrzyżony krótko, jakby amerykański chłopak, a przy tym nie krzykliwy, nie głupio pewny wszystkiego jak ci inni modni współcześni, co to takie rozróby niby–bitnikowskie robią, niby zbuntowani, niby straceńcy, a w ciuchy drogie się ubierają i od starych niemało waluty dostają (bo kupa wśród nich jedynaków z zamożnych, solidnych domów – więc te ich bitnikostwo gówniarskie i zenujące). Ten mój znajomek, Ładny Współczesny, też w dzinsach niebieskich, krótki włos na bok i chód taki typowy miał, koci, przeginany, taki deanowski chód. Ale polubiłem go, bo on bez tego wrzasku frajerskiego, uważny, bystry i bardzo na życie ciekawy, bardzo na życie zachłanny, i wyczułem go, że nie tchórz, ryzykant raczej w odróżnieniu od tych wszystkich w dzinsach, co to nigdy w niczym dupy nie umoczą. A przy tym był dla mnie symbolem tych współczesnych chłopaków, i czułem się przy nim trochę jak mędrzec, stary

i doświadczeniem wyładowany, stary już choćby dlatego, myślałem czekając aż skończy wykrawać na maszynie duże, różowe damskie torby z plastyku, więc stary dlatego choćby, że bezzębny (ta górna, pusta szczeka) i bronchit chroniczny, typowy dla palaczy mam, maszyna do szycia tych torebek terkotała sucho, do pracowni wpadły dwie furkoczące halkami dziewczyny, ładne i pogardliwe, szczebiotały zalotnie z tym moim znajomkiem, on gadał z nimi niedbale, przymilały się do niego, on z tą swoją taką jakby amerykańską urodą powodzenie u dziewczyn miał, imponowało mi to, bo za śmiały nie jestem.

Śmieszna ta nasza znajomość, myślałem, i to, że ja tak jak starzec, mędrzec czuję się wobec niego, ale coś z prawdy w tym było, najważniejsze już to, że on zawsze trzymał z rówieśnikami, czy to w domu, czy na studiach, czy teraz w tej plastikowej robocie, on ciągle wśród tych chłopaków roślących, dobrze ubranych, kocio chodzących; a ja miałem zawsze do starszych skłonności, w dzieciństwie jeszcze do tego się rwałem, ci starsi jak tytany dla mnie, i odtąd tak mi się układało, że ze starszymi ciągle – a chociażby ci węglarze albo ci z więzienia, te cwaniaki, zakapiory, pomarszczone, siwe chłopcy, i ja z nimi, na równi przez nich traktowany, taki mędrzek małoletni, więc

siłą rzeczy mam w sobie coś starczego, coś od nich, nie zapalam się byle czym, mało mówię i nie przepadam za efektownym pozerstwem, szumem, całą tą fanfaronadą młodych.

Wreszcie skończył szyć te w guście Chmielnej torebki i wyszliśmy z pracowni. Cieszył się, że go odwiedziłem, on chyba też mnie lubi, może bawię go jako okaz nie znanego mu sortu, siedzimy przy kawie, on mówi, co tam kawa, wypijemy coś, I zaszliśmy do knajpy. Chlupnęliśmy po dwie pośpieszne. Poczulem się w niebie. To moje niebo to takie ożywienie, sprężystość większa, gadam chętniej, a jak mam fajnych ludzi koło siebie, to trochę błaznuję, taką mowę na błysk mam, ten sposób na błysk związany jest z moimi przeżyciami, które po wódce mocniej ciąży, właściwie czy-stego aktorstwa w tym mało, może to być chęć pokazania się ludziom mało mnie znającym – dokładniej, barwniej, w ogóle jest to też jakaś rekompensata za stan przed wódką, bo wtedy nastroszony jestem, skryty, szary, nieśmiały też, ustępuję chętnie i daję się za nos jak wiejski Jasio wodzić.

A więc gadka przy gorzale to pokazywanie takich błyskotek, kolorowych piórek, odgrzewanie wszystkiego, co już dla mnie kolor straciło. On, Ładny Współczesny, pięknie słuchał, te oczy jego wchłaniające moje miny, coraz taki dziwny ruch dłonią, takie zaciśnięcie dłoni w półpięść. Zresztą niektóre moje gadki... Na przykład ta, jak w celi kapusia nocą w koc owijają i robią mu podrzut – do góry i na beton, łup, łup, albo to rozprawianie małoletnich frajerków, te ohydne, pełne wspomnień o dziwkach rozmowy starych wyrokowców i to ich

lubieżne spojrzenie na upatrzonych, i to, jak tych upatrzonych dokarmiają, dolewka, kawałek chleba, więcej tłuszczu, no weź, masz, popal se, i cały czas przy tym takie pożądanie gęste, niecierpliwe... Więc te niektóre moje gadki, z dobrze wymierzonym szczegółem, gwarą więzienną nieco szpikowane – niezłe nadają się do słuchania. A on słuchał pięknie.

Chlupnęliśmy jeszcze po większej. Potem zaczęło się tempo. Do kumpli moich, postanowiłem; do tych, co poświadczą sobą moje opowieści, no, jasne, do nich. Taka trasa cyrkowa, taki obchód menażerii (i w tym jestem śmierdzący błazen, bo przecież sam mógłbym tam...)

Początek przy dworcu, tam pod rozkładem jazdy wózek z czeską biżuterią, przy tym wózku baba z głębą jak sagan, taka warszawska Mamuńcia, cwaniara jak lichy, o oczkach okrutnych, chyttrych, co to w niedzielę popielice, wkłada i dwadzieścia deka złota na łapy, przy Mamuńci krząta się Genek Łapka, czarniawy, o żydowskiej twarzy, taki złodziej-emeryt, kochanek Mamuńci, jej pokorny pomagier i pochlebca. To etap pierwszy. Lubimy się z Genkiem, siedzieliśmy kiedyś razem – więc wypijamy teraz ćwiartkę w bramie. Mamuńcia przykazuje surowo, tylko ćwierć i ani łyka więcej, Mietek, też niezły aktorek, rozpoznał w tym moim Ładnym Współczesnym wdzięcznego słuchacza i od razu błyskotki swoje wyciągnął, gada kminą, wspomina więzienne pierepalki, wspomina siebie z czynnego życia, był wtedy z niego niezły złodziejski fachowiec, rozstajemy się wreszcie, bo Mamuńcia pokrzykuje niecierpliwie, Ładny Współczesny chce żegnać się z Mietkiem, lecz ten cofa swą dłoń, mówi z namaszczeniem, lepiej się witać niż żegnać, odchodzimy, Ładny Współczesny oszołomiony, tłumaczę mu z zadowoleniem, to taki zwyczaj fatalistyczny urków, bo żegnać się pachnie wpadką... Zmierzamy teraz do budki z piwem, ten punkt niedaleko Mamuńci, trasa doskonale zorganizowana. Ta budka w dobrym miejscu, zawsze przy niej jakieś okazy. Teraz na beczce przegniłej siedzi Adolf Jąkała, taki staruch, co nocą handluje kwiatami, pijany jak bąk, gada z trampem, zbieraczem śmietnikowym, obaj fioletowi, brodaci, Adolf pomachuje naręczem kluczy do wind, kluczami handluje w dzień, a nocą wtyka rozbawionym parom pęczki fiołków i róże pod kawiarnią.

Wchodzimy do kiosku od tyłu, to tylne wejście tylko dla zaprzyjaźnionych, znam doskonale tego w kiosku; facet jak góra, z wąsikami maleńkimi, zupełnie jak szynkarz z powieściowej speluny, wizerunek klasyczny, bo i brzuch baloniasty, i fartuch brudny, i łapy jak kloce, porośnięte rudawym włosiem. Przyjaźnimy się od dawna, popijamy porter, fajnie siedzieć w kiosku i spoglądać na korowody ludzi zdmuchujących pianę, wypijających zachłannie tę najtańszą zaprawkę – duże jasne.

Adolf krzyczy cienko: – Nie mmam, nnie...

Ten zbieracz śmietnikowy zręcznie podwija mu nogawkę, na nodze Adolfa suchej, ze smugami brudu, kilka banknotów dwudziestozłotowych przyciśniętych podwiązką.

– ... bo tto to mnie – zaperza się Adolf – tto na czarną gggodzinę...

– Widzisz – mówię do Ładnego Współczesnego – jakie smutne, wariackie życie.

On patrzy ze skupieniem, zamyślony i poważny jakiś.

Myślę: „Duży cyrk robię, taki pokaz gratów, ale program dziś dobry, bo i komplet, i dużo usłyszy ten Ładny Współczesny”.

Jestem już trochę zaprawiony, postanawiam, na Dół pojedziemy; do tych cwaniaczków–szakali, co zbierają się tam przy rogu Czerniakowskiej i Śniegockiej. Tak, na Dół. Ładny Współczesny cały przeniknięty już gotowością do tej egzotyki nieznanej, wódka potęguje jeszcze jego chłonność, jak prądem wyładowany tą gotowością.

Mówię do niego z powagą, skanduję słowa jak kamienie: – Tam zbierają się same kozaczki, rozumiesz, fajnie tam, speluny z wodą, tylko – cmokam z frasunkiem – trochę wygląd masz taki podpadający, te farmerki niebieskie, to uczesanie i but nosaty, ten sweter moherowy...

Ładny Współczesny zastanawia się, mówi powoli, no tak, oni nie lubią tego wszystkiego, tego frajerstwa, może być kocka z tego powodu i obciach dla ciebie... (Cha, cha, on już używa tego cwaniacko–łódzkiego żargonu, te słowa od Genka, Dodka Piwiarza wpadają w niego jak w studnię.) Nagle twarz mu się rozjaśnia: – Płaszcz zapnę i chociaż tego swetra nie będzie widać.

Dodek Piwiarz patrzy na mnie z uśmiechem, mówi: – Gdzie go ciągniesz, rozfartowałeś się już, w cug się szykujesz – klepie mnie swoją łapą–klocem po plecach.

Dodek uważa mnie, za równego chłopą, nie wie, że tyle we mnie kombinacji, udawania, w ogóle gnoju takiego, co wszystko zapowietrzy. Już ciemno, szukamy taksówki, wreszcie mamy i pędzimy (ten motyw też ważny, taksóweczką jedziemy na Dół, wygodnie w samochodziku zdążamy do osobliwego życia w rejonie Czerniakowskiej i Śniegockiej).

Na Dole całkiem czarno, bardziej niż na górze, bo tu latarń mało, jesteśmy na miejscu, ta Śniegockiej uliczka wąwoziasta, ponura, z parku dobiegają przeciągle okrzyki: „Hija! Hiiija!!!” To Rysiek Długi ten okrzyk wymyślił, doskonale pasuje do tutejszej scenerii, pusto, stare, poobijane domy, ten park szumi, w parku pijaków rozbierają, co krok to meta, co krok to ci szakale z Dołu obślizgują cię uważnym spojrzeniem i przy tym wszystkim to: „Hija” – jak zawołanie szczepowe lub okrzyk wojenny,

– Więc jesteśmy na Dole – ogłaszam patetycznie.

Mijamy dwie rudery, brama, schodki bez poręczy, i już to mieszkanie, Długi rozwalony na tapczanie stęka żałośnie, do południa, mówi Iza, przyprawił i teraz odsypia, na podłodze raczkuje dzieciak, to dziecko Długiego i Izy, dwóch cwaniaków siedzi przy stole, pokrzykują do dziecka: „Hija, hija” – niech się przyzwyczajają, mówią, jeden z tatuażem na dłoni, o ostrym, przebiegłym spojrzeniu, to spojrzenie obmacuje uważnie Ładnego Współczesnego, drugi to Polder, brat Witka, dobrze się zapowiadającego kozaczka, co to zakłuli go nożami na Chłodnej, zemsta to była, Polder nieboszczyk okradł kiedyś kozaczka z innej ferajny, i za to go właśnie. Ten Polder II też niezły zakapiorek, mówi do nas:

– Git, że przyszliście, złożymy się na flaszkę.

Wstał już Długi, jak tę rozmowę posłyszał, wysoki przystojniak, podniszczony mocno, kiedyś najlepsze dziwki w nim się kochały, teraz on już tylko na Dole siedzi i z Izą żyje, z tą Izą ruchliwą, zwinną, o twarzy jak łasica, bez wieku i zniszczenia, gładką, bladą. No i zachlustaliśmy niezgorzej na tym Dole. Byliśmy jeszcze u drugiego równego chłopaka, u Bródki (Bródka dlatego, że nosi krótką, gęstą brodę, tu zjawisko prawie niespotykane). Bródka znów ma period nieszczęsny, dwa lata nie pił, mieszkanie przez ten czas urządził nowoczesnie, mebelki jasne, kinkiety, cepeliowskie obrusy i dwa garnitury sobie sprawił, i znów złapał go ten period potworny, chla (on ma taki notes i w nim te cugi–periody zapisuje, każdy dzień cugu krzyżykiem oznacza, długie te periody, trzydzieści–czterdziestodniowe), drobniejsze ciuchy już sprzedaje i oczy ma takie biedne, żałosne, jakaś bezradność w nich mistyczna wobec tego periodu–potwora. Więc siedzimy u niego, mój Ładny

Współczesny zdążył mi szepnąć o Bródce swą opinię, cholernie interesujący facet, trochę to mnie zezłościło, bo jakim prawem taki byczek zdrowy, ładny – tak o Bródce, a ten Polder II i cwaniaczek z tatuażem raz po raz zerkają do szafy, tam w tej szafie dwa garnitury.

Myślę: „Oni go schłają, Bródka głodny gorzały, więc tak go schłają specjalnie, żeby jeszcze na jeden łyk miał wielki apetyt i wtedy powiedzą, no, Bródeczko, waluty już nie ma... i pokażą mu te garnitury... on skinie głową umęczony i głodny, oni te garnitury w mig wyniosą...”

Myślę: „Nie mogę do tego dopuścić... Lubię Bródkę, i żal tych garniturów, Bródka ciężko tyra, a przecież inteligenciak z niego, teraz tokarz, Kwietny rzemiecha samouk, łapy ma pościerane i jak róg twarde, szkoda... Samouk rzemiecha dlatego, że on kiedyś urzędniczą posadę miał, ale jak zaczęły się te wody długofalowe to z pracy go wywalili, i wiedział, że dalej z każdej takiej urzędniczej posady będą go wywalali, więc nauczył się tokarstwa, wiedział, że z takim fachem wszędzie go przyjmą, i jest to jego życiowe zabezpieczenie... I teraz znów rozwała mu się wszystko, te mebelki, garnitury diabli mogą wziąć, będzie znów chład do dechy, samotnie, byle tylko woda była, będzie zamykał się na klucz i gorzałę ciągnął, będzie marzył, żeby już ta gorzała wykończyła go, bo przecież nie może z tym sobie dać rady..., szkoda...”

Mówię do Poldera II: – Nie patrz tam, w tę szafę, nie patrz!

Wściekłość nagle ogarnęła tych szakali, Poldera II i cwaniaczka z tatuażem, co ty, warczą, a ten z tatuażem nawet od tyłu mnie zaszedł i chciał trzasnąć, tylko Długi go odciągnął, Długi w tej sprawie z garniturami rozdarty boleśnie, wie, że z ciuchów woda, a znów głupio mu trochę, co ty, Krzysztof, powtarzał, co ty, a do nich, chłopaki, co wy, wreszcie udał pijanego i sztucznie zachrapał. Byłem już w strachu, jedyny sojusznik wycofał się. Ładny Współczesny nie wie, o co chodzi, bładzi oczyma po nas i nic nie wie. Bródka przyssał się do butelki i pije

zachłannie, nic go teraz nie oderwie, a w oczach tych dwóch szakali chciwość i złość.

Polder II, taki mały, nabity jak bryłka osiłek, czółko na dwa palce i graby jak młoty, podsuwa się do mnie i warczy, ty nie znasz jeszcze ręki Poldera, nie znasz... I wtedy Ładny Współczesny zauważył tatuaż na ręku drugiego szakala, taka nad dłonią tapeta ozdobna, czaszka, naga baba, a wyżej święta panienska.

Ładny Współczesny zachwycił się, pochwalił te tatuaże. Polder II zazdrosny, rozpiął koszulę na piersi i pokazał mu swoje tatuaże. No, nieźle, ten Ładny Współczesny rozładował trochę tę parszywą sytuację. Zaraz zbudził się też Długi i opowiedział historyjkę o Polderach, oni są z rzeźniczej rodziny, mówił, ich tatuś krew świeżą z wołu wypijał dziennie trzy szklaneczki, tak, przytaknął Polder II, to jest najlepsze, taka krew, sam koncentrat...

A później Bródka otrzeźwiał jakby, udało mi się szepnąć o tych garniturach.

Nieznaczenie wymknąłem się z mieszkania, za mną Ładny Współczesny..

Myślałem: „Nie wiadomo co będzie z tymi garniturami. Bródka miał takie błędne, obce oczy”.

Ładny Współczesny powiedział: – Ale meksyk, ale typy, ale życie...

Przytrzymałem go za rękaw i powiedziałem zduszonym głosem:

– Mogli nas zabić, kapujesz, kosami zarżnąć.

Jego radosne spojrzenie stężało nagle w oszłomieniu.

Po chwili dodałem:

– Ale musiałem się wtrącić, bo Bródka równiak.

Wyszliśmy na ulicę. Ładny Współczesny odetchnął głęboko.

– Tak, to duży charakterniak – przytaknął – a oni mu chcieli przewalane zrobić. (Już bez przerw gwarzy więziennie-cwaniackiej używał.)

Z tym zarżnięciem to –lipę wstawiłem, znów teatralność przemówiła ze mnie, owszem, czasem coś złego zrobiają, ale w warunkach dobrych, gdzieś na uboczu, choćby w parku, tam, owszem, ten Polder II zmarszczyłby czółko na dwa palce, oczy białe od gorzały i zażarte, tam w parku mogliby, na przykład, rozebrać. Ale to nieważne, bajałem nieprzerwanie, dalej ten Dół malowałem na czarno, tydzień temu zegarmistrz stąd pił po śmierci żony, wypatrzył go Polder i chodził za nim cały dzień, wreszcie wypatrzył go w parku, kosę wyciągnął i forszę zabrał. To prawda, ta opowieść bez

picu, ale po co to gadałem, już garnitury Bródki mi zobojętniały, tylko podniecony jak po dobrym przedstawieniu snułem krwiożercze opowieści.

Sprawa raczej wyrazista, co za kołomyja robi się ze mną, to wyszukiwanie nastrojów, te wędrówki, potęgująca się kołomyja.

Ładny Współczesny – barczysty, z otwartą gębą, w takich obcisłych farmerkach, zgrabny jak świca, na pewno tańczy znakomicie, tak specjalnie, z wygibami, na pewno tak, dziewczyną owija, jej kiecka fruwa, nogi w wirującym szale, oni przecież prywatki często robią, adapter, niekiedy magnetofon, wino, wódka i taka wesoła, młoda zabawa idzie pełną parą. Więc z nim ta moja ponura kołomyja, ten obchód menażerii, bo on chłodny, pełen ciekawości życia, jeszcze takiego, on myśli, z taką egzotyką i ja z nim te kołowroty robię, jak wrak, błazen, taki bezzębny, niestary przecież, a jakby wypalony nygus ze mnie. Zawstydzilem się trochę, głupio przecież. Szybko wynieśliśmy się z Dołu.

Jesteśmy w śródmieściu. Ładny Współczesny cieszy się wrażeniami, pasuje mi to wszystko, powiada, idzie ulicą zaczepny, wyzywający. Przy sklepowej wystawie przystaje obok dziewczyny z dumną, czystą twarzą. Coś gada, ona, ta wyniosła dziewczyna, uśmiecha się do niego, spodobał się jej, ma taką twarz portretową, piękną, uśmiecha się przyzwalająco do niego. Ładny Współczesny za nic ma jej przyzwolenie, całą tę chęć w jej niebieskich, wielkich oczach psuje od razu, mówi do niej tak, te, równiaczka, jak chcesz, to możemy się zblatować, zachichotał uszczęśliwiony. Jej mina, niesmak, oburzenie; odeszła.

Wtedy pomyślałem: „Pójdziemy do mojej Eli”. Zawsze po tych wycieczkach do niej wracam, czasem przyprowadzam ze sobą tych różnych facetów poznanych na trasie, lubię tak wracać, pokazać jej, poznać ją z kimś interesującym, to jak gdyby przecież usprawiedliwia moje włóczęgi, więc bogata galeria typów przewinęła się przez to mieszkanie Eli, dziś też będzie nowy, Ela zawsze fajnie ich przyjmowała, nigdy zła, cieszyło mnie jej opanowanie, bo żadna to właściwie przyjemność dla niej, nudą przecież siedzieć wśród miotających się i zaprawionych, cieszyła mnie ogromnie ta jej wyrozumiałość dla mnie.

Gites zaprawka, cieszył się Ładny Współczesny, dobrze, że jeszcze nie koniec...

Zapukaliśmy do niej. Ładny Współczesny mamrotał, ale ty masz mety wszędzie, w całym mieście... ho, ho...

– Moja lalczka – przedstawiłem Ładnemu Elę – równiaczka, duża równiaczka.

Tak, pamiętam, w ten sposób powiedziałem, Ładny Współczesny potknął się o próg, ale zwinna z niego sztuka, wykonał przysiad, podskok, nie przewrócił się, taki jak sprężynka, smukły i bardzo obcisłe ubrany. U Eli była koleżanka, pulchna rumiana lekarka, twarz okrągła, śmiesznie tłusta i w tej okrągłości grymas gorzki przy ustach, dziwnie ostry grymas.

Ten grymas stąd chyba, opowiadała mi Ela, że ta lekarka w swych sprawach z mężczyznami zawsze doznaje zawodu, nie wychodzi jej nic, te jej miłości rozwiewają się już na początku, mówi mi Ela, że ona za bardzo staroświecka i sztywna.

Ela dziś bardzo fajna. Wino wyciągnęła. Miła. A przecież wiem, co to za męka być wśród zaprawionych, nuda na trzeźwo przysłuchiwać się bełkotom i widzieć gęby wódą pokrzywione. Szepnęła też mi Ela, że mógłbym skończyć już tę zabawę, cały dzień przecież...

I jak zabraliśmy się do wina, pomyślałem tak: „Ta Ela niby tak bardzo moja, oddana, wierna, a byle czym można przecież udowodnić, że nie jest nigdy tak, żeby ktoś bezwzględnie i prawdziwie należał do kogoś”. Wrednie pomyślałem, bez żadnego powodu. Tyle w oczach Eli zaufania do mnie, trochę smutku, że cały dzień tak się tytłam w wódzie wędrownej. Ale ja byłem już z tą gębą swoją, niby kamienną, i ten skrzyw ust wredny, zły. Zaczynałem też mówić

lekceważąco, po alfonsiacku, takie maniery lewe miałem przy winie, no, lalka, daj coś na ząb, i może jeszcze trochę wińska, no... Rozparłem się niedbale, gęba coraz bardziej wredna.

Ela poszła do kuchni robić zakąskę, ja za nią, oczy już miałem nieufne, przeciw niej oczy, i mówię słodko, ładny chłopak, nie, taki współczesny modniak, polubiliśmy się, będę z nim kolegował się.

Wypiliśmy wino, potem skoczyłem do dozorczyńni po wódkę, na zakąskę był boczek i pomidory.

Ładny Współczesny dobrze się poczuł, gadkę zalotną, towarzyską wstawiał. A u mnie w środku ten kocioł zaczynał już wrzeć, bulgotać, co kieliszek obsuwałem się coraz głębiej, Ładny Współczesny rozprawiał gestykulując, obserwowałem pilnie Elę, patrzyła na niego niekiedy, myślałem, podoba ci się ten w dzinsach byczek, ona chyba skrycie lubi takich chłopaczków, pełnych życia, prostych, świeżych, zawsze za takim okiem strzeli, na pewno pociąga ją taki lżejszy konszacht z chłopami, bez tych moich zajobów, nastrojów, tego jadu, no tak, ona jak. najbardziej obca, chyba z rozpędu tylko trzyma się mnie.

Przypominałem wszystkie takie jej spojrzenia na ładnych w kinie, na ulicy, w kawiarni, zaczął mnie ogarniać rój tych jej spojrzeń, ona coraz bardziej obca, jak wróg dla mnie, a ja frajer, ciężki frajer, myślałem, oszukany frajer, obsuwałem się coraz głębiej...

Na głos zaś, całą twarzą, przytakiwałem tokowaniu Ładnego Współczesnego, mieniłem się sztucznym zachwytem, kiwałem głową, Ładny Współczesny zadowolony, tokował coraz bardziej, szpikując to nieco powiedzonkami z Dołu... Ela zna te moje obłudne gierki, więc i teraz wiedziała, że to potakiwanie Ładnemu Współczesnemu wyraża moją wrogość wobec niej, pogardę, obojętność. Złapała mnie fala nienawiści. Myślałem: „Aż piszczysz za takim smacznym gdakaniem, pełnym przechwałek i zalotności słodkiej jeszcze przy tej jego urodzie, zdrowej, jasnej, ty mała blond jak aniołek dziwko, to ci jest potrzebne jak powietrze, on podoba ci się, taki pociągający swą modną młodością, takie oczy niebieskie, lekko skośne i brwi zrosnięte, a jeszcze te ruchy jego kocie, deanowskie, tak, tak – wgrzyzałem się zaciekle w swoją nienawiść – dość już masz tych moich siupów, tej mojej mordy wyblakłej, zmęczonej, tej paszczy z zepsutymi zębami, grymasem jakimś zawsze wykrzywionej, obłudnie tylko udajesz, ale to kłamstwo, więc dać ci tylko sposobność, więc...”

Ładny Współczesny nachylił się nad radiem, znał jakąś stację z dżezem znakomitym, zaczął suwać galką, wreszcie złapał tę stację, śpiewaczka ochrypla, głos niski, wibrujący. Ładny Współczesny zatańczył z tą lekarką pulchną i w miłości nieszczęśliwą. Wyginali się, nie myślałem, że ta wertrowska pulchność umie tak prężyć się i dygotać zadkiem, włązili w siebie, okręcali się, ta lekarka popiskiwała nawet, i jej podobał się Ładny Współczesny. A Ela patrzyła na ten taniec od niechcienia, ziewnęła nawet w dłoń, niby stateczna, niby obojętna, ale też ci się chce tej zabawy, blonddziwko, zgrzytnąłem zębami, niezły kocioł u mnie, wir jak ten

taniec (teraz właśnie kręcili się jak frygi), cały się rozwalałem, klepka po klepce.

Skończyli tańczyć. Lekarka zadyszana, radosna. Znów dżez bełkotliwy z radia popłynął.

– Teraz niech Ela też – powiedziałem – zatańcz, no...

I Ela zatańczyła z Ładnym Współczesnym. Przez cały czas tańca sączyłem wódkę, nie smakowała mi już właściwie, ale ten kocioł w środku potrzebował wody jak ogień drzewa. Ela wiruje, wygina się, Ładny Współczesny przytupuje, Ela uśmiecha się, przegina głowę, piersi jej falują, śmiech coraz bardziej natarczywy, niby to towarzyski śmiech, ale nie, to tokowanie samicy, odzew na zaloty samca, sprawdza się wszystko, myślałem, zacisnąłem pięści pod stołem, byłem prawie pewny swego, tylko jeszcze parę minut, może trochę więcej, i już, niekiedy jeszcze przeciw tej pewności jakieś resztki rozsądku występowały, przecież sam to organizujesz, kierujesz cały czas tym spektaklem, co chcesz od Eli, ona nie chce, ale zaraz ten rozsądek osuwał się gdzieś na dno, przywalała go jadowita pewność, że już nic nie ma oprócz kłamstwa i złudzeń, zaraz zresztą to się okaże, szeptało mi Coś w środku, przecież ten taniec też ci chyba wyjaśnia, spojrziałem na Elę, rozchylone usta, zadowolona, no, to Coś ziało pewnością, no...

Zerwałem się od stołu, szarpnąłem Elę za rękę, przyciągnąłem do siebie i wykręciłem jej dłoń, to było bardzo bolesne, ale twarz Eli nie wyraziła nic.

Ładny Współczesny zbaraniał na chwilę, ponieważ jednak przywykł już dziś do nieoczekiwanych efektów, spokój wrócił mu na twarz i nawet uśmiechnął się wesoło. Ela usiadła przy stole i wypła duszkiem dwa kieliszki gorzały.

Zacząłem śmiać się paskudnie, mam taki śmiech parszywy, prowokujący (coś w tym z błazna i pogromcy), spojrzałem też z zadowoleniem na rękę Eli, mocno wykręciłem, czerwona obrączka na przegubie i chyba puchnie już.

Powtarzałem szeptem, ty dziwko, dziwko... Ta koleżanka Eli, lekarz, przerażona, jej zmętniałe oczy wpatrywały się we mnie jak w roroga. Ściągnąłem twarz, karczemność zdusiłem w sobie i powiedziałem bezbarwnym głosem: – Po prostu uniosłem się, zresztą to nie ma znaczenia, ona jest zwykła... (przeżułem przekleństwo) – powtórzyłem – zwykła... – Krzysztof – odezwała się błagalnie Ela – jesteś zmęczony, niech on już pójdzie stąd, niech wyjdzie ten chłopak, po co on przy tym...

Odepchnąłem ją. – Udowodnię ci – wykrztusiłem – zobaczysz. – Co mam udowodnić, nie wiedziałem dokładnie, byłem jednak pewien, że stanie się coś takiego, co skopie mnie i zeszmaci do ostatka, przecież starannie zająłem się całą sprawą... Nikły głos rozsądku odzywał się jeszcze, przecież, mówił mi, jesteś niezłym reżyserem, ta heca z Dołem i Ładnym Współczesnym piękna robota reżyserska, więc nic się nie stanie, umiesz reżyserować, więc reżyseruj odpowiednio, ale zaraz natrętnie pojawiała się to Coś w środku i wir ogarniał mnie ze zdwojoną siłą.

Pulchna lekarz spojrzała chyłkiem na Ładnego Współczesnego, podobał się jej ten chłopak, zalotnie wybałuszała gały. Ładny Współczesny poprosił ją do tańca, w tańcu uśmiechał się pięknie, ujmująco, ona skręcała się pod tym jego zabójczym spojrzeniem, podniecona, dysząca, i piersi jej miękko kolebały pod sukienką.

Ela siedziała z opuszczoną głową, nogi szeroko rozstawione, taka sylwetka zmęczona i nieefektywna.

Ładny Współczesny i lekarka usiedli na dywanie pod szafą, ona blada, dyszała śmiesznie, on objął ją w pół, zachichotała, taki chichot historyczny, napastliwy, on uśmiechnął się ujmująco, pulchna lekarka przymknęła oczy.

Zacząłem też chichotać, ona już prawie rozpracowana, myślałem: „Taka staropanieńska i sztywna, pełna surowych wymagań wobec mężczyzn, miłości, tu na dywanie topi się jak wosk i tylko tłuste piersi coraz szybciej falują, gorzkie zmarszczki wokół ust jakby zatarły się, i ten chichot jej wyzywający”.

Więc ten chichot, kombinowałem, to prawda najgłębsza o niej, bo tamto, marzenie o wielkiej miłości, gorycz niespełnienia się ideału to tylko pozór, to obłudna skóra, i tylko ta zmysłowość dobywająca się teraz z jej tłustego ciała mówi coś o niej, choć może i to, i tamto prawda o niej, jednakowo ważna.

Ela nadal tkwiła w tej pozycji zmęczonego człowieka, nogi szeroko rozstawione, głowa wtulona nisko, była jakaś chuda, biedna, coś mamrotała monotonicznie.

Zaciekawiony wsłuchałem się w to mamrotanie, ona powtarzała: – Dlaczego to zrobiłeś, boli mnie ręka... dlaczego... – Zrobiło mi się jej żal, przecież ona niczemu nie winna, to ja jestem bydlę, kołuję dziewczynę, siedzi zupełnie złamana; ale ten kocioł w środku nie pozwolił mi być za długo sprawiedliwym. Jednym gwałtownym posunięciem zamotałem wszystko i po raz drugi spojrzałem na Elę już tylko z mściwą nienawiścią. Ela nie patrzyła na mnie, w ogóle pogrążona w jakichś posępnych rozmyślaniach.

Ładny Współczesny wstał z podłogi, zatoczył się bezwładnie i plecami rąbnął w oszkloną szafę, szkło posypało się z brzękiem, on już porządnie zaprawiony. Zaprowadziłem, go do kuchni, podstawił głowę pod kran, puściłem strumień wody, trochę go to otrzeźwiło, powtarzał głupawo, ale u ciebie git meta, dziweczki równe, ho, ho... (Ten żargon cwaniacki był już wyłącznym jego językiem dzisiaj.)

„Więc on nic dalej nie kapuje, nie wie dotąd, że Ela to naprawdę moja dziewczyna, po prostu dla niego dziweczka równa, uważa to mieszkanie za metę, swoją drogą bystry on nie jest, dla niego wszystko dzisiaj jest metą i dziwką, to ładny głupek” – pomyślałem bez złości.

Wesoły, równy, dansior zawołany, niefrasobliwy byczek, nieźle takiemu, takie psie, pijane oczy, uśmiech ujmujący, otwarty, i ta fajna, krótko strzyżona, na bok przylizana czupryna.

To i dobrze, powtarzałem, doskonale, sprawdzi mi się wszystko w oczywisty, bez niedomówień sposób, jeszcze sekundy, minuty, wiedziałem, sprawdzę wszystko, doprowadzę do końca, to jest nieuchronne.

Wróciliśmy do pokoju. Ładny Współczesny objął lekarkę, przytuliła się miękko do niego, twarz miała zadowoloną, wyczekującą, pogładził ją po policzku, zachichotała. Ela płakała cicho.

– Co za cmentarz! – ryknąłem – bawić się! – Na cały regulator nastawiłem radio. Ładny Współczesny i lekarka poszli do drugiego pokoju, on wychodząc zerknął na mnie chytrze i zamknął drzwi za sobą. Potem zza drzwi śmiech, jego głos, jej szept, tupot, szelest, radio huczy... Ele popłakiwała nadal.

– Przestań beczeć – szydziłem okrutnie zaraz i ty z nim zatańczysz. Nie bój się, ja dopilnuję kolejności... A ładny z niego chłopak, przystojniak, co... i taki zdrowy, przejrzysty, nie nadgniły...

Co ja od niej chcę, nie wiem, ale zastawiałem tę sieć na nią gęstą i głos mój taki zimny, bezbarwny, twarz bez wyrazu, obca. Ela podniosła dłoń do góry, palce wpiła w policzki. Ustał tupot, ustały głosy, cisza w tamtym pokoju.

„Więc już” – pomyślałem. Ostrożnie zajrzałem tam. Chwycił mnie śmiech, z trudem zdusiłem. Oni leżeli na tapczanie. Splątani, ruchliwi, kłębili się na tapczanie. Ta lekarka, dusiłem się śmiechem, taka cnota godna, woda ją wzięła, Współczesny ją wziął.

Pociągnąłem Elę za rękę. – Patrz – szeptałem – wszystko się sprawdza. – Co się sprawdza, nie wiedziałem, ale czułem, że do czegoś to prowadzi.

Ona spojrzała na skłębione, obnażone ciała. Wyrwała mi się gwałtownie. Podbiegła do stołu. Tę resztkę wódki wypić z butelki. Oczy zupełnie błędne. „Już skołowana” – pomyślałem.

Widok tej koleżanki lekarz, z uporem szukającej prawdziwej miłości, niezłomnej w tych uczuciowych wątkach, zdecydowanej i nieugiętej; teraz splątanej z Ładnym Współczesnym w bezwstydnym układzie na tapczanie – mnie też przeraził. I po raz pierwszy w tym spektaklu poczułem strach i niepokój, ale zwracać już nie można, za późno. I dalej mówiłem spokojnym, bezbarwnym głosem (sam jad w tym głosie):

– Widzisz, twoja przyjaciółka, wzór niedościgły, te jej czyste, nie spełnione marzenia... i teraz... na wszystko jest sposób... bycza kuracja... A i ty – ściszyłem głos do świstu – zobaczysz... – Oczy Eli błędne, pełne zwierzęcego strachu, zupełnie już skołowana.

Oni wrócili do pokoju roześmiani, trzymali się za ręce, Ładny Współczesny jeszcze bardziej pijany.

Pulchna lekarka rozczochrana, uśmiech na jej twarzy sztywny, napięty jak grymas. Wtedy pomyślałem: „Ona tak sobie postanowiła, ona chciała Tego wszystkiego nie od dziś i w tej okazji postanowiła To zrobić...”

Ela wybucha histerycznym płaczem. – Idźcie stąd! – krzyczy – idźcie...

Znów przeszył mnie strach. Co z tego będzie? Ale nie mogłem długo się zastanawiać, martwisz się, powiedziałem sobie, zobaczysz, lepiej wcześniej niech ci się oczy otworzą, nie możesz stchórzyć.

Ela podbiegła do pulchnej lekarki, chciała ją uderzyć, źle wymierzyła, trzepnęła dłonią w ścianę, mocne uderzenie, dłoń czerwona, spuchła jak befsztyk...

– Balecik, balecik się zaczyna – mówiłem swoim ostrym, z wielu igiełek złożonym głosem. – Teraz – zwróciłem się do Ładnego Współ

czesnego – powinieneś zatańczyć z Elą. Jej też się należy – mrugnąłem do niego znacząco.

On ciągle nic nie rozumiał, przeniknięty tą pozorną zabawą, radosny i zadyszany, pewnie te wszystkie baleciki mu się przypominały, na studiach czy już w tej galanterii torebkowej, chata wolna, zbiera się ich kilku, dziewczynki modne też są, tańczą, mino żłopia; to wszystko prowadzi do wesołego, przyjemnego końca (najwyżej kilka bolesnych westchnień i wielkich miłosnych przyrzeczeń).

I ten balecik tutaj spodobał mu się bardzo, bo taki inny, z obudową ciekawszą, to wykręcenia Eli ręki (cholernie spuchła teraz, widzę), ta lekarka bezwolna... Nic Ładny Współczesny ni rozumiał.

Teraz nagle rzucił się skokiem do korytarza. Ale drzwi trzasnęły mu przed nosem. Stukot obcasików na schodach. To pulchna lekarka uciekła. Szybko, zrećnie wymknęła się z mieszkania. – Jedna już po zastrzyku – zażartowałem po chamsku.

Ela zaczęła czesać się starannie, upudrował nos, chusteczką przetarła oczy, już nie płacze, twarz jak maska, blada, zastygła. Strach patrzeć. Ona zdecydowała. Nie patrzy w ogóle na mnie. Oczy skupione, zimne. Zdecydowała. Strach zaświdrował natarczywie.

– Tańczyć! – ryknąłem. – Tańczyć!... Ba, więc się!

Tańczyli. Sączyłem to wstrętne, owocowe w: no, we łbie jeden wielki wir, nie ma spokoju, ni ma nic, wali się wszystko, po co złudzenia, upić się, kierować sprawą do pointy, podpowiada to wszechwładne Coś, już niedługo, zobaczysz spustoszenie, oni tańczą zajadle, ładny chłopak, świetne wygiby i nuci tak dziko, gardłowo, Ela uroczyście, skupiona, nie ma już nic...

Oni zwolnili tempo. Ładny Współczesny przycisnął Elę, pocałował. Nie bronila się. Więc już. Przesunęli się do drugiego pokoju. On zaczął nogą, tak po cwaniacku, nieznacznie przymykać drzwi.

Dostrzegłem twarz Eli. Dziwne to, była przecież potężnie pijana, chwiała się, a twarz jak odlew, nic w niej nie rozłaziło się (zwykle przecież po wódzcie twarz jak wata, rozmamlana), i oczy miała przenikliwie, ostre.

Opuściłem głowę. Nie było odwrotu. Tylko wir w środku, i nie sposób żadnej znaleźć rady. Podszedłem do nich, popchnąłem silnie Elę, upadła na tapczan jak kukielka.

– Na razie – wykrztusiłem – zostaniesz sama... bez nikogo... Ale może – dodałem – później zdecyduję inaczej...

Ładny Współczesny poszedł za mną. Przystanęliśmy w bramie. Było już dobrze po północy.

„Pójdę na Polną – pomyślałem – mam jeszcze forszę, będę pił na placu.”

Ładny Współczesny przytrzymał mnie za rękaw.

– Oh, zostawiłem zegarek tam – szepnął.

Popatrzyłem na niego z uśmiechem.

– Muszę dokończyć baletu – rzekł mrugając chytrze lewym okiem.

– Dobrze, pękaj!

Odszedł. Zostałem sam. Popatrzyłem za nim. Taka zgrabna, sprężysta sylwetka.

Na Polnej ruch, badylarze zjeżdżali taborem, wozy z piramidami kapusty, kalafiorów. Lampki przy wozach migotały jak błędne ogniki.

„Więc klops” – pomyślałem i szybko przygryzłem wargi, bo bardzo wyć, ryczeć mi się chciało.

Kręciłem się po placu. Właziłem w gromady handlarzy i chłopaków w butach z cholewami. Chciałem spotkać kogoś znajomego. Pogadać, napić się wódki. Przy kiosku dreptały dziwki. Może któraś znajoma? Ukłoniłem się. Poczestowałem papierosami. Stare, wysłużone dziewczyny. Nie znam ich.

– Może masz chęć – zapytała któraś – nie wstydz się.

– Nie – odparłem – wracam z baletu. Tam było tego po uszy...

Roześmiały się.

Od baby w fufajce kupiłem ćwiartkę z zakąską. Cztery dychy to kosztuje. Na zakąskę kawałek ciepłej kaszanki. Rozglądałem się niecierpliwie. Nikogo znajomego. Podjeżdżały taksówki, wysiadali faceci. Niektórzy w czarnych garniturach, odstrojeni, pewnie zjechali tutaj z nocnych knajp i dansingów na doprawkę. Ulicą przechadzał się milicjant, ale blatny, bo baby z wódką w słomianych koszykach nawet nie zwracały na niego uwagi.

Ten Książę Nocy, Rysiek, co ma wariackie papiery, wyrósł przede mną niespodzianie. Wynurzył się z za wozu z pomidorami i chwycił mnie za rękę.

– Witam w królestwie nocy – powiedział. – W moim królestwie...

Z nim się napiję. Wyciągnąłem butelkę. Książę pociągnął z flaszki. Nie żałowałem mu. Zakrztusił się i wylazły mu oczy. Przystawiłem sobie do ust butelkę. Zaleciało ostrym, jakby denatu-

rowym. smrodem. Właściwie nie miałem już chęci pić. I trzeźwy też byłem, jakbym nic nie pił, trzeźwy, diabelnie zmęczony i pusty jakiś wewnątrz, jak wydrążony, nic nie myślałem, poruszałem się jak manekin i nie słyszałem, co gada Książę.

Pociągnąłem mały łyk, ale poczułem taki wstręt, że zaraz wyplułem.

– Nie marnuj – wykrzyknął Książę – daj mnie. – Zabrał mi flaszkę i wsunął do kieszeni. Uśmiechał się przymilnie, łasił się do mnie za tę flaszkę.

Jakiś handlarz w skórce po kostki wskazał na Księcia, cała gromadka wybuchnęła śmiechem. Właściwie wszyscy nocni cwaniacy pogardzali teraz Księciem. Łachudrowaty, zawsze bez grosza i stuknięty. Książę pogroził im pięścią. Bardzo zły, dygotał. Taki mały, wychudzony człowieczek. Już i baby za boki się brały od śmiechu. Śmiech ze wszystkich stron. On coraz bardziej jak w febrze dygotał. Też zadrzałem. Ten śmiech ze wszystkich stron. Do Eli parę kroków stąd.

– Chodź – pociągnąłem go za sobą, Ukryliśmy się za wozem.

Znam tego Księcia od dawna, jeszcze z czasów kiedy był z niego sprężysty, cwany przystojniak z cieniutkim jak przecinek wąsikiem, alfonsiak to był przedniego sortu, inteligentny i wymowny, bo i dwa lata studiów miał, zawsze mucha, garniturek. Teraz dwa zęby śmiesznie mu wychylają się spod warg, robi miny niby groźne, żalodne.

Dawniej te jego miny wstrząsały mną, w ogóle Książę ucieleśniał wtedy całe to mitologiczne w mojej wyobraźni, ciemne, skłócone z prawem życie, sny miałem o tym niespokojne.

– Te zęby to chyba ostre masz? – zapytałem z kpiącą miną.

– No, jednemu gardło tak rozorałem, cholernie ostre – wykonał szeroki gest kosiarza. Uspokoił się już, przestał dygotać.

– Jak chcesz – powiedział – możemy się przekimać... Mam tu hotelik.

Poszliśmy. Na końcu placowej uliczki wśród handlarskich bud rozwalony stragan.

...Ładny Współczesny już jest tam. Widziałem dokładnie, jak wchodzi, uśmiecha się ujmująco... To zależało ode mnie. Tylko. Męcząca świadomość. Gdyby nie ta woda... tandetna, teatralna eskapada. Gdyby nie ten atak na Elę, małą, biedną, skołowaną. Gdyby nie puścić Ładnego Współczesnego.

Jeszcze teraz pójść tam, jeszcze jest czas... O, rany, rany...

– Daj łyk – powiedziałem do Księcia. Wypiłem do końca. Ułożyliśmy się na deskach w tym rozwalonym straganie. Książę wyciągnął derkę śmierdzącą końskim potem. Nakryliśmy się. On zaraz zachrapał.

– O, rany, rany – powtarzałem, strach ścisnął gardło, nic nie mogłem zrobić, nic...

To był późny ranek. Wstałem ostrożnie, żeby nie zbudzić Księcia. Przez dziurę w płocie wyszedłem z bazaru. Najbliższa budka telefoniczna przy rogu. Automat czynny. Wykręciłem ten numer. Głos Eli.

– Więc? – zapytałem. I czekałem ściśnięty mocno, największy ucisk w piersiach i gardle.

– Byłam zupełnie nieprzytomna – odpowiedziała po długiej chwili – on położył się obok, nawet nie wiedziałam...

Powiesiłem słuchawkę.

Jeszcze kilka godzin temu nie było tego piekła. I mogło nic nie być. A teraz.

Oślupiały tkwiłem w telefonicznej klatce. Zebrało się już kilka osób. Pukali w szybę. Wyszedłem. Zniszczone wszystko.

Przecież całą swą umiejętność, maskaradową umiejętność włożyłem we wczorajszą historię, miny moje kamienne, odpychające, oczy jak brzytwy, pełne chciwego oczekiwania na jej załamanie, broniła się długo, piła, śmiała się, tańczyła, jednak – kruszyła się jej odporność, nienawiść do siebie rozpętałem w niej, tak płakała cicho, monotonna, kiedy koleżanka lekarz wróciła z Ładnym Współczesnym z drugiego pokoju, i wtedy złapał mnie strach, i nic nie mogłem na to poradzić,

posuwałem się do końca, i jak umiejętnie prowadziłem ten gnilny wątek, znakomicie, każdy szczegół precyzyjnie opracowany, wbijałem w nią oczy, one mówiły, jeszcze nie, ale za chwilę, jeszcze trochę, i...

Ta atmosfera gęstniała, otoczyła Elę duszną powłoką, nie było żadnego wyjścia. Widziałem teraz tę sprawę przeraźliwie jasno. A wystarczyło wtedy tylko wziąć się za mordę, zgnieść

to Coś w sobie, stłamsić, nalewać spokojnie wódkę, pić rozsądnie, żartować, śmiać się, jak to ludzie przy wódce, wreszcie powiedzieć, no starczy już, dość, Ładnemu Współczesnemu powiedzieć idź, późno, cześć.

Ale na kocioł nie ma przecież sposobu. Ten jest dzisiaj, wczoraj nie. I to jest właśnie kocioł. Hodowałem przez trzy lata sprawę z Elą, to najlepsza, powiadałem z promienną pewnością, najfajniejsza sprawa mego życia, wiedziałem też, że wszędzie jest gnój, kupa gnoju, ale w tej mojej sprawie, mówiłem, nie ma gnoju, nie może być gnoju. I przez jeden wieczór zgnoiło się wszystko. I tyle było szans uciec od tego. Tyle. Przecież mogłem Ładnego Współczesnego nie puścić tam, na plac z nim iść, pod końską derką we trzech byśmy się zmieścili.

I dokładnie widzę teraz Elę, złamaną, przerażoną, leży jak worek, traci świadomość, sen ogarnia ją ciężki, zły, on wraca z ulicy, talii Ładny Współczesny, wraca kończyć tę fajną zabawę, ten balet prima sort, myśli pewnie o mnie, ten Krzysztof umie urządzać ciekawskie imprezy, stoi nad Elą w tych farmerkach niebieskich, sztywnych, i cieszy się... Nic nie ma, zawaliło się wszystko. To jest właśnie kocioł.

O, rany, rany, jak ja się pozbieram do kupy,

SILNA GORĄCZKA

To zaczęło się od drapania w gardle, kilku niewinnych kichnięć, niby nic, ale wiem doskonale, że u mnie tak się zaczyna. No i następnego dnia z rana dreszcze i wredne samopoczucie. A miałem akurat przed sobą miły dzień, imieniny kolegi w B. Lubię imieniny u niego, w ogóle mam sentyment do tej rodziny w B., kupiłem zawczasu dwie paczki amerykańców, mizerny prezent, ale kolega wie przecież, że z forszą u mnie rozmaicie, i właśnie złapały mnie te cholerne dreszcze, gorączka. Pełen złości (ale liczyłem jeszcze, że wywinę się z tego), poszedłem na górę do Korwina–Piotrowskiego. Korwin siedział w fotelu, ta jego drewniana noga w skarpetce i bucie obok, czytał książkę. Dawno już takiej nie czytałem, ucieszył się z mego przyjscia, dobra, miłosa książka, mąż, żona i ten trzeci. Wziął tę drewnianą nogę, przypiął, stanął, zaskrzypiało. Ja też tak kiedyś, powiada, znałem jedną mężatkę, zachodziłem do niej, bo mąż na delegacje wyjeżdżał, raz w nocy, u niej, nad ranem, pukanie, psiakrew, mąż wrócił, ona blada, nie otwieraj, mówię, i godzinę walił, wreszcie zmęczył się i wyszedł na podwórze, ja od razu za drzwi i piętro wyżej...

Czułem, że gorączka wzmagą się, oczy pieką, takie szczypanie w kącikach oczu, po tym najlepiej można rozeznac się na gorączce.

Wróciłem do siebie, miałem już pewność, że nie wywinę się z tego, klops, zapakowałem się do łóżka, na kołdrę położyłem jeszcze koc i poduszkę, bo choć dzień ciepły, to szczykałem zębami raz po raz. Nic Korwinowi nie mówiłem, po co, on w tych sprawach chorobowych oswojony, więc co będę mówił mu o jakiejś gorączce, dreszczach, to przy tym, co on miał, tylko mikrochoroba albo jeszcze mniej. Pod tymi betami dreszcze ustąpiły, gorąco teraz i ból głowy. Korwin na gorze protezą stuka, podśpiewuje, odkąd może już swobodnie sikać, po tej operacji pęcherza, przeważnie wyśpiewuje takie legionowe piosenki, wyciąga starczo junackim głosem i stuk, stuk, łązi po mieszkaniu.

Kolega z B. będzie zły, obrażony, pomyśli sobie, że nie chciało mi się albo że inną, lepszą okazję miałem. A bardzo chciałem tam jechać, fajnie w B., zielony domek, ni to chałupka, ni willa, w ogrodzie, śmieszna rodzinka, babka na czele rodu, taka po siedemdziesiątce, oczy ma bystre, zimne, trzęsie całą rodziną, kolega mówił, że u babki bank ziemny nieliczy, po wojnie sklepik z obuwiem miała, kasa pancerna u babki pod łóżkiem, ciężka, metalowa skrzynka, kolega podrzucił troczek od pidzamy do kasety i jak zatrzaszkowali, to przez ten troczek nie zamknęli dokładnie, kolega zakradł się nocą pod łóżko i rękę do kasety wsadził, wyciągnął całą garść banknotów, ale szczęścia nie miał, co najdrobniejsze dostały mu się w dłoń. Ta babka jeszcze ma coś z tego, choć dawno już sklepiku nie ma, jakieś rubelki, dolarki, przypuszcza kolega, i ciągle szuka tego banku ziemnego, ale nie może znaleźć.

Bardzo lubię wyjazd do B., już droga do zielonego domku przyjemna, łąki, wille, chałupy, tak jakby na wsi. A potem imieninowy stół, babka na honorowym miejscu w czarnej sukni z koronkami, nieruchoma, podparła się łokciami, i te oczy zimne, bystre.

Najgorzej, że Ela nie przyjedzie do mnie dziś. Rozłożyłem się, a nie ma co marzyć nawet, żeby ona przyjechała. Jej rodzice urządzają przyjęcie, w ogóle tu przyjęcia, tam przyjęcia, a ja z tą gorączką przywalony kołdrą, kocem i poduszką, to przyjęcie z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin, oboje ukończyli w tych dniach po sześćdziesiątce i w tę sobotę uroczystość. Więc Ela zajęta w domu, a gdyby spróbowała się wyrwać, to dopiero zrobiliby woltę. Chociaż... Ale gdzież tam. Już widzę jej fatra, zza okularów rzuca zmijowate spojrzenie, udała się córeczka, mówi, hm, postukuje paznokciami w poręczę fotela, mama robi bolesne oczy, Eli fater nazywa to ładnie, oczy gazel, no i afera gotowa.

W parę dni potem oficjalna rozmowa, znów bolesne oczy, znów postukiwanki, hm, jesteś już dostatecznie, hm, dorosła, by zacząć, hm, samodzielne życie, i tak często, coraz częściej. Ela myśli, żeby się wyprowadzić, ale do tego na razie nie można dopuścić, Ela kiepsko zarabia teraz, a moje dochody też śmiesznie małe.

Mimo wszystko czuję jednak, że nawet bez żadnego powodu ta wyprowadzka wkrótce nastąpi, zbliża się grudzień, w tamtym roku też w grudniu Ela wyprowadziła się. Znaleźliśmy wtedy sublokatorski pokoik na Powiślu (bo ja jeszcze swego nie miałem i mieszkałem kątem u kolegi w B.), to był skurwysyński pokoik. Do dziś ten smród czuję, co to z kuchni do nas wyłaził i mieszał się z czadem z pieca, smród ryb, starej kapusty, wilgoci, ten nasz pokoik ledwie dziewięć metrów, rano budziliśmy się z bólem głowy, a nawet rzygać się chciało, w kość nam dała ta klitka. Sprawę rozstrzygnął ostatecznie pożar, Ela zasnęła z papierosem, mnie wtedy nie było, no, nie taki wielki pożar, ale zapalił się dywan, makata, materace i kawałek tapczanu. Więc od pożaru amnestia, starzy przyjęli ją z powrotem, niby więc lepiej dla Eli, ale nadal, prawdę mówiąc, kiepsko. Starzy nie dają Eli spokoju z mojego powodu, że pijaczek jestem, że degenerat, że bez zawodu, a ona ma już dwadzieścia pięć lat i nie myśli o żadnej stabilności, ładzie, te rozmowy często, co wieczór prawie, bolesne oczy, stuki paznokietkami w oparcie fotela, i jeszcze cała gama zjadliwych sposobów. Biedna Ela porządnie skołowana.

W parszywy dzień złożyło mnie to choróbsko. Eli nie zobaczę. Tam u nich rejwach, robią sałatki, galaretki, kroją, trą, biją, gnioł. Jej starzy bardzo przemyślni, na te urodziny proszą takiego Eli kolegę z pracy, on im się podoba, magister, rzetelny, spokojny, tak kombinują, żeby ich skojarzyć.

Swoją drogą, to nieprzyjemna wiedza w tej gorączce. Teraz na urodzinach ten facet rzetelny u boku Eli, rodzice uprzejmi, matka mu półmiski podsuwa. Eh...

Stukot powolny na schodach, to Korwin wraca z obiadu. Korwin przed tym ostatnim pobytem w szpitalu zrobił sobie obserwatorium znakomite na balkonie, od tych z budowy kościoła poprosił o jakąś robotę, dali mu gwoździe do prostowania, usadowił się na balkonie i nie minął miesiąc, jak poznał wszystkie kobiety chodzące tą ulicą, obserwacji poddawał takie od piętnastu lat do czterdziestki, dalej, powiadał, nie warto, bo już nic ciekawego, pokazał mi nawet jedną, nigdy jej nie widziałem, a przecież mieszkam dość długo, kobita okazała, chodziła umiejętnie, poruszając tym wszystkim, co najważniejsze, Korwin aż palec sobie młotkiem przytłukł. Dziwnie się dzieje, jak zjawia się w takich sytuacjach siostrzenica Korwina, pani o godnej twarzy i miękkim, aksamitnym głosie, z którego przebijają jednak twarde, nieustępliwe tony.

Korwin zwiewa wtedy niezgrabnie z balkonu albo prostuje gorliwie gwoździe nie patrząc na ulicę. Ta siwa, godna pani domyśla się jakichś nie licujących z wiekiem wuja zdrożnych wątków między nami, bo zawsze, gdy wchodzi do pokoju, przygląda się nam badawczo. Tak właśnie było ostatnim razem, Korwin opowiadał, na tym majątku, zarządzał wtedy PGR-em na Pomorzu, dwie Niemki się trafiły, jedna kiepska, ale druga przy kości, akuratna, wziąłem ją za służącą, grzeczna i domyślna, jak tylko zawołałem wieczorem, to przyszła już w bieliźnie, potem Korwin na tydzień wyjechał do dyrekcji, wracam, a zastępca mówi mi, że coraz to kilku Niemców (oni tam pracowali) zwalnia się do lekarza, jakby jaka epidemia czy co, więc Niemców przydusiłem, i co się okazało, tryperkiem poczęstowani, od kogo, badam, no i wysondowałem, od mojej Niemeczki, a ona znów, też ją przydusiłem, na krzyk ją wziąłem; do więzienia pójdziesz, więc ona była zaraz po moim wyjeździe na wojskowej zabawie, tam jednostka stała, od żołnierzy złapała, mógłbym od niej i ja, zakończył Korwin, ma się rozumieć, odprawiłem dziewczuchę.

Wtedy właśnie weszła jego siostrzenica i tak przenikliwie na nas spojrzała.

Ona ma pewność, że między nami toczą się jakieś świńskie gadki, bo potem Korwin był przez tydzień bardzo małowówny i tylko rozmawialiśmy o polityce.

Już grypa przesądzona, mam paskudny katar, w piersiach rzezi, klekocze. Przyszła ta Baba, co sprząta u mnie i gotuje, przyłożyła ucho do piersi, kazała oddychać głęboko, i cała orkiestra w piersiach mi zagrała.

Baba uznała, że porządne przeziębienie.

– Zapocić się trza – powiedziała – całkiem, do mokrości zapocić.

Dała mi pod koldrę butelkę z gorącą wodą, dała herbaty z sokiem malinowym.

Baba krząta się przy kuchence, mam katar, żadne zapachy nie docierają do mnie, a ona pitrasi przecież zupełną grzybową. Obiera ziemniaki, ładnie obiera, tak jednym ciągiem pokarbowany łańcuch zwisa, ale nie zawsze tak jej wychodzi, czasem łańcuch rozpada się na trzy albo cztery części. Obiera i gada. Ona lubi gadać. Można nawet nie słuchać, ale i tak gada.

– Ta Browarczykowa – mówi Baba – to ona męczy się, odleżyny już ma.

Przestaje obierać, zamyśla się, reumatyzm dokucza też tej Browarczykowej i na płuca zapadała, a przecież najgorszy to ten paraliż.

Ta Baba, rencistka, kolejno chodzi do różnych domów, dorabia sobie w ten sposób. Browarczykowa przy tym, podejrzewa Baba, ma forse chyba w sienniku schowaną, nigdy nie pozwala ruszyć tego siennika, kosztowności pewnie, bo przecież trzy place miała, nieboszczyk mąż zakład prowadził, ale chytra Browarczykowa okropnie... Zawsze rachunki sprawdza, chciała raz brukselkę na obiad, nie było brukselki, Baba kupiła cykorię, Browarczykowa też lubi, przyniosła tę cykorię, a Browarczykowa minę robi i mówi, tak nie można samodzielnie decydować, Baba pochrząkuje śmiesznie, na wspomnienie tej sprawy ogarnia ją oburzenie. I sama jak palec z taką chorobą, Baba jest miękkiego serca, bierze ją wzruszenie nad nieszczęściem Browarczykowej. Baba jest pobożna i modli się za Browarczykową, co msza o niej pamięta... Korwin po obiedzie śpiewa cholernie donośnie, nawet słowa dolatują na dół, śpiewa: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani”... Od razu pomyślałem o tym zdjęciu Korwina nad łóżkiem. Ułan z szabłą, wąs zakrecony, to Korwin w 20 roku. Ten wielki portret, a ma ich kilka, Korwin w szkole Rontalera, Korwin przed swoim „Belwederkiem” (tak się jego pałacyk nazywał) w tyrolskim kapeluszu, więc ten wielki portret ceni szczególnie, dziewczyny wtedy, mówi wzruszony, latały za mną, ten okres łączy się również z samodzielnym gospodarzeniem, dostał wtedy ojcowiznę, trzydzieści włók, więc i z tego chyba powodu wzrusza go portret ułański. Pewnie, że z dziewczynami musiało mu iść jak z płatka, taki przystojny z wąsem, dziedzic, te baby za nim... A lubi on konszachty z babami.

Na przykład, on tak zawsze zaczyna, zaraz po szkole rolniczej byłem na praktyce u hrabiego Skrzyńskiego, majątek cacko, powiada, pszenica taka, wysoko unosi rękę, cukrownia i konie, jakie konie, Korwin kocha konie, zna przeróżne ich rasy, araby, słyszę, jak cmoka, angloaraby taki kasztan był u hrabiego, z gwiazdką na czole, pęciny jak trzcinki, ale w tym drugim majątku, ciągnie Korwin, taka żonka administratora, urodziwa, urodziwa to w jego gradacji pozycja wysoka., na przyjęcie mnie zaprosili, ona robiła przednie nalewki, przedtem raz tylko z nią rozmawiałem, po kościele czy coś, hrabia nas poznał, siedzimy w saloniku, urodziwa niewiasta, jej mąż niezły fachowiec, inżynier rolnik, on wyszedł coś załatwić, za godzinkę wróć, powiada do niej, zabaw pana Apoloniusza, no i zabawiła, wybucha Korwin mocnym śmiechem, wąsy mu drgają, na stojąco szepcze mi w ucho, uważasz pan, bardzo chętna była...

Ta Baba rencistka ugotowała grzybową, kotlety usmażyła, na niedzielę smaży zawsze kilka kotletów, bo wie, że Ela do mnie przyjeżdża.

– Wypocić się trza – powiedziała na odchodne i zmieniła butelkę z wodą.

Było mi teraz gorąco, bardzo gorąco, piekły oczy i wszystko dookoła rozmazywało się jakoś, nic dokładnie nie mogłem zobaczyć, nawet twarz tej Baby rozmazała mi się, wszystko nieostre, migotliwe i tańczące. Przymknąłem oczy i jakby schowałem się do wewnątrz, po prostu przywoływałem do siebie różne sprawy i one już same rozplątywały się i snuły, na przykład wystarczał stuk drewnianej nogi, żeby wszystko, co wiem o Korwinie, zaczęło się rozplątywać jak z kłębka. Nieźle mi było, nie myślałem nic o Eli, o jak coś wyłaziło o Eli, to że tak fajnie poprzedni wieczór spędziłyśmy albo ten ranek w kawiarni, kino, to od razu nie pozwalałem takim wspomnieniom rozwijać się, spychałem gdzieś na dno pamięci, nie lubię myśleć o Eli, kiedy wiem, że się z nią nie zobaczę, to nigdy nic dobrego mi nie wróży, same tylko męczące roztrząsania...

Przypomniałem sobie, z wielką przyjemnością zająłem się tym, jak niedawno, może miesiąc temu, rano, chyba koło piątej, zbudziłem się i cholernie źle się poczułem, to nie znaczy, że chory czy coś, nie, tak źle psychicznie, martwo, jałowo. Z łóżka wstać nie chciałem, bo i po co, za oknem znajomy widok, co rano pierwsze spojrzenie tam, kawałek kamienicy naprzeciw, na ścianie rekla-

ma fabryki pasty, wielkie bordo–żółte pudło, nos buta i napis – tylko pasta „Stomar” daje połysk, gałęzie orzechów, prześwitywało niebo, reklamę, zauważyłem, odmalowali, nie mogłem patrzeć tam, dziś było to przykre, jakies nie do wytrzymania, więc nie mogłem zasnąć ani też wstać z łóżka, wreszcie dźwignąłem się, łąziłem po pokoju klapiąc trepkami, pusty, osowiały, chyba z godzinę tak łąziłem, przyszła Baba, wcześniej obiad zrobić chciała, wybierała się do kuzynki na chrzciny, zaczęła gadać o Browarczykowej, ona źle się czuje, Boga wzywała, i koło południa przyjdzie ksiądz z Panem Bogiem. Wtedy już zdecydowałem się, nałożyłem czapkę, pójdę, myślałem, i nieprędko wrócę, tak do ostatniego zmęczenia, wtedy wrócę. I bez żalu, właściwie z ulgą, zostawiłem swój pokój, niby fajny, ulubione książki, miękki fotel, prezent od ciotki, a przecież tego ranka nie do zniesienia, paskudny. Przed bramą zastanawiałem się, gdzie iść, ale nie bardzo mogłem się skupić, jestem wkurwiony, powtarzałem tylko jak katarynka, jestem wkurwiony, i bez żadnego planu pojechałem na dworzec. Dochodziła dziesiąta, koło dziesiątej, przypomniałem sobie, tam na dworcu oni na pewno siedzą. Zawsze na Głównym i w poczekalni kolejki siedzą i ostatek snu wyciskają, bo u nich nigdy nie wiadomo, gdzie następna noc, jaka następna noc, to są sprawy nie do przewidzenia. Dawno już nie byłem na Głównym.

Parszywie teraz po remoncie, ostatnio wszystko odnawiają i przerabiają, zielone ściany, jakies nowoczesności na tym zielonym tle i już nie ma tego długiego, ciemnego korytarzyka, tam było najlepiej siedzieć i kimać, jest na tym miejscu poczekalnia rozjaśniona trupim jarzeniowym światłem. I ławki są kamienne, aż wzdrygnąłem się dotykając twardego, zimnego kamienia. Dawniej to był fajny dworzec, duszno, żółte światło, ławki drewniane, szerokie, przytulnie było, milicja nie tak ostro grasowała, oni tłumnie tu złazili. Albo ten bufet, dawniej jak się należy był, kontuar obity blachą, rzędem tanie wino na półce, i tego już nie ma, żadnego wina, nic... Gdzie oni mogą siedzieć, zastanawiałem się. Oni tu muszą być, bo dworzec to ich stała meta, kiedyś nawet, jak przyszły wagony z sianem, to oni spali w tych wagonach na bocznicach.

Tylko przed bagażownią nic się nie zmieniło, ciemna obszerna wnęka i u góry taka właśnie akurata, żółta, odrutowana żarówka. I rzeczywiście przy bagażowni oni siedzieli. Rudy kimał, ten bez nosa i Dziad też, tylko Felo miał oczy otwarte, czujne. Przysiadłem na parapecie. Felo mrugnął.

– Poznałem – powiedział.

To mnie ucieszyło najbardziej. Bo właściwie taką porządną znajomość miałem tylko z Muzykantem, ale on przeniósł się do Wrocławia. A Felo był tu najważniejszy. Dawniej, jak zwozili śmiecie na szczęśliwickie pole, to Felo cały monopol makulatury i butelek trzymał na tych śmieciach, szopkę sobie nawet tam postawił, byłem wtedy też na wyskoku, piłem z Felem, ale nie miałem pewności, że mnie pamięta.

– Dyla dałem z chaty – wyjaśniłem.

– Staśka była w szpitalu – zaśmiał się Felo – i też dała nogę, a pilnowali.

– Wielu daje dyla – dodał. – Najgorzej to w tych przytułkach, Dziad był. Tak jakoś. I Dziad mówił, trudno uciec. Ale uciec zawsze można, to przecież nie ciurma.

Ten Felo ubrany był prawie jak wojskowy, rogata czapka, płaszcz zielony, przydługi, i pas miał szeroki, żołnierski. Zauważył moje zdziwienie.

– Jeden taki, co z żebrów żyje, dał – wyjaśnił – on sobie skombinował lotnicze, lotnicze bardziej mu pasuje. Litra to kosztowało.

Dziad, Rudy i ten bez nosa chrapali jak na komendę. Dziad zajęczał przenikliwie.

– Ten Dziad – zezłościł się Felo – nie umie spokojnie spać. Taki sen tylko glinów może spowodować. – Głowiłem się, jakby temu Felowi powiedzieć, że chcę z nimi połączyć trochę, w jego paczce chcę, nie wiedziałem, jak zacząć, bo przecież może ten Felo ma mnie za frajera tylko i nie będzie chciał. Felo zdrzemnął się teraz, rogatywka zsunęła mu się na czoło. Do naszego kąta przy bagażowni przyszły też kobiety z tej włóczegowskiej branży. Garbuska i taka niestara, przy kości baba w nieprzemakalnym płaszczu. Całkiem niezła jak na tę branżę, tylko policzki miała odmrozo-

ne jak końskie mięso; przyniosły flaszkę wina, popijały drobnymi łykami. Było już koło południa, kiedy Felo otworzył oczy, wstał, przeciągnął się. Podeszedł do kobiet, tę w płaszczu pocałował w policzek.

– Trza ruszyć się – rzekł.

– My dziś chodzimy za butelkami – zwrócił się do mnie. – Chcesz?

Ucieszyłem się. Pewnie, że chciałem.

I tak chodziłem z nimi, ze dwa tygodnie chodziłem, zbieraliśmy butelki, złom, ze złomem śmieszna sprawa, woziliśmy w dzieciennym wózku bez jednego koła, ja za rączkę trzymałem, Felo i Dziad popychali z boku, spaliśmy w kotłowni na Ochocie, palacz wpuszczał nas chętnie, co wieczór dawaliśmy mu piątaka, a czasem też łyknął sobie przy nas gorzały, w kotłowni gorąco, z butelek i żelastwa można wyżyć, Felo znał takie miejsca, gdzie butelek w bród. Przez cały dzień zbieraliśmy, a szarówką schodziliśmy się na poczekalni WKD-owskiej kolejki, przynosiliśmy jakąś flaszkę. Przychodziły też kobiety z tej branży, tam u nich przeważnie marne są te kobiety, ale oni, ci mężczyźni, i tak są zadowoleni. Dziad na przykład kręcił z garbuską, a Felo z tą niezłą, najmożliwszą z nich, w nieprzemakalnym płaszczu, te ich kobiety są pooblekane w wiele warstw ciuchów, płaszcze, pod płaszczami fufajki, kurty, swetry, nie dojdiesz do końca. Brudne te baby, zniszczone, wiecznie zapite, ale oni, ci mężczyźni, i tak są z nich zadowoleni, Rudy cieszył się jak dziecko ze swojej blatniaczki, moja, gada, mądralinka, ma takie papiery, wytrzasnęła skądś, że niby rna chorobę świętego Wita, i forsę zbiera, chichocze, całe kieszenie forsy, Ta ze świętym Witem dostała kiedyś na poczekalni delirki, zerwała się z ławki, śpiewać zaczęła, „Kiedy ranne wstają zorze”, i nagle podbiegła do takiego faceta spokojnego, wcale nie z branży, czytał sobie gazetę, i cap go za rozporek, ten bez nosa w śmiech i do Rudego krzyczy, twoja z ciebie niezadowolona, gdzie indziej szuka, wpadła milicja, i Rudy bardzo narzekał, straciłem taką babę, nie martw się, pocieszył go Felo, wypuszcza, wróci... Na nas, tłumaczył mi Felo, nie ma artykułu, dlatego nas do puszek nie zamykają, co najwyżej przepędzają. Miał rację, przeganiali tylko, ale to można znieść, w ogóle z Felem człek nie zginie, on umie się krzątać, wypatrzy złom jakiś, to, owo, opylimy i już forsa, więc nic dziwnego, że Rudy, Dziad i ten bez nosa słuchali go we wszystkim...

Z Elą w tym czasie się nie spotykałem, bo na co, zresztą brudny byłem, zarośnięty, ale czasu nie miałem za wiele, ciągle lataliśmy całą paką to po Pradze, to gdzieś po fortach szczęśliwickich, na tych fortach to teraz wielki cmentarz śmieci, z tych śmieci stadion jakiś mają zrobić, popijawę tam urządziliśmy na tych usypiskach dymiących, sprzedawaliśmy wtedy pięćset butelek i w cug, ostry cug, Felo rozebrał tę swoją z odmrożonymi policzkami, ściągał z niej te bety i ściągał, tyle tego było, nago całkiem możliwa, zgrabna, ona mówiła do niego, perelko, Felo później wstał i szepcze do mnie, no, teraz ty... Dym nas skrywał prawie całkiem, taki kwaśny, mocno cuchnący dym, balowaliśmy do rana, a potem w kimę na Główny, bo ranek chłodny, do tego kąta przy bagażowni.

Więc z Elą nie widywałem się, ale i tak ona zrozumiała to wszystko później. Prawdę mówiąc, na to liczyłem.

Felo nigdy nie pytał mnie, dlaczego do nich przystałem, po co, na co, przyzwyczaił się do mnie, on zresztą uważa, że lepszego życia nad takie łażenie nie ma, nie i szlus, powiada, i nikt go nie przekona. Po tej popijawie na śmietniku Felo złapał mędy, drapał się strasznie, naśmiewał się z niego Dziad. Choć i ten Dziad podrapuje się czasem, ich kobiety też czochrają się porządnie, różne są swędzenia, mówi Rudy, od męd, od świerzbu, jeszcze coś wymienił, a jedna z tej branży, jak ją złapało swędzenie, to wstała nawet i czochrała się plecami o ścianę, tak mocno czochrała się, ulga na jej twarzy, wzdychała raz po raz, było to na poczekalni WKD-owskiej kolejki, ci inni z poczekalni patrzyli na tę czochrającą się o ścianę w ogłupieniu.

Drewniana noga Korwina stukocze głucho, tak jakby Korwin znak dawał czy coś, Baba jak ten stuk słyszy, uważa zawsze, że Korwin wzywa pomocy, nieszczęście się stało, taki głuchy, rozpaczliwy stuk. Ten Korwin prawie wcale z domu już nie wychodzi, noga go boli, nie noga właściwie,

ale ten kawałek, kikut, co został, i on w ogóle źle się czuje, po tej operacji pęcherza słaby bardzo. A najgorzej, uważasz pan, wywodzi Korwin, że klaki ta proteza przycina i wyszarpuje.

Jednak na górze u Korwina czasem coś się dzieje, przychodzi taka wdowa pięćdziesięcioletnia, Korwin chwali się, że z tą wdową, ale nie wiadomo. Korwin też mówi, że wdowa ma piętnastoletnią córkę, całkiem do rzeczy, dobrze rozwiniętą. On ciągle opowiada o tej córce, bardzo mu się podoba; przyszła raz ta mała, usiadła naprzeciw Korwina i mówi, ale pan musi się nudzić, głos przy tym przeciąga zagadkowo, filuternie, Korwin wlepił w nią te swoje wieczne głodne, psie oczy, taki sześćdziesięciolatek schorowany, a chciałby, jak cholera chciałby, właściwie ma rację, on mówi, panie, całe życie to uprawiałem, to mnie trzymało, więc i teraz też chcę, bo bez tego wykituję, wyznał tak mi kiedyś, było to rankiem po pierwszym jego bólu, tym piekielnym bólu pęcherza, co to zbiera się w pęcherzu, kap, kap, cały już zbiornik moczu, i wyjść nie chce, rozsadza pęcherz jak balon, opowiadał rankiem Korwin, wyszarzały po tej nocy pełnej opętanego bólu, więc po tym ataku słaby był, zrezygnowany, i zwierzył się, chociaż gadać o tym, o tych panienkach piersiastych, dupczatych i jak tam, przygryzł sine wargi, to mnie trzyma. I patrzy Korwin na tę rezolutną dziewczyneczkę, a ona, oj, co tak mi się pan przygląda, i też oczy do niego robi, zalotne, prowokujące, Korwin zaniepokojony pokuśtykał do kredensu, ale nawet kieliszka wina nie miał, nic, ani słodyczy, więc zaszedł ją od tyłu, starał się stapać lekko, żeby proteza nie skrzypiała, i tak niby żartem we włosy ją pocałował...

Prezent, gorączkował się Korwin, muszę jej jakiś prezent, zniszczony, stary człowiek w zamyśleniu tarł herbowy sygnet (pole z gawronem na wieży, czy jakoś tak się nazywa), i prezent koniecznie, kombinowaliśmy wspólnie, co by tu kupić smarkuli, takie coś nie za kosztowne, bo i Korwin niebogaty, i żeby małej w głowie nie przewrócić, a przy tym radość, przyjemność, powiedzmy, żeby to jej sprawiło. W tych wyblakłych, zmęczonych oczach Korwina intensywność jakaś była, nawet papierosa zapalił (nie wolno mu palić przy tej paskudnej chorobie), w tych wyblakłych, zmęczonych oczach widziałem całe to jego życie długie, ułańskie, kawalerskie, te wyścigi na Polu Mokotowskim, ruletka w Sopocie, bo jak zebrał z pola wcześniej i dobrze opylił, to do Sopotu wyskakiwał, Zoppot wtedy, jechał swoim samochodem, „Lancia” to była, te wszystkie stare knajpy warszawskie widziałem, „Adrie”, „Gastronomie”, „Renesansy”, co to, jak mówił Korwin, lało się szampańskie, i jakie fordansereczki na kolanach siedziały, nie to, co teraz, pff, barachło za przeproszeniem, zgrabniutki, sympatyczne, i szampańskie im na piersi, wzdrygały się, piszczały, a perlisty napój spływał i spływał, i ten Korwin w tym wszystkim, dawny, świetny, krótki wąsik, smoking, trzciniowa laseczka, mężczyzna postawny, urodziwy i jakże wesoły, a o świecie po tym balowaniu drynda i wio, sałata, gdzie tam do pana Jana (stary kawaler bogaty, taki przewodnik w tym życiu bujnym dla Korwina), więc do jego garsoniery na Sienną 12, te częste, w karnawale to co dzień, huczne zabawy w majątkach, zimą kuligiem rozdzwonionym, pijanym, piękne koniki o małych łbach i suchych pęcinach... Patrzyłem na tę zmęczoną, starą twarz, papierosy mu podtykałem, trzeciego już zapalił, a potem przyszła jego siostrzenica, ta pani o szlachetnych, godnych rysach, przyniosła mu jakieś lekarstwa, zastrzyki, Korwin zdążył jeszcze wyrzucić papierosa za okno, nie zauważyła na szczęście. I chyłkiem wymknąłem się wtedy od nich, bo ta pani siwa, szlachetna, o coś nas podejrzewa. A przedtem, przed tą rozmową naszą, była ta karetka, nie mogliśmy dodzwonić się do Pogotowia, Korwin jęczał, krzyczał, spocony, skręcał się i ścierał o ścianę do krwi pięści, wreszcie przyjechał samochód i wzięli go do szpitala. Dopiero po dwóch miesiącach wrócił stamtąd, trochę w kość dostałem, powiedział, dostałem niezgorzej, siostrzenica poszła do apteki, więc zapalił połówkę, ta sala, gdzie leżałem, urologia to była, paskudna sala, sami nerkowcy, pęcherzowcy, jakieś cewki, rurki mają przymocowane, robi się dziurkę w brzuchu i przez tę dziurkę cewkę wprowadzają do pęcherza, tylko w ten sposób można sikać, peczer to się nazywa, ci chorzy, cała zgraja tych chorych, dwadzieścia łóżek, bez nerek albo z kamieniami w nerkach, uremia i inne paskudztwa, przed operacją, po, i cała płatanina tych rurek, cewek i butelek, poważne przypadki, ciągnął Korwin, dużo ludzi na tej sali wykitowało, jeden taki stary, dopiero co go przywieźli, tydzień był albo mniej, cichutki, nie ruszał się, nie jadł, nie krzyczał, tylko jak noc przyszła, to ko-

niecznie chciał wstawać, ale gdzie tam, takie chucherko, jak zlął z łóżka, zaraz zwał się na podłogę, i tylko popatrzyłem na niego, wyczułem, że kipnie, wkrótce kipnie, podkreślił Korwin, mówię tym z sąsiednich łóżek, oni, ech, skąd tam kipnie, nie spuszczałem wzroku z niego, przez dwa dni tak uważałem, sąsiedzi śmieją się, że kiepskie mam wyczucie, i trzeciego dnia koło południa tak nagle uniósł się, jakby wstać próbował (a przecież w dzień nigdy nie wstawał), zaraz uspokoił się jednak i westchnął, kona, powiedziałem wtedy, a ten staruszek przymknął oczy i kipnął, przyszły posługaczki i zakryły go prześcieradłem.

Albo ten drugi, bezwstydnik, z początku myślałem, bo zawsze gadał lekarzom różne świństwa, nic się nie wstydził, raz nawet lekarce, co obchód miała, powiedział, pani doktor, nie mogę dać sobie rady, z wieczora korzeń mi staje i męczy całą noc, ja słucham, Korwin minę robi zgorzowaną, i myślę, o, ten przeholował, porządnie przeholował, owszem, można żartować z kobietami, ale ten za bardzo bezwstydnym, ale gdzie tam, lekarka, a młoda to niewiasta była, uśmiechnęła się i obiecała dać mu zastrzyk specjalny, żeby nie stawał, tam wszyscy świństwa gadają, i racja, później się przekonałem, bo jak to, uważasz pan, te lekarki, pielęgniarki, wszyscy, ciągle przy tych rzeczach manipulują, to basen, to kaczka, to zabieg, jakaś rurka, czyli peczer albo cewnik, ciągle przy tym, to i oswojone na całego. I żal mam do siostrzenicy, zakończył Korwin, bo właściwie ona mnie do życia zmusiła, już po operacji, jak byłem na sali, pielęgniarka odeszła, a ja krwotok miałem i bym spokojnie kipnął, tylko siostrzenica moja weszła akurat i zauważyła, krew kapie spod kołdry, jakieś naczynie krwionośne nie złączone i krew uchodziła, no i siostrzenica zrobiła szum, przybiegli lekarze, na stół mnie znów, a tak bym kipnął, bez żadnego ale bym kipnął... Naprawdę raczej chciał kipnąć, po tej operacji zgaszony, smutny był, nie śpiewał, ale na szczęście za parę dni przyszła córka wdowy, ta piętnastolatka, i Korwin ożywił się, oczy mu rozbłysły i nabrał chęci na nią, co to wtedy trzy papierosy wypalił.

Taka siksa piętnastoletnia nawet nie wie, skąd może wiedzieć, na pewno podśmiewa się po ciachu ze starego, opowiada koleżankom i one też śmieją się porządnie...

Korwin zadowolony, bardzo zadowolony, tylko tę wojenkę wyśpiewuje, i jak ryczy, potężnie, na cały dom, swoją drogą niezły ma głos, czysty, młody nawet, stuka protezą do taktu, o prezencie myśli, chyba już kupił nawet, siksa mu w głowie, i noga mniej go boli, chodzi na ulicę, wyczekuje przy drewniak, rozgląda się.

Ale ta smarkula nie pokazuje się już tyle dni, Korwin zaniepokojony, ale nie za bardzo, wie przecież, na dnie tego oczekiwania wie przecież, że nie dla niego ta smarkula. Smutno mu trochę i nudno. Ten jego pokój nieprzytulny, taki jak cela, i na ścianach te portrety Korwina z młodości, ten ułański, taki piękny, tromtadracki, inne jeszcze, Korwin w skórzanej kurcie i myśliwskim kapelusiku, z jamnikiem jak gąsienica przy nodze, więc zerka na te portrety i głupio mu, głupio jak lichy, natrętne wspomnienia, ci piękni, rośli mężczyźni na portretach to on, tacy twardzi, samo zdrowie i siła, głowę Korwin opuszcza i coraz mu głupiej.

Więc z Korwinem idziemy na to wielkie śmietnisko, tam gdzie mają stadion budować. On tak ostatnio narzekał, niby to żartem, a jednak serio, z kobietami, panie, kłopot mam, no, duży kłopot, trudno złapać jakąś, kaleka jestem, stary dziad, wyśmiewają, żadnych szans, wzdychał. Pomyślałem, poznam go z tymi z włoczęgowskiej branży, akurat pasują, nie kosztowne i nosa nie zadzierają wcale.

Więc dlatego idziemy na to usypisko, niech stary zapomni o smarkuli, niech się zabawi, ostro zabawi, to wtedy całe oczekiwanie i smutek mu przejdzie, nadaża z trudem, pomaga sobie laską, wygolił się starannie, wodą kolońską od niego zajeżdża (bo też szykował się z godzinę, wąsiki przycinał, gębę obmacywał w lusterku, metalowymi zębami błyskał), podśmiewałem się z niego, jak to, obruszył się, trzeba przecież przyzwoicie wyglądać, tym bardziej że kobiety...

Tam na śmietniku wyszykował się znów wielki bal, Felo chwali się, że jeszcze takiego nie było, zaproszono też, szepnął, jedną Staškę z Pragi. Weszliśmy na te zwały śmieci, stado szarych, wstrętnych jak szczury świń roilo się na zboczu, ryły w tym paskudztwie dymiącym, pochrzakiwały, te śmiecie jak hałdy, smród kwaśny, ciężki, sadze fruwały, czy aby to towarzystwo, niepokoił

się Korwin, będzie zadowolone, niewiasty, powiadasz pan, bezpośrednio, bez krępacji, ten stary coraz bardziej zaniepokojony. Tam szła zabawa na całego. Felo pijany jak kot, z litrem w grabie obskakiwał tę Staškę z Pragi, to chyba ona, gruba, w drelichu, pocmokaj, podtykał jej Felo butelkę, Dziad zapychał się kaszanką, karniaka im, wrzasnął ktoś wskazując na nas, Felo podbiegł z butelką, pociągnąłem zdrowy łyk, Korwin też chlapanął sobie niezgorzej, kotlinka osłonięta od wiatru, wokół gęsty, czarny dym, te śmiecie bez przerwy dymią, dobrze .tu, przytulnie i jakby gdzieś bardzo daleko od wszystkiego, wódki zapas duży, zakąski też, salceson, kaszanka, Dziad rozdzielał żarcie, ta jego garbuska spała chrapiąc i bulgocząc, Dziad próbował zbudzić ją, ale spała jak kamień... Balowaliśmy na całego, Korwin nawet tak się rozruszał, że próbował odbić Felowi tę Staškę z Pragi, bo w moim majątku, zaczął, snuł tę swoją pełną wspaniałości, uczt, herbów i szampanów opowieść, Felo słuchał zawistnie, wreszcie nie wytrzymał i warknął, wyłączył się, Staška chciała słuchać dalej, takie życie, pisnęła, pańskie, to bardzo git, ale Felo zaryczał teraz Wołgę, przyłączyli się inni, nic Korwinowi nie wyszło z tą Stašką, ale i tak źle nie miał, bo ta druga z Pragi wyraźnie nabrała na niego chęci, dopytywała mnie co za jeden, kaleka, pewnie stara się na poproszonym, oni, ci wszyscy na poproszonym, dodała, nieźle trafiają, ludzie miętkie serca mają, a ten to dobry farmazon stosuje, Korwin akurat opowiadał o ruletce w Sopocie, ostatnie pieniądze, dramatycznie wznosił głos, ale myślę sobie, jeszcze raz spróbuję, hrabia Skarbek też mi radzi, zagraj... Zrobiło się już ciemno, Felo z tą Stašką zaszyli się w drugiej kotlinie, Dziad spał przy

garbusce, a ta druga z Pragi obejmowała Korwina, szczypała pod brodą, jemu wódka źle poszła, porzygiwał, ale zadowolony, mnie też do rzygania niewiele brakowało, ale trzymałem się jako tako, bo liczyłem na to, że może coś mi się uda ze Stašką z Pragi...

Wtedy to przeszło dwa tygodnie trzymałem się z Felem i jego paką. Nieźle mi było, te dwa tygodnie zleciały jak wczasy. I chyba siedemnastego dnia, tak, siedemnastego, pod wieczór siedziałem w tej ciepłej poczekalni WKD-owskiej kolejki, mroczno, gorąco, obok spał Dziad, głupkowata położyła nogi na moich kolanach, bardzo ciepło, bardzo duszno, bulgotało mi w brzuchu po tym razowcu, cośmy w południe z Rudym doskoczyli, kilowy bochen, świeży, to rośnie w kałdunie i dlatego taki bulgot, siedziałem wciśnięty między Dziada i głupkowatą, podrzemywałem sobie, nagle zaswędziało mnie coś pod kolanem, podrapałem się, ale zaraz zaswędziało brzuch, piersi, bardzo natarczywe swędzenie. Wytrąciłem się zupełnie z tego błogiego półsnu, trzeba wracać, pomyślałem, orałem pazurami po piersi, tak, postanowiłem, wrócę do chaty. Spojrzałem podejrzliwie na Dziada, może to od niego to swędzenie przelazło na mnie. A może w ogóle i Dziad, i Rudy, wszyscy z naszej paki, choć nie zauważyłem, żeby się drapali, mają jakieś swędzące świństwo, a nie drahią się, bo przyzwyczajeni.

I poszedłem do domu, po tych dwóch tygodniach brudny byłem i zarośnięty, Ela bardzo fajna, jak doprowadziłem się jako tako do porządku, zaraz do niej zadzwoniłem, i nic nie mówiła, żadnych wyrzutów, gniewu ani słowa, po prostu poszliśmy do kina na jakiś film, western chyba z Kirkem Douglasem, i, przypomniało mi się, wtedy w kinie Ela nazwała te moje wyskoki, te dwutygodniówki wszystkie, kuracyjnym chodzeniem w teren, śmiesznie to nazwała, spodobało mi się.

Tylko Baba narzekała przez parę dni, jak to, tak wyjść bez słowa, niepokoiła się, chciała iść na milicję, powiedziałem jej więc, że miałem pilny wyjazd z pracy, taki służbowy, naglący, te posady, to ony teraz są, oburzyła się Baba, ale uwierzyła.

Gdy wystawiłem głowę spod kołdry, za oknem było ciemno, porządnie ciemno. Zdziwiłem się trochę, ale jak połapałem się wreszcie w czasie, to zrozumiałem, że 'przeleżałem tak dzień, noc i jeszcze dzień, bo znów przecież zapadł drugi wieczór, odkąd się położyłem. Byłem zimny, gorączka spadła, zupełnie zimny, tylko bardzo osłabiony, i apetyt też mi wrócił, przypomniałem sobie, że Baba zostawiła mi obiad w piecyku, zupa grzybowa, kotlety siekane, zreć mi się chciało jak lichy, ale postanowiłem jeszcze nie wstawać. Uporządkowałem też nieco te historie, które zaprzętały mi głowę w gorączce. Przecież Korwin wcale nie był ze mną tam na śmieciach, na tym balu, co to Felo ze swoją paką urządził, skąd on tam, nawet słowa mu o tych łachmaniarzach w poczekalni nie mówiłem, on przecież nie lubi łachudractwa, bardzo nie lubi, a co dopiero takich bab łachudrowa-

tych, on zawsze mówi, kobieta przede wszystkim musi być czysta, koniecznie czysta, he, he, a ba-
by z branży z taką skorupą brudu, on nawet nic nie wie, że ja mam z nimi kon

szachty, bo po co ten stary pan ma o tym wiedzieć. Gdyby mu powiedzieć, że tak na niby
wziąłem go na ten bal, na śmieciach bal, wyjaśnić, że w tym na niby zalecał się do tej drugiej z
Pragi, to byłby potężnie oburzony, panie, już słyszę jego tenorek, panie, to zbyt poufałość...
Choć może po wódzi poszedłby ze mną, tak po półlitrze, kobiety brudne, bym go przekonał, ale
niczegowate, może i pokuśtykałby ze mną, bo to choróbsko przycisnęło go ostro, nie tyle Biiirger,
co te sprawy z pęcherzem.

Ale najważniejsze, że czuję się już całkiem nieźle. Kaszel jest, ale nie taki z drapaniem w gar-
dle, zwyczajny, katar też jest, ale to nasilenie, ten moment chorobowego szczytu już minął. I nieźle
to chorowanie było, zwykle w łóżku czas wlecze się ślimaczo, nuda, a mnie teraz całkiem nieźle
zleciało, gorączka duża i temat do snucia przy tej gorączce był, tak prawie jak powieść to wszystko
się ciągnęło. Tyle tylko, że imieniny u kolegi w B, przepadły, będzie zły, pewnie pomyśli, że inną,
lepszą okazję miałem, ale ja pojedę do niego za kilka dni i dam mu te dwie paczki amerykańców, te
„Pallmalle” i „Senior Service”, złość mu już przejdzie, i w porządku, a chyba już dziś przyjedzie do
mnie Ela...

TRZECI DZIEŃ

Krzysztof obudził się o świcie. Podłożył ręce pod głowę i patrzył w okno. Szaro, widać brudne, gęste chmury, drzewa stały jak jesienią zamazane, martwe.

...To był trzeci już dzień. Ona śpi jeszcze. Wieczorem, być może, wybrała się z tamtymi, co przyjechali z Ameryki, na kolację. Muzyka, eksportowa wódka, tamci zadowoleni, ona taka miła, dowcipna. Tańczyli z nią często. Po trzy kawałki, raz po raz. Ona bardzo lubi tańczyć. Dobrze tańczy. Zawsze nastawiała w radio jakąś stację z bełkotliwą, drażniącą muzyką. Porusza się wtedy leniwie, rytmicznie. Nieraz tak już poruszała się, on patrzył na nią z boku. Wróciła późno i teraz śpi bardzo mocno. Jak jeszcze śpi. Z twarzą wciśniętą w poduszkę, różowa od snu, rozczochrana. Guziki poduszki odciskają się na twarzy, śmieszne okrągłe znaczki. Taki zachłanny, dobry sen. Gdyby zbudzić ją nagle, mamrotałaby coś, zła, pogrążona w głębokiej senności. Jej rodzice też śpią. Na pewno byli razem na tej kolacji. Bo tamci z Ameryki to znajomi rodziców. Rodzice też kładli się spać bardzo zadowoleni. Przecież cieszą się, gdy ona tak świetnie, ładnie spędza wieczory. Bez niego. Wraca z zaczerwienioną twarzą, wesoła.

Śmieją się razem z różnych dowcipów. Ten facet, pamiętasz, to mówi matka, był z takim kulfonem i jaki godny, wyniosły. Ojciec jest nieco podpity. Zadowoleni. Bez niego. Bo przecież gdy wraca ze spotkania z nim, nie tak wygląda. Czasem smutna, czasem poważna i obca jakaś, płacze też niekiedy. To nie ma sensu, mówi jej ojciec, najmniejszego sensu. Więc oni uważają, że to był wieczór dobry i udany. Ze względu na nią, uważają, rozerwała się i zabawiła przyjemnie.

Przedwczoraj też chyba była z nimi w teatrze. W głównej roli znakomity aktor. Wtedy wieczorem, kiedy ona była w teatrze, siedział w domu, twarz miał zastygłą, napiętą, ojciec opowiadał o uroczystym zakończeniu roku szkolnego, matka też, on wsłuchiwał się w odgłosy elektrycznej kolejki, co dwadzieścia minut ten łoskot kolejki, myślał, może przyjedzie, przyjedzie, musi przyjechać. Popijał drobnymi łykami herbatę. W ustach kwaśno, wódka wygasła już powodując ten kwas. Starzy nie domyślają się nawet, że pił wódkę. To i lepiej. Zaczęliby narzekać, jęczeć. Kwas coraz ohydniejszy, całe usta wypełnia żrąca jak zajzajer ślina. Już tyle kolejek. Chyba nie przyjedzie. Lecz wciąż miał nadzieję i zrobił sobie nawet taką zabawę: co łoskot kół, to zapalał papierosa i tak wiele razy, Dużo palisz, narzekał stary, za dużo.

Krzysztof z trudem unosił głowę znad szklanki i pytał: – A jak tam z małym Wetem, czy pani Wetowa była na rozdaniu cenzur? (wet to najlepszy uczeń, pupil mamy.)

Pani Wetowa, przyjemna, pulchna brunetka. Jeździł do niej często, kupowała dla mamy mięso, jej mąż pracuje w rzeźni, więc dlatego zawsze świeże, przednie mięsiwo.

Oddana, bardzo oddana, dla szkoły wszystko by zrobiła, głos mamy, dziękowała, mały Wet mówił w domu, nasza pani wychowawczyni to spokój taki umie zrobić, że nikt słowa nawet... Ojciec martwił się o Jasnosa, znów został, trzeci rok w szóstej klasie, niedobrze. Jasnos to uczeń, z którym ojciec ma najwięcej kłopotu. Jasnos ucieka z domu, brzydki, wylupiaste oczy, czoło wciśnięte jak niecka, tępy i skryty. Ucieka z domu, sypia w stogach siana. Kradnie kolegom pióra i pluje na tablicę. Na lekcjach w ogóle nie uważa, patrzy w ścianę i mówi, jaka ta ściana, pokazuje na zaciek, rysy od popekanego tynku, i cieszy się głupawo, złapie muchę, moczy w atramencie, mucha ciężko wlecze się po pulpicie, skrzydła obwisłe, za nią granatowy ślad.

Do teatru i na tę kolację w Grandzie ona ubrała się w kostium, ten najładniejszy stalowoniebieski, gdy się uśmiecha, pewnie cały czas z tymi z Ameryki śmieje się i śmieje, jej oczy mrużą się skośnie i wygląda jak dzieciak z tymi skośnymi oczami i pomarszczonym drobno nosem. Krzysztof nazywał ją: Pysio, Małeńka Francois, Łoszak (Łoszak, pytała, co to łoszak, wyjaśniał, że zdaje się młody jelonek, ale nie wiedział na pewno). A czasem też nazywał ją – Karolek. Cieszyła się i oczy rozszerzały się, takie niby zdziwione, udawała Karolka, tak myślał, a ona mówiła: – Karolek nie, już wolę Łoszak. Cholerny infantylizm, myślał wtedy:

„Takie jebliwe ciurkotanie” – ale tak ją nazywał i na to nie było sposobu.

Do teatru wybrała się tylko z jednym z nich. Rodzice zmęczeni, nie bardzo im się chciało, a ci dwaj z Ameryki pojechali do kuzynów w Kaliszu. Taki facet zwalisty, przystojny, uznała ona, lubi takich zwalistych o spokojnym, skupionym głosie.

Męskie typy, Krzysztof zgrzytnął zębami. Silni, stanowczy, patrzą na kobiety miękko i bije od nich spokój, skupienie.

A po teatrze może do „Bristolu”, ona bardzo lubi „Bristol”, kawa tam dobra, mówi, przestronnie i cicho. Zawsze rozważnie studiuje jadłospis. Wybiera poledwicę po angielsku, dwie kule na rozmięklej od tłuszczu grzance, w środku czerwone i tryskające sosem. Lubi też „Chesterfieldy”, „Morisy” także, ale mniej. Ktoś kupił jej paczkę. Bardzo zadowolona i paliła po połowce w długiej szklanej lufce. Tam w szatni stopy tych amerykańskich w kolorowych pudełkach papierosów po dwadzieścia pięć złotych, trzydzieści. Ten zwalisty, przystojny kupi pewnie. Ona niekiedy przepada za takimi wieczorami nie z nim, z różnymi facetami, oni wdzięczą się do niej, tokują jak ptasie samczyki, jej oczy iskrzą się tymi przeróżnymi zalotnymi ognikami, malutka jest, naprawdę nieduża w obcisłym, wciętym w pasie kostiumiku.

„Możliwa figurka”, mówią faceci, co stoją przy kioskach z piwem. Zdrowa, nie powiedzieli jeszcze nigdy. Bo zdrowa, to baba w zadku potężna, z biodrami jak wierzeje stodoły, w ogóle zdrowe to duże, podniecające wymiary. Ona to właśnie możliwa, malutka figurka. Ciekawe, przecież oglądał się zawsze tylko za takimi potężnymi maszynami. Samice – myślał – suki o zwierzęcych bez blasku ślepiach, rosłe, okrągłe. Oglądał się za nimi i myślał, co one wiedzą o tym moim uporczywym oglądaniu. Ciągłe zerkał na takie. Poznał ją, możliwą, małą figurkę. Śmieszna sprawa, te duże oddaliły się, stawały się coraz bardziej mitologiczne, nierealne, a czasem nawet uważał, że obrzydliwe.

Spotkał kiedyś dawną znajomą, właśnie z takich dużych. Ciało jak ciasto, starzała się już. Pod pachami wytarte rzadkie włosy. Nie mógł z nią gadać. Pożegnał się czym prędzej.

Więc ona niekiedy przepada za takimi wieczorami. Jej potrzeba podobania się znajduje w takich wieczorach spełnienie. Krzysztof nienawidzi tych wieczorów. Ona mówi: Przecież to nic takiego, po prostu poszliśmy tu i tu, potem odwiózł mnie pod dom i koniec. On myśli: „Niby koniec, a gówno prawda. Macał cię taki owaki przystojniak wrednym spojrzeniem, ściągał w tym patrzeniu spódnicę i zwał się na ciebie gorący, wilgotny, jego paluchy biegały po tobie jako robaki”. To myślenie zmieniało się w ciąg uporczywych, błotnistych przypuszczeń. Wypełniało głowę i nie można znaleźć spokoju. Dyszał ciężko. Nienawidził jej, oh, jakże doskonale widział te biegające paluchy–robaki, i nieodmiennie przychodziła ta sprawa z Włodkiem.

Ona mówiła: – Włodek, eh, Włodek to po prostu kumpel, dobry kumpel. On traktuje mnie jak kumpelkę też. Strasznie fajny i koleżeński.

Była z Włodkiem na wódce, załamana wtedy, jakieś przejście z nim, chciała pić wódkę, spotkała przypadkiem Włodka, pili w „Barze Wyścigowym”. Włodek znakomity kompan. Raz tylko tak dziwnie na nią spojrzał, dokładnie i chłodno. Zapamiętała to spojrzenie. Stawiał wódkę, proszę, rozumiem, różnie bywa, parszywy nastrój. A potem po kilku miesiącach znów z Włodkiem. Zadzwoił, i umówili się. Likieri, kawa, wino. On w czarnym garniturze. Bardzo oficjalny, opowiadała, i taki ciężko uwodzicielski.

On myślał: „Wtedy już nie kumpel wszystko rozumiejący, bo i kolejność znamienna, likierek, kawka, winko, a na końcu jeszcze czystą przy barku zamawiał, migdałkami częstował”.

Późną nocą odwoził ją Włodek swoim samochodem „Ifą”–blaszanką do domu. Ona lubi też samochody, zna przeróżne typy i firmy samochodów, poznaje nieomylnie. Naciskał Włodek na gaz, minęli już jej ulicę. Gdzie jedziemy, pytała zdziwiona nieco, on milczał. Już szosa za Służewcem. Włodek skupiony obracał kierownicą.

Gdzieś w polu, ciemno, ani światelka, boczna droga, zatrzymał. Wyskoczyła z tej „Ify”–blaszanki, dała mu w pysk raz i drugi.

Włodek, opowiadała później zgaszonym głosem, zaśmiał się obrzydliwie.

Krzysztof zacisnął powieki, znów paluchy–robaki biegają po niej. Włodka paluchy.

Albo ten plastyk, tandetny uwodziciel, wysoki, o zamglonych oczach, Rudolf Valentino dla ubogich. Dzień taki jak przepaść, mówił, pani tylko coś dla mnie znaczy, chociaż widzieć panią, więc pozwoliła mu patrzeć, był ten plastyk z jakąś swoją kochanicą, baba zniszczona, oddana jak suka, obrzydliwie krzątała się przy niej, szykowała ją dla niego, tańczyli, pili wódkę, smętny plastyk dolewał gorzałę, ta jego kochanica coraz obleśniejsza dla niej, on ględził – słowo daję, pani dziś dla mnie... Na szczęście ona była tam ze swoim eks-mężem. Ten mąż to też paskudny ciąg w rozmyślaniach Krzysztofa, ale on zorientował się, co to wszystko znaczy, i wyszli wtedy z garsoniery Valentina i odwiózł ją do rodziców na Wilczą.

Ona opowiedziała. Krzysztof później zobaczył tego plastyka z dziewczyną. Dziewczyna jak łania, smukła, krótkie nastroszone włosy, w szerokiej spódnicy na halce. Plastyk obejmował ją w pól, ona przeginała się wiotko.

Krzysztof, przyczajony za budką telefoniczną, powtarzał:

– A to sukinsyn, a to...

W pokoju starych zawarczał budzik. Starzy dzisiaj ostatni raz do szkoły. Jeszcze jakieś zebra- nie. Rada pedagogiczna czy coś. Zostanie sam, ohydny ranek. Nie wiadomo co robić. Spać dłużej nie da rady, leżeć też nie warto. Trzeba będzie wstać i jakoś zorganizować cykl porannych czynno- ści. Wpierw mycie w zimnej wodzie, następnie ciepła, golenie, spacer po pokojach, nastawić wodę na herbatę, dobrze naparzyć herbatę. I jak to wszystko wyczerpie się; następuje najwredniejszy moment dnia co dalej. Siedzieć w tym pustym, zimnym mieszkaniu – nie. Pozostaje tylko przejść się na stację, pogadać z chłopakami, albo na śródmieście, potem autobusem do redakcji tego pisma literackiego młodych, można też do wesołego Dodka, co prowadzi przy pętli jedenastki kiosk z piwem. Do chłopaków na stację, to znaczy piwa albo wino, a gdy już wypiją, każdy nieznacznie obmaca kieszenie. Ktoś pierwszy, najbardziej spragniony, zacznie starą śpiewkę: Mam pięć, do- rzucicie po pięć i można ćwiartkę.

Będzie tam chyba i Felek z fortów. Wyszedł niedawno z więzienia. Felek, stary kumpel Krzysztofa, chłopisko wielkie, głupawo uśmiechnięte, z pierśią jak czołg. Dawno już temu bał się Krzysztof bardzo tego Felka. Felek zatrzymywał go przed sklepikiem z warzywami i kilkoma sprawnymi ruchami obszukiwał kieszenie, zabierał wszystko, ołowiane żołnierzyki, drobne, ołow- ek, gumki.

Dotąd jeszcze Krzysztof podśmiewa się z Felka, a on powiada zawsze: – E tam, przydało się to i owo.

W tym ostatnim wyroku nadszarpnął się Felek i zmarniał, uśmiechać się też przestał głupawo. Wrzód żołądka i jeszcze coś, mruży znacząco oko Felek. Krwotok był ostry. Z więzienia zawieźli go karetką do szpitala. Lekarze zmarszczyli czoła, niebezpieczna operacja. Znaczący się wykitować można, zapytał Felek, niech tam, machnął ręką i przeklął porządnie.

Był zły, kurewsko zły. Wyrok długi, w kamieniołomach nie przelewki i do pracy gnali na ura. Felek nie chciał pracować. Na wolności nie pracował, a co dopiero tutaj, w puszcze.

I gnił Felek, dawniej osiłek jeden z większych, w różnych szpitalach, więziennych izbach cho- rych. Jak się macał, machnął ręką, to tylko kości czułem i pierchy mi jakby zmały, a przecież, kłął szeptem, na wolności już brzuch niekiepski miałem.

Śmierć, chichotał przy tej pierwszej z Felkiem rozmowie Zbyszek Trzewik, wielkie mi aj-waj. Pocieszył Felka, sam też żołądkowiec i nie leczy się w ogóle, i pije, i co z tego, chichocze bez prze- rwy, na razie nic.

Ten Trzewik, mówią chłopaki ze stacji, on ze śmiercią oswojony. Umarła mu baba, dzieciak też. A co gorsze, ten dzieciak, chłopaczek chyba, już był odchowany, dwuletni. Tak gadają chłopaki ze stacji, tak gadają co dzień. Usiądą na barierce przy kasach, czasem obejrzą się za dziewczyną albo milicjantem.

Przyjdzie jeszcze Stasio Karabinek. Spasł się po tym ożenku jak byczysko. Mówi, że z żoną w nocy dwa razy, a w dzień raz, po obiedzie. To jest samo zdrowie, będzie przekonywać. Ktoś powie,

eh, po obiedzie to niedobrze. Gdzie tam niedobrze, najlepiej, upiera się Karabinek i już kark mu czerwienieje.

Zawzięty, więc lepiej dać tym wątpliwościom spokój i zapytać go, jak na tej ostatniej zabawie. Karabinek to najlepszy piastkarz na stacji i chwalić tym się lubi.

Trybiak pokpiwa z niego, ale zły bardzo. Widać wyraźnie, mięśnie grają mu na szczękach, takie cieniutkie, ruchliwe postronki. Ten Trybiak też marnieje w oczach. Wysuszony jak łądyga. A taki kiedyś był węzłasty, krzepki. Paluchy mu dygocą. Rano koniecznie musi piwko, bo inaczej paluchy dygocą cały dzień i nawet papierosa utrzymać nie może. Jeszcze do niedawna, i tak dobrze, że to ciepła wiosna bez deszczu, Trybiak nie miał gdzie spać. Jego kochanica, ta barmanka ze „Smakosza”, wyrzuciła go z mieszkania. Ojciec zaś powiedział: – Michy ci nie dam, bo nie chcesz pracować, i cały ten interes masz w dupie.

Spał Trybiak w rozwalonej stodole Karolka Pokerzysty, a od szóstej warował już przy kiosku z piwem. Nic jeść nie mógł, dopóki nie zaprawił butelczyny krzepkiego. Ale teraz ma Trybiak raj, śmieją się chłopaki, u tej garbuski. Ta garbuska rzeczywiście okropna, brzydka, drze gębę za nim, on boi się jej. Mówi, że boi się na niby, bo przecież garbuska go utrzymuje. Okropna ta garbuska.

I wiecznie ten Trybiak na stacji. Żółta wyschnięta twarz i oczy kose z krwawymi żyłkami.

Na barierze pod kasami na pewno już siedzą gromadą. I może piją pół litra pod młodą cebulkę (to swoją drogą możliwa zakąska). Jak tylko zobaczą Krzysztofa, to będą się podśmiewać i zaraz pożyczą w maglu szklankę. Wszyscy już wiedzą, że Krzysztof z butelki pić nie umie.

Jak im się znudzi to siedzenie na barierze, usiądą w kucki albo po turecku pod kasztanami, zapalą. Po tej pierwszej gorzałce już ożywieni, rozruszani i zaczną się wtedy ta mowa, stara mowa po wódce.

Kazek Wariatek opowie, jak to wczoraj miał pojedynek ze szwagrem. Oni tłuką się ciągle z tym szwagrem. Sposobem go załatwiłem, będzie mówił Wariatek, zwał się jak wór i chyba z dzieśnięć minut sztywny. On się nie chwali prawie wcale. Pięknie bije głową i nie ma dla niego jak walenie łbem przeciwnika. Wariacki łeb, powie Strzelec, twardy łeb. Kazek ma w oczach błędne, niebezpieczne błyski. W większej złości tnie się żyłką. Całe ręce i piersi ma w białych bliznach, nosi w kieszonce „Matadora”, na wszelki wypadek, wyjaśnia chłopakom. I do szczęścia, wyzna Wariatek, on tak zawsze gada, potrzebne mi są wariackie papiery.

Wariatek ma już takie papiery, ale nie te najlepsze. Może jeszcze, szepce Wariatek, coś się z tym zrobi, raczej tak.

Po tym pierwszym półlitrze będzie kłopot, jak zorganizować drugiego, wtedy właśnie nadejdzie Biały. Biały dołoży parę złotych. Ma matkę handlarę. I jak już zrobią drugiego, to Biały od razu skołowany, on ma słabą głowę i zawsze pierwszy łamie się po gorzałce. Głos mu się robi bełkotliwy, szybki i zaczyna swoje – on wcale nie wiedział, że to metyl, kurewski metyl. Nawet nic a nic nie przeczuwał. Stary miał ten spiryt na smarowanie, raz przyszedł malarz z przeciwka i błaga, daj się zaprawić, Jasiu, daj. Nie mam, mówi Biały. A malarz wszystkie butelki obwąchał, nagle wrzeszczy, o, o, o!! Czysty spiryt znalazł na półce. Od razu rąbnął setę. Wzrok mu pojaśniał i mówi: – Piłem taki w obozie, przedni. – Wziął jeszcze w butelkę pół ćwiartki i poleciał do roboty. Później wypił parę win, tego sikacza, czerwone półsłodkie. Pił z nim Paradoszczak i Lacio. Chcieli pić więcej, nie było za co. Przypomniał Biały o tym spirytusie na smarowanie. Pił malarz, mogą i oni. Poszli do Białego. Rozrobili spiryt wodą, odgrzał Biały schabowego, co to matka rano usmażyła. Wypili. Dobra gorzałka, zwyczajna. Następnego dnia wieczorem pogotowie zabrało Lacia i Paradoszczaka. Zarzygani strasznie, bez przytomności. Biadania, płacz, ojloch. Metyl, zatrucie. Jeden i drugi umarli nocą. Malarz też kipnął. A Białemu nic się nie stało, zupełnie nic, choć pił przecież na równi z nimi. I jak już Biały zbliżył się do końca tej opowieści, podniesie ręce, zaczną wicherzyć te swoje jasne, cholernie jasne włosy i wyrzuci szeptem:

– Szukałem w chacie tego metylu, myślałem, znajdę setę, wypiję setę, jedną, drugą... i też kipnę. – Nie znalazł. Więc upił się zwyczajną wódką. Biały oczy przymyka, kurczy się, wije i nagle

hop! zerwał się zwinnie i leci do starej akacji, odskakuje, przewraca się, znów wali łbem w tę wyschniętą akację.

Chłopaki rechoczą. Odbija się Biały jak piłka, łeb ma twardy. No, ale już nie podniósł się, chrapanie świszczące, zasnął pod drzewem.

Chłopaki mówią, że ten Biały ma słabą głowę, zaraz dostaje kołomyi, a z tym metylem, odzywa się Zenek, to normalnie piłem, nieraz piłem, ale można tylko setkę, nie więcej, i zaraz popić trzeba mlekiem.

Metyl, wielkie mi aj-waj, mówi Trzewik, kipnąć można też po zwykłej gołdzie, w ogóle po wszystkim.

Ma rację, zgadzają się wszyscy. Krzysztof też, choć boi się porządnie tego metylowego spirytusu.

Starzy już poszli do szkoły. Trzasnęły drzwi, zgrzyt furtki, ta furtka zgrzyta, jakby ktoś moździerzem kamienie tłukł, słychać szybkie kroki, nawet rozpoznać można, że kroki ojca. Nierówne, podrygujące. Ulica jest tuż za oknem. Po żwirze wyraźnie słychać kroki i zaraz łoskot kolejki. Zadygotały szyby.

Zdążyli, pomyślał Krzysztof, akurat zdążyli. Ta redakcja tygodnika literackiego młodych to jeszcze gorsze miejsce. Obce jakieś. Chodzi tam często, jak nie ma gdzie pójść. Przecież nieraz tak się złoży, że na stacji nie ma nikogo. Chłopaki gdzieś zaszyli się u swoich dziewczyn czy gdzieś tam. Dodek ma urlop i w kiosku z piwem przy pętli jedenastki urzęduje jego teściowa, kłótniwa megiera. Więc wtedy Krzysztof wybiera się do tej redakcji.

Drugie piętro, już z korytarza stukot maszyn do pisania i gwar. Siedzą przy stołach ze szklanymi blatami ci poeci, publicyści, prozaicy. Oceniają nadesłane teksty, dyskutują, dymu kłęby, kawa, szeleszczą papiery.

Czarny Kędzierzawy mówi Temu od Wierszy:

– Wiesz, czytałem twój poemat, możliwe, jest w nim coś... – Wyciąga dłoń, zagina wskazujący palec: – Jest tam coś...

Ten od Wierszy wzruszony, próbuje zapanować nad sobą i przygryza wargi. Czarny Kędzierzawy uśmiecha się leciutko, jakby ironicznie.

Tam w drugim pokoju jakiś chłopak tłusty o czerwonych dłoniach spocił się już, palce mu drżą. – Niestety, nie wydrukujemy, nie nadaje się. Zbyt powierzchowne – męczy się Ten od Prozy.

Wreszcie ten tłusty wyszedł.

– Jego fragment powieści – krzywi się z obrzydzeniem Ten od Prozy – lichota, gorzej, czysta grafomania. Taki tłusty, rzeźnicki syn mówi ze złością – i tak to uparcie pisze. Ja, ożywia się, teraz piszę opowieść, większą rzecz, to będzie historia tych moich ranków, kiedy budzę się przerażony, zimny pot, przed chwilą jeszcze opasywały mnie węże, całe kłębowisko, oślizłe, wielkie jak anakondy i białe.

Podstarzały, maleńki, w porteczkach bez mankietów, akurat nadszedł, słyszał i przerywa Te

mu od Prozy: – Ten mój esej., tam... sprawa ostateczna... koszmar, wegetowanie... tylko subtelnie, półtonami... i, wiesz, to oddalenie ludzi, którzy tworzą... nieuchronność... szarość i prostacka ohyda tłumy.

– To – mówi Ten od Prozy – rzeczywiście nieuchronne – zapala fajkę.

– Wyobraźnia, widzenie spraw ostre, przejrzyste oddala. Traci się kontakt, pozostaje samotność.

W zamyśleniu trą czoła, podciągają porteczki bez mankietów.

Oni małpują, cholernie małpują. Przyoblekają te miny jak małpeczki, modulują też głos, specjalnie jakoś subtelnie i wibrująco. Taką zrobili sobie zabawę. Czasem ta zabawa pochłania ich bez reszty. Zapominają, jacy naprawdę byli kiedyś. Dobrze małpują.

Za chwilę hałas radosny: – Panowie, wierszówka! – Czterysta pięćdziesiąt złotych za moją rozprawkę! To żebranina. Ja się nie zgadzam! – Kłóci się Ten od Wierszy. Żółtą teczkę z rozma-

chem rzucił na biurko sekretarza redakcji. Z teczki wystaje zwitek papierów. To maszynopis, wiersze, ostatni cykl jego erotyków, do Julii A., włączyć ma do tomu, tom nosi tytuł „Szare skały”.

Krzysztof siedzi na stole, pije mocną herbatę, czasem pytają go o coś, przyjaźnie klepią po ramieniu, kiwa głową, uśmiecha się, twarz kurczy w przeróżnych uśmiechach.

Ten od Prozy podchodzi i pyta, co na warsztacie? – Aa, dłużej teraz – mamrocze Krzysztof – taką rzecz o wariacie, brzydka kobieta, ale ma parę złotych, więc załatwili ją wpierw seksualnie, potem zabrali te parę złotych. Sześć stów miała, czy coś takiego...

– Przynieś, proponuje Ten od Prozy, zobaczymy.

Ten Drugi w kusych porteczkach oddaje reportaż do przepisywania.

– Rzecz o Piwnicy Krakowskiej – objaśnia – udało mi się. Ten obłęd erotyczny, ten nihilizm dzisiejszych czasów, robiłem to celowo frazą Gombrowicza.

Maszynistka wkłada papier i kalkę w „Continental”.

– Udało mi się – słychać głos Tego Drugiego w porteczkach niebieskich bez mankietów.

Krzysztof wysączył herbatę. Co robić, myśli, gdzie iść.

Ten Drugi patrzy na niego już długą chwilę, mówi uroczyście, my jesteśmy alkoholikami, zresztą ten rodzaj wyobraźni, jaki posiadam, jest trudny do zniesienia, nerwowy, bolesny, wymaga narkotyku.

Krzysztof zsuwa się ze stołu. Idą do „Harendy”. Schodzą na dół do restauracji. Siadają przy małym stoliku pod oknem. Ten Drugi zamawia trzy wódki (bo jest z nim Ten Pierwszy, Kędzierzawy). Ten Pierwszy i Ten Drugi piją wódkę drobnymi łykami, sączą po każdym łyku piwo.

– Mam ostatnio dużo kłopotów z matką odzywa się Ten Pierwszy – jest niemożliwa, męcząca, po prostu okropna.

– Ja miałem to samo, wtrąca Ten Drugi to skutek wieku przekwitania, klimaks to się nazywa, powoduje mnóstwo zakłóceń, kobiety stają się pobudliwe, w powietrzu wisi zawsze napięcie, podniecenie. Moja matka była bardzo trudna do zniesienia, elektryczność po prostu.

Ten Pierwszy opowiada, jak przyprowadził do domu dziewczynę, kulturalna i bardzo ładna. Przyprowadził ją około drugiej w nocy i matka – a przecież nigdy jej się to nie zdarzało wyprosiła dziewczynę za drzwi. To znaczy nie zrobiła tego tak grubiańsko, ale wpierw poczęstowała dziewczynę kawą i po kawie dopiero otworzyła drzwi. Późno już, oznajmiła, pani też pewnie rano do pracy.

– Ja nie reaguję na wybuchy matki – powiedział Ten Drugi – zamykam drzwi na klucz i koniec. – Ten Drugi mówi to głosem kategoriycznym, krzywi się pogardliwie. Zgrywus z niego niekiepski, trochę jak wytarta płyta. Zawsze tak mówi, dużo w tym jego mówieniu bufonady, męczącej bufonady. Widział go kiedyś Krzysztof na ławeczce pod murkiem, sam siedział, wtedy palił papierosa, inny jakiś niż zwykle, zgaszony, głębokie bruzdy koło ust, on przecież pije porządnie, mimo tej całej paplaniny porządnie pije. Obijał się też w życiu tu i tam, dostał też nieraz po łbie, ale prawdziwy jest tylko gdzieś na uboczu, na takiej właśnie ławeczce pod murkiem, wtedy te bruzdy wyłazą mu koło ust i cała twarz zmęczona, wymięta. A ty, zapytali Krzysztofa jednocześnie. Na szczęście nie czekali na odpowiedź, bo przypomniła im się ta popijocha, którą urządzili z okazji jubileuszowego pięćdziesiątego numeru swego tygodnika. Porządna popijocha, wino, wódka i tak od początku wino i wódka, po prostu morze alkoholu. Ten Pierwszy był ze swoją Anną, Anna znakomicie wyglądała w sukni skrojonej przez matkę Malarza. Ten Drugi w czarnym garniturze spacerował majestatycznie po sali i recytował fragmenty swoich najnowszych wierszy, a nawet, mówił, strzępami układał mi się w głowie jakiś wiersz, taki dziwny, gorący, zacząłem notować.

Jego wiersze są fajne, takie martwe, szare jak szkielety. Krzysztof pamięta jeden taki wiersz, tam coś o upalnym lecie, żądzy, w tym wierszu jakiś trupi nastrój. On pisze dobre wiersze.

Przyszedł też Powieściopisarz, blade, o suchotniczej, pobrużdżonej twarzy, najznacniejszy wśród nich twórca. Jego żona, też zmięta, drobna, udręczona, psie spojrzenie. Powieściopisarz już z

nią pięć lat. Pięć lat nędzy, lepszych dni i znów nędzy. W mieszkaniu zimno, węgla nie ma. Powieściopisarz rzuca się na tapczan. Lubi wino, sący powolutku „Cabernet”, przymyka oczy i oblatują go one, setki tych szerokobiodrych, pięknobrzuchych, różowych. Wizja jest wyrazista, niepokojąca, Otwiera oczy, ona pitrasi na maszynie jajecznicę z boczkiem, brzydka, zmarszczki na szyi i taka sucha. Wszystkie kości rysują się ruchliwie pod skórą (szlafrok z tyłu rozcięty, więc dlatego te kości tak wyraźne). Zrywał się Powieściopisarz z tapczanu, dzwonił do Tego Pierwszego i szli na wino do „Piwnicy”. Siedzieli tam posępni w gęstym mroku tej „Piwnicy”. Światło przyciemnionych lampek ledwie trochę pokazywało ich twarze. Na parkiecie wyłożonym ceglami podgrygiwały modne dziewczyny, furkotały halki, odsłonięte uda, bardzo ładne dziewczyny. To ma jakiś urok, mamrotał Ten Pierwszy.

Powieściopisarz przygryzał wargi, pili łączywie wino, potem przyjeżdżała żona, pożyczła od przyjaciół dwadzieścia złotych i układała Powieściopisarza w taksówce.

Krzysztof odszedł cichaczem, a potem gdzieś, chyba w brudnej kawiarence przy teatrze, upił się winem i piwem, brzuch jak balon, czkał wstrętnie. Pił z Jankiem Kamieniarzem. Janek Kamieniarz mały, pleczysty, wszystkie swoje maszynopisy nosi za pazuchą, czyta chętnym te krótkie, szorstkie opowiadanka, w których zawsze śmierć, dziewczyna, dwóch takich, co nie mają gdzie iść, gdzie spać, co jeść, podkreśla z naciskiem – rozumiesz, jaka drapieżna pointa, niby nic, a robi to wrażenie, co?...

Jaś przymknął oczy, szeptał chrapliwie, papiery zacisnął w garści, dłonie ma duże, pościerane od roboty przy kamieniu. I jemu też uciekł Kszysztof cichaczem, ostrożnie, oglądając się za sobą. Patrzył przez szybę, Jaś zasnął już. Krzysztof odetchnął głęboko i zapalił papierosa. Brzuch jak balon, czkał uporczywie, zbierało się na rzyganie. Ale nie o to chodzi przecież. Ten wieczór w „Harendzie” ostatni, wyrazisty, jakby to wczoraj.

Ten Drugi był wtedy z Hanką, siedemnastolatką, która uciekła z domu i chodzi z tymi od literatury, filmu i teatru. Takie małe, śmieszne czupiradło, oczy wesole i naiwne. Chichocze bez przerwy. Patrzy nabożnie na Tego Drugiego. Jak dziecko moje, mówił miękko ten Drugi, córeczka. Jak dziecko, dolewał jej wódki do piwa, to jest wspaniały cocktail mego pomysłu, wypróbowany. Piła krztusząc się niemiłosiernie.

Krzysztof upił się porządnie, widział tylko cały czas dłoń Tego Drugiego, mocno gniotła kolana dziewczyny. Ona siedziała sztywno, nieporuszona.

– Jakiś ty – szepnęła. Wyszli.

Przy szatni dwóch takich starszych, jeden o bokserskim, spłaszczonym nosie, obaj w skórzanych kurtkach, czerwoni.

– Patrz – mówili niby do siebie, ale właściwie do nich, głośno, wyzywająco – patrz, co za pętaczyny i jak się garną do sraluchy.

– Chamstwo – szepnął wzgardliwie Ten Drugi. Ujął dziewczynę za rękę i minął szatnię.

Krzysztof zadygotał, ogarnęła go gorąca fala wściekłości do tych przy szatni – nie, nie do nich właściwie.

– Pętaczyny! – zaryczał – na mnie tak mówicie, ach!!

Ten o spłaszczonym nosie obciągnął skórzaną kurtkę, i potem Krzysztof już nic nie wiedział. Dostał serię krótkich, kotłujących we łbie ciosów. Gdy otworzył oczy, szatniarz wycierał mu ręcznikiem czoło. Podniósł się z trudem. Zobaczył swą twarz w lustrze. Sino podbite oko i nos szeroki, zniekształcony. Śmieszna, brzydka morda.

...Ona poszła już do sądu. Włożyła spódniczkę w pasy, bluzkę, bo dziś, choć bez słońca, ale ciepło, i poszła. Tam w sądzie gwar, krzątania. Taka ciemna i chłodna fabryka wyroków i strachu. Ona uśmiechnięta, budząca sympatię w tej strachliwej krzątaniu. Może już teraz zesłała na dół do bufetu i pije kawę ze Zbyszkiem. Zbyszek zawsze jednakowo uprzejmy, nadskakujący i w jakiś oryginalny sposób, mówią, pociągający. Widzi Kszysztof doskonale twarz Zbyszka, gładką, ruchliwą i jego głos słyszy, okrągłe, dosadnie wymawiane słowa składają się w okrągłe, gładkie zdania. Zbyszek interesował się nią kiedyś. Raz nawet, gdy Krzysztof pił z Kwiciarzem, to trwało

chyba trzy dni, i ona czekała w małym pokoiku na piątym piętrze, zadzwonił właśnie Zbyszek i poszli do kina. Zbyszek przynosił też kwiaty, jak była chora, wręczył jej w prezencie maleńką zapalniczkę z wisiorkiem, rozmawiał z jej rodzicami, kulturalny i bardzo układowy.

Miły i zdolny, uznała zapewne jej mama. Poczęstowała Zbyszka kawą, pytała, czy zna angielski. Zbyszek z uśmiechem rzucił jakieś angielskie długie zdanie. Mówił zapewne prawidłowo, gulgocząc i pomagając sobie lekkim ruchem ręki.

Krzysztof stał pod piecem i z ukosa spoglądał na Zbyszka. Nygusino, rozmyślał, pracujesz na nią, nygusino, to jest zwyczajna nudna gra. Potem Zbyszek i jego wciągnął w dyskusję już od go dziny rozwijaną kunsztownie i błyskotliwie. Wspaniała proza Babla. Oszczędna i surowa. Mołdawianka – dzielnica mętów, Benio Krzyk. Zbyszek w tej rozmowie badał go nieznacznie, sondował jakby, spoglądał też na nią, coś porównując i ważąc. Później Zbyszek już nie pokazał się więcej. Rozsądny i przenikliwy, uprzejmym i nadskakującym pozostał nadal.

Krzysztof zapalił pierwszego papierosa. Dym na czczo miał przyjemną gorycz i ostro wchodził w płuca.

Przecież to wszystko jest zmorą tak bezsensowną i okropną, że... Ona jest zupełnie w porządku. Nie widział jej dwa dni, ale nie mogło być inaczej. Do jej rodziców przyjechali znajomi Żydzi z Kalifornii, ona musi ich bawić. Matka bardzo prosiła o to. Z matką ona musi się liczyć. Matka długo pamięta. Ona nie może gniewać się z matką. Ci dwaj pojechali do Kalisza. Został jeszcze jeden z tych Żydów, bogaty, bezzębny, bełkocący po angielsku, na pewno pali cygara. Ona była z nim w Żelazowej Woli. Zachwycał się słowikami, gdzieś przy drodze zatrzymał samochód, wlaź na płot i zrywał czereśnie, pies zaszczekał, on cieszył się czereśniami i szczekaniem psa jak dziecko. Ogrodnikowi dał dziesięć dolarów. Chłop osłupiał i długo stał z rozdziawioną gębą. Byli też w Muzeum Żydowskim. Patrzył z przerażeniem na fotografie z getta. Cygaro mu zgasło, ślinił je mocno. To przecież najzwyczajniejsza sprawa, więc czemu tak boli to wszystko. Zwyczajna sprawa. Rodzice prosili. Z matką musi żyć w zgodzie. Matka to jedyny sojusznik w tej wielkiej kampanii przeciw ich znajomości. Więc ona musi. Dwa dni. Przepraszała go. Bardzo przepraszała i chciała, żeby zrozumiał. Krzysztof zrozumiał, zapewniał głośno i z u- y śmiechem. I ona chce się z nim zobaczyć. Dziś r właśnie. Nie, pomyślał Krzysztof, dziś nie, za Boga nie, nie chce jej widzieć. A chciał. Ale dziś nie. Ona bawi się doskonale tym całym cyrkiem z amerykańskimi znajomymi, bawi się ich angielszczyzną, wyglądem cudzoziemskim, dziwolągowskim. Cała ta sprawa nagłego ich przyjazdu podoba jej się. Ten stary Żyd ma wytworną kremową limuzynę.

Starzy już dawno wyszli. Na górze zegar wybił dziewiątą.

Głupi histeryczny łbie, powtarzał, idiotyczny łbie... zdusił papierosa. Zwłókł się z łóżka. Ogościć się, radził sobie ,bezradnie, wpierszył się ogolić, to dobrze zrobi.

Wtedy, kiedy to oko i nos tak mu wstrętnie zeszpecili, przemykał się pod murem zasłaniając twarz chusteczką, wreszcie dostał się na tę ich ponurą uliczkę. Wszedł na podwórze, spojrzął w okno. Światło. Więc czeka. Z trudem, odpoczywając raz po raz, wspinał się na piąte piętro, do tej maleńkiej jak cela kłitki, którą wynajmowali od sześciu miesięcy.

– Suka – powtarzał – suka.

Dlaczego suka? Przecież fajna, naprawdę fajna. Nie wiedział. Czekala przy drzwiach. Zobaczyła jego twarz. Przerażona, ale opanowała się od razu i zmoczyła ręcznik. Położyła go na tapczanie i robiła okłady. To była duża ulga. Chłód, orzeźwiający chłód na twarzy. Gdy się obudził, ona siedziała przy stole, paliła papierosa.

– Długo spałem?

– Dwie godziny.

Zerwał się. Ręcznik zsunął się na szyję. Chciał wódki. Gdzieś za piecem wśród puszek od wołowiny i gulaszu miała trochę w ćwiartkowej butelce. Wypił łapczywie. Chciał, żeby we łbie znów mu zawirowało.

Ogarnęła go wściekłość, wstyd, bo sam przecież nic a nic nie wiedział. To wszystko bezsens, nudna już kotłowanina, wyczerpująca, jałowa karuzela, w kółko te glinki, stacja, Staśki Karabinki, Trybiaki, Felki, pod kasztanami, w brudnej kawiarence, „Pod Setką”, „Bomba”, cygańska orkiestra, ciepło w żołądku po pierwszej wódce, złodziejaszki z Czerniakowa, dlaczego, kurwa mać, jeszcze cały rój tych wszystkich od wyświechtanych, przegadanych niby to symboli, ukochań, dlaczego...

– Suko! – złapał ją za włosy, szarpał, przeklinał. Zmęczył się i puścił. Oczy miała suche i nie powiedziała nic. Opadł na tapczan. Gdy się znów obudził, był już ranek. Ona siedziała przy stole, paliła papierosa. W popielniczce stos pokurczonych niedopałków.

Bezszelestnie przechadzał się po pustych pokojach. U starych łóżka rozbebeszone. Wstawali w pośpiechu. W kuchni na szafce kartka jakaś, list. Dla niego.

„Krzysztofie – pisała matka – kartofle i zsiadłe mleko w piwnicy, odgrzej sobie kotlet, jest w czerwonym garnku na blasze, 25. VI. 1960 r.”

Matka zawsze te kartki ranne zostawia z dokładną datą, godziny tylko brakuje. Śmieszne. Jakby to był prawdziwy list, ważny i terminowy.

Dzień szary, bezsłoneczny. Nie będzie dziś pogody. To i lepiej.

W kamienicy Milewskich na drugim piętrze otwarty lufcik. Profesor wystawił rękę, trzepie ście-reczkę, zamyka lufcik. Pewnie zaraz wyjdzie.

Krzysztof kilkoma haustami wypił herbatę. Wyjdzie też i spotka się z Profesorem.

Profesor miał długą przerwę, ale teraz od tygodnia popija znów. Mówią, że wygrał na wyścigach pięć patyków, Wariatek tak mówi, był z nim w „Smakoszu”, jak płacił rachunek, Wariatek zerknął i opowiadał potem, cała harmonia stówek, taki, pokazywał na grubość, plik stówek u Profesora.

Więc Profesor popija znów, ale odkąd oskarżyła go ta gruba żona buchaltera, zrobił się zastrachany i w nocy nie można już przyjść do niego, a co dopiero jak zobaczy dziewczyny, drzwi zamyka przed nosem i powiada, nie mogę, nie mogę, mówią, że u mnie burdel, więc przepraszam, sami rozumiecie.

A niedawno jeszcze natychmiast otwierał drzwi, witam, witam. Wymagał tylko, żeby przyjść z wódką, dziewczyny oglądał dokładnie, mrużył czerwone, królicze oczy i przedstawiał się ze staroświecką galanterią, profesor baletu, Leliwa, tłumaczył, szlachecki przydomek. Rozkładał na podłodze żółtą, okopconą kołdrę, o świcie budził wszystkich, wódka stała na stole, patelnia z kaszanką – sam pił już wcześniej. Po wypiciu oświadczał dziewczynom, jak panie chcą, to proszę się rozgościć, u mnie czym chata bogata... Gdy się zgodziły, zamykał mieszkanie na klucz i jechał na wyścigi. Niektóre trzymał nawet po trzy dni. Dziwili się ludzie z kamienicy, co z nimi staruch robi. Przecież po sześćdziesiątce, sześćdziesiąt cztery czy coś, pije ostro, więc co robi z dziewczuchami.

Profesor tłumaczył, panowie, po cóż te podejrzenia, po prostu lubię damskie towarzystwo. Krzysztof minął gołębnik. Oparł się o płot.

Profesor zobaczył go i przybiegł truchcikiem. Dyszał ciężko. Zgarbiony, poszarzała twarz, oblizywał wargi.

– Wątróbka dokuczała mi w nocy – wyjaśnił.

Krzysztof pokiwał głową z udanym współczuciem.

Za gołębnikiem placyk porosły łopuchami i pokrzywą. Dawniej stały tu rzędy komórek, w jednej bawili się w wojsko. Była to siedziba sztabu. W tej na lewo, rozwalonej budzie, trzymali kije, hełmy i proce na wyprawę wojenną. Krzysztof długi czas nie dostawał procy, nosił tylko za woj-
skiem kamienie.

Wsiedli do autobusu.

– Wątróbka i samotność – stęknął Profesor – nieprzyjemne połączenie. Dawniej, gdy była ciotka, to co innego, kochająca osoba. Panu dobrze – dodał z zazdrością. – Rodzice. Masz pan opiekę, a ja zupełnie bez opieki.

Przylepił twarz do szyby, starczo miamlał wargami. Gdy dojeżdżali do ostatniego przystanku, Profesor ożywił się. Spojrzał badawczo na Krzysztofa.

Zjadłbym coś – powiedział z naciskiem. – Ja też – zgodził się Krzysztof.

Wiedział doskonale, o co staremu chodzi. Profesor tak zawsze zaczyna pić.

Przy pętli autobusowej wśród parterowych drewniaczków wyrastał jak olbrzym szary dwupiętrowiec. Tu u Mamuńci jest prywatnie wódka i gorące żarcie. Profesor rozsiadł się wygodnie, niecierpliwie zaplatał i rozplatał palce.

W izbie pusto, ta knajpka Mamuńci to był właściwie solidny małżeński pokój z portretem młodożeńców nad szerokim, ze stosem poduszek łóżkiem.

– Tu dobrze jeść dają – cieszył się Profesor. – Taka prywatna osoba musi dbać o klientelę.

Lubi mówić: osoba, wtyka to słowo wszędzie, mówił: urzędowa osoba, kochająca osoba, znana mi osoba.

– Prywatna osoba musi – powtórzył Krzysztof.

W tym małżeńskim pokoju pusto dzisiaj. Pewnie dlatego, że wcześniej jeszcze, niewiele po dziesiątej.

Mamuńcia niestara, bardzo płaska, taka decha w fartuchu w niebieskie kwiatuszki. Wdzięczyła się do Profesora. Mówił do niej: łaskawa pani. Mamuńcia unosiła rzadkie brwi, chytra, płaska baba.

– Miła – westchnął Profesor – bardzo miła wdowa. I czysta taka – ożywił się – tak smakowicie pachnie kuchnią, fartuszek w niebieskie kwiatuszki.

Stary, żywotny jak lichy dziadyga, myślał bez złości Krzysztof, ględa taka, będzie zaraz o tych swoich sukcesach sprzed trzydziestu lat, w tym ceratowym portfelu ma swoje zdjęcie sprzed trzydziestu lat, wąsik hiszpański, muszka, fryzjerski uśmiech. Leliwa, tancerz sprzed trzydziestu lat.

Stuknęli się szkłem. Profesor złożył wargi w ryjek, wlał w ten ryjek setkę i otarł starannie usta.

Krzysztof patrzył na ten wielki, w pastelowych kolorach, portret młodych. On uśmiech niety jak małpa; ona też. To pewnie Mamuńcia.

– Przyjemnie – dolatywały słowa Profesora – cicho, kulturalnie, co może być lepszego. Blisko przystanku, napić się można, zjeść, a potem do domciu, w domciu najwyżej jedną wódeczkę. Ten mój spirytus na miodzie, wyborny trunek, mocny, pamięta pan?

U niego w domu kieliszek spirytusu na miodzie. To mieszkanie Profesora ciemne, śmierdzące stęchlizną, podłoga skrzypi, wielkie kręgi pajęczyn pod sufitem, wszędzie jakieś rupiecie, pamiątki, mówi Profesor, nadłamane posążki, jakieś fajansowe Buddy, jeden taki wielki bez głowy, koniki z porcelany, cudna robota, mówi Profesor, saska. Ściany oblepione żółtymi od starości dyplomami. Ten niebieski po francusku, Profesor odczytuje te dyplomy jak kaznodzieja, podkreśla zawsze, ma się ten paryski akcent, ten drugi od Pawłowej. Tańczyłem, powiada Profesor, w jej trupie, niezapomniane przeżycia. Na przykład „taniec z pomarańczami”, wyskoczył Profesor na środek pokoju, wyrzucił w górę nogę, zakołysał się ciężko, taridadaa, pieje, taridadaa, głos mu chrypi i skrzeczy, kuca nagle, wyrzuca ręce przed siebie, pijany Benek krzyczy podczas tego „tańca z pomarańczami”, Żetee, Assamble, był taki dodatek filmowy z baletu, tam ktoś tak wołał do tańczących dziewczątek. Profesor miota się po pokoju w tym „tańcu z pomarańczami”, dyszy, ręce mu dygocą z wysiłku, szczęśliwy.

Tak to było, mówi na koniec, piękne czasy, wielka Pawłowa, mówi coraz bezładniej, słowa mu się płaczą, drzemie na stole, zmęczył się stary, mówi Kwiciarz, zaczyna trzec uszy Profesora. Profesor budzi się oszołomiony, Benek chichocze, ja sobie wypraszam, oburza się Profesor, co za ufałość, to ci stary, cieszy się Benek, twardy stary, wypierdek nie jestem, godzi się Profesor.

Twardy stary. Jak go życie przycisnęło i wyrzucili z liceum baletowego, bo pił za dużo, to pracował, chichocze znów Benek, za stróża, za papugę nocnego i węgiel w kieszeniach płaszcz przywoził.

Ona też zna Profesora. Kiedyś w „Polonii” na kawie stary wdzięczył się i nawet tańczyć próbował. Po staroświecku, uwodzicielski taki i śmieszny. Profesor fajny, powiedziała ona.

Fajny, myślał Krzysztof, zgrywus, z takim dobrze pić. Albo ta noc u Profesora, pół roku temu. Był Benek Kwiciarz, przyjechał z „Kaskady”, przywiózł dziewczynę. Ona jest z Józefowa. Nie kurwa, mówił Benek, może półkurwa właściwie początkująca. Krzysztof przyniósł z domu jajka,

usmażyli, skoczył Benek na metę po wódkę. Tej dziewczynie z Józefowa podobał się Benek Kwiciarz, w moim typie, wyznała Profesorowi. Benek zadowolony mrugnął do Krzysztofa i poszli do ubikacji. Nie śmiejcicie się, zaszeptał, chcę wstawić jej bajer. Mam kwiaciarnię, zaczął od razu, gdy wrócili do pokoju, dobry interes.

Ta rosła, okrągła dziewczyna miała wiecznie rozchylone, wilgotne usta.

Średnio targuję trzy tysiące dziennie, snuł swą bajczarską opowieść Kwiciarz, na czysto miesięcznie wychodzę z dwudziestakiem w kieszeni, mnie na forsie nie zależy, lubię się zabawić, mogę puścić w noc i dwójkę też.

Krzysztof z Profesorem przytakiwali gorliwie. Kwiciarz wywijał wargi ni to w chytrym, ni to w zalotnym uśmiechu, odsłaniał końskie zęby z dużą szparą na przodzie. I ubrać się mam w co, trzy garniturki, zrobił pauzę, patrzył na nią z surową dumą.

Śmieszny ten Benek. Tyra jak osioł w kwiaciarni przy Marszałkowskiej, dziesięć godzin tyra w wilgotnej niskiej piwnicy. Wychodzi szarówką, brudny, zgarbiony, powłóczy nogami, bo uwierają go odciski, dostaje od szefa stówkę i idzie na spacer po knajpach. Wieczór

kończy kawą po włosku. Strasznie lubię kawę, powiada, serce po kawie pracuje jak motor. Pijąc kawę przygada czasem dziewczynę. 'Tylko gorzej z mieszkaniem, narzeka, jak żył dziadek, to zawsze ze sztuką mogłem u dziadka w szopce, ale co robić, i tak dziadek żył długo, osiemdziesiątki dobił.

Profesor szturchnął go w bok. Tak, Benek w uwodzicielskim bajerze za daleko pojechał. Właśnie gadał o swoim domku, kremowej willi i pięknym ogrodzie, nogę założył na kolano, dym z papierosa puszczał jej prosto w nos, w tym ogrodzie piękne klomby, zagraniczne kwiaty, matka zajmuje się kwiatami dla przyjemności.

Profesor popiskiwał z uciechy. Ta z Józefowa zasłuchana, uwielbiała już Kwiciarza jak lorda.

– Kładźcie się – Profesor rozłożył kołdrę.

Kwiciarz ściągał buty.

– Tylko cicho, przykazał Profesor, bo lokatorzy.

Wyszedł z Krzysztofem do kuchni. Tam w kuchni długo grzebał w stosie śmieci. Wyciągnął buteleczkę tej wódki z miodem. – Na złą godzinę – cieszył się – a ten Benek ma teraz dobrze – dodał ze smutkiem i wsłuchał się w odgłosy dochodzące z pokoju.

– Pan nic nie uważa – dotarł do Krzysztofa głos Profesora – kompletnie nic.

– Pójdę już – Krzysztof wstał szybko – muszę. – Odszedł bez pożegnania.

Profesor zagniewany. Krzysztof w drzwiach natknął się na tę obrzydliwą Mamuńcię w fartuchu w niebieskie kwiatuszki.

...Do niej nie pójdzie. Nie może. Trzeba się odzwyczaić, myślał bezradnie, koniecznie. Bo przecież w końcu zostanie sam. Więc trzeba się odzwyczaić, nie, szedł bardzo szybko, potraçał ludzi, nie może przyjść żadne rozstanie, nigdy, jak bardzo nie chciał, przecież sam nie dałby rady, nygusie, mówił do siebie z wściekłością, czemu udajesz kozaka, bohatera, przecież nie chcesz ze wszystkich sił, i w żaden sposób nie może się tak stać, żeby już nigdy nie zobaczyć się z nią, co byłoby wtedy, powtarzał, co?...

Zobaczyć ją na ulicy, obcą, daleką, ukłonić się albo nawet nie znać się już w ogóle, nieznanymi ludźmi przypadkowo mijają się, więc minąć ją, pójść dalej.

Wskoczył do autobusu, podwinęły mu się nogi, uderzył kolanami o stopień, konduktor zadzwonił, babski, cienki krzyk, pod koła wpadnie, przeszedł do przodu, za bilet, ryczał konduktor, zapłacił.

Ona już chyba wyszła z sądu. Może odprowadza ją ktoś, rozmawiają o tych swoich prawniczych sprawach. Artykuł taki, siaki, przypadek trudny, bardzo trudny, takie zasrane sądowe rozmowy.

Dzień jednak ciepły, więc ona w tej ładnej, połyskliwej spódniczce i może też w bluzce z kwadratowym dekoltem, głos ma głęboki, taki mały człowiek z grubym głosem, śmieszne, rozczulające.

Idą, rozmawia z kimś. Interesująca rozmowa, postanowili przejść się. Ten ktoś to jakiś jej kolega aplikant adwokacki, Przemek albo jakiś inny, ma ich . wielu, tacy giętycy w karkach, garniturki, białe koszule, zawodowa już poza, adwokackie miny, ohydne to wszystko.

Spokojnie, mówił do siebie Krzysztof, spokojnie, ty rozrabiaczu zakichany, spokojnie. Przecież tak musi być. Krzysztof nie chce, w żaden sposób nie chce, żeby ona z nim siedziała u tej Mamuńci, w tym smrodliwym z dyplomami pokoju Profesora, wyobraził sobie ona z nim w „Smakoszu”, chłopaki ze stacji popatrują ciekawie, kłaniają się z lubieżną, chamską galanterią, później na przykład Wariatek odwołuje go na bok i mówi, możliwa dupka, możliwa, git pakulszczanka, doda Stasiu Karabinek, i przecież musi im przytaknąć, zgodzić się na tę gadkę, coś jeszcze im powiedzieć, bo i oni tak o swoich dziewczynach mówią, a on z chłopakami ze stacji żyje w sztamie, po wódce przecież mówi tak, ja i chłopaki ze stacji to jedność, lubię ich, rozumiem, oni mnie też.” Śmieszne, jak bardzo śmieszne.

Albo ten Szczur, wyszarzały alfonsina, ale kumpel, siedział z nim Krzysztof w jednej celi, kiedyś spotkał go, pili wódkę, ona z nimi. Szczur myślał, że to jakaś tam Krzysztofa dziweczka, któraś z kolei, nieważna, zalecał się natrętnie, szukał jej nogi pod stolikiem, wreszcie zrozumiał, przestał się zalecać i powiedział, twardą masz kobitę, mocno jest za tobą.

Pamiętał Krzysztof swą twarz, skurczoną głupio, wybełkotał coś, ona uśmiechała się, spokojna, nie zdziwiona.

Nawet zresztą nie o to chodzi, ale gdyby tak ona wszędzie z nim, po tych jego metach na Pradze, Czerniakowie, z tymi doliniarzami, dziwkami – to przecież nie miałby gdzie wracać. A tak wraca do niej, jedzie autobusem, autobus podjeżdża pod sam dom, ona czeka w bramie, on wraca od Benka Kwiciarza. Ze stacji wraca, jedzie tym autobusem i wie, że ona nie była z nim nad glinkami ani w „Smakoszu”, wtedy jest mu trochę lepiej, opowiada jej i cieszy się, kiedy w jej oczach widzi zrozumienie, współczucie, tak jakby razem tam byli, widzieli wszystko i tak samo, zupełnie tak samo czuli to wszystko.

A może w ogóle nie była dziś w sądzie. Może z rodzicami i tym starym Żydem z Kalifornii zwiedzali Stare Miasto, potem zmęczeni wstąpili do chłodnej, mrocznej winiarni i stary Żyd z Kalifornii powtarzał very good, very...

Wysiadł z autobusu i z powrotem był koło domu, widać płot zielony, u gospodarza otwarte okna, starzy pewnie nie wrócili jeszcze ze szkoły, może matka wróciła, ale ojciec na pewno nie, on siedzi w szkole godzinami, bez celu. Po prostu lubi szkołę. Matka kłóci się z nim z tego powodu.

Stanął przy gołębniku. Ze środka dochodził szelest i bulgot głęboki, jakby gardłowy. Uderzył pięścią w deski, raz i drugi, szelest wzmógł się, zakotłowało.

Nie wiedział, gdzie iść. Już tak od wielu dni, miesięcy, zawsze przychodziła ta chwila, czasem bardzo długa – gdzie iść.

Do redakcji tego pisma literackiego młodych nie. Na spacer tą ulicą wśród żółtych, cukierkowych domów też stanowczo nie. Co krok głupie, pewne mordy, gatki bez mankietów, to taka ostatnio pilnie przestrzegana moda, wszyscy ci faceci z aktówkami – aktówki zielone, żółte, ciemne, faceci idą z ładnymi dziewczynami, opalone te dziewczyny, pewne jak licho, na wysokich cienkich obcasach, podskakują im pośladki.

Może, zawahał się Krzysztof, na Dół. Dawno nie był na Dole.

Tam na Dole w parkowych zaroślach przy Śniegockiej Karaluch, Wygibus, cała zgraja starych wysłużonych złodziejasków od świtu zaprawia się piwem i gorzałą.

Co dzień tak sterczą gromadą pod tym sklepem, róg Czerniakowskiej i Śniegockiej, szarówka jeszcze, a oni tak sterczą i wypatrują taksówek z góry. Niecierpliwą się cholernie, palą fajkę za fajką. Na Dół zjeżdżają alfonsiaki, ich dziewczyny, doliniarze, chłopaczki z rannych tramwajów i Głównego Dworca, całe to bractwo wali na Dół.

Więc ta zgraja wysłużonych złodziejasków, stare, siwe chłopy, taki Karaluch, maleńki, bezzębną szczęką mamle, kiedyś całe nocne miasto znało go, duży kozak, teraz, mówi, jestem na eme-

ryturze, i inni, wszystko przedwojenne fachmany – sterczą cierpliwie i wyczekują na taksówki z góry.

Na Dole od dwóch tygodni jest też Rysiek Długi. On też do miasta już nie wychodzi. Tylko na Dole, powiada, bo na górę nie mam ochoty, mury wyciągają, a tu powietrze...

Bardzo wysoki, prawie dwumetrowy ten Długi, siedzi od świtu na ławeczce, tej pierwszej, zaraz od Śniegockiej, ręce zaplata na brzuchu jak gospodarz i czeka. I głowę mam dziwną teraz, zwierza się, po ćwiartce zawsze zasypiam, śpię ze dwie godziny i znów wypijam ćwiartkę.

Lubi go Krzysztof, bo Długi dużo rozumie, uśmiecha się nijako, a powie jedno słówko, i już wiadomo, że wszystko wie.

Tak jak wtedy – wyszedł Krzysztof z „Kaskady”, świt był piękny, czysty, nie chciało mu się iść do domu, zaszedł na Dół. Długi woła, zrób ćwiartkę. Wypili. Długi ręce zaplótł na brzuchu, wyciągnął się i mówi – o, teraz dobrze mi, bardzo dobrze. Spojrzał na Krzysztofa, uśmiechnął się po swojemu, nijako. To ty jesteś turysta, powiedział przeciągle, ani tu, ani tam... Krzysztof zmieształ się, Długi patrzył bez uśmiechu. Turysta, powtórzył. A ja wybrałem już, jestem z Dołu i koniec. Zaraz zasną, dodał.

Rzeczywiście, zasnął wkrótce. Dłonie zwisały mu ciężko. Prawa z wytatuowanym węzem. Piękna robota ten tatuaż. Jojnego robota. Twarz ma Długi we śnie starczą, zmarszczek pełno, najwięcej koło oczu, poci się we śnie, cała twarz pokryta kropelkami potu.

Nie, na Dół nie. Pa co tam. Wiele razy już był, kilkanaście ranków, nocami też. Długi będzie się śmiał, do rozpuku będzie się śmiał, jak go zobaczy. Turysta znów podróżuje, będzie wołał za Krzysztofem.

I będzie Krzysztofowi głupio. Oni, ta zgraja z Czerniakowa, kupą przy Książęcej czekają na taksówki albo leżą jak worki na ławkach, już zaprawieni. Nie mógł tam jechać.

Przykucnął pod gołębnikiem i przymknął oczy.

Wcale nie był pijany, wódka tylko ostrość myślenia czyniła męczącą. Dużo myśli, przeróżnych myśli, wszystkie jasne, przejrzyste, cała kotłowanina myśli. Przymknąwszy oczy widział też twarze. Mnóstwo twarzy. Baśka, ta jego dawna dziewczyna, teraz próchno, gdzieś tam po Targowej włóczy się, nienawidzi go chyba, ma rację. I ta dawniejsza twarz Baśki z tamtych czasów i ta ostatnia zniszczona, zmęczona.

Poszedł nad glinki. O tej porze, uznał, nad glinkami musi być cała ferajna. Z tą ferajną to znajomość już wieloletnia. Ferajna jak baza dla mnie, myślał, fundament, opoka.

Parę lat po wojnie przechodził zimą przez pokrytą lodem gliniankę do tych chłopaków z Bud. Zbierali się u Karabinka, matka częstowała kawą. Jego starzy byli w tym czasie w kościele, miał dwie godziny czasu. Opowiadał kryminały albo podróżnicze książki. Zmyślał, żeby tylko było więcej przygód, bardzo lubił widzieć ich zasłuchane, pełne napięcia twarze, cieszył się... Potem stawiano wódkę. Częstowali Krzysztofa, nie lubił wtedy tego palącego z ostrym smrodkiem płynu, ale wypijał porządny łyk...

Zaszedł od Chaty Rybaka. Z tej strony cypel pusty. Usiadł na zboczu. Nikt się nie kąpał i nikt nie widać. Siedział wpatrzony w trzciny, palił papierosa. Przeszedł się wzdłuż brzegu. Za groblą, zobaczył minąwszy gruz Chaty Rybaka, siedzieli ci z Bud. Karabinek, Bogdanek, Trybiak i Sarapata. Akurat wypróżnili butelkę. Strzelec rzucił z rozmachem w wodę.

– Za późno – powiedział Trybiak. Krzysztof wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno.

– Ale można drugą ćwiartkę – zaśmiał się Karabinek.

Na zakąskę mieli salceson, pogryzali młodą cebulą.

Brzegi stawu puste, nawet nad Oceanem nie widać rybaków.

Karabinek rozwaliał się na trawie, ciężki, z dużym, wypukłym brzuchem.

Ona poznała też Karabinka. Karabinek pocałował ją trzy razy w rękę. Kobitka, mówił, niczego i już stała, to i dobrze. Ja też mam stałą, najlepiej mieć coś stałego. Zaprosił ich na piwo, konieczne chciał, żeby wypić duże jasne. Był trochę obrażony, kiedy odmówiła. Potem ona spotkała go w

sądzie. Ukłonił się głęboko. Dopytywał się Krzysztofa, twoja w sądzie się obraca, co ona za figura. Krzysztof wybąkał coś niechętnie, nie chciał mówić, co ona robi, bo i po co, frajerska to przecież dla nich robota, i trochę dziwnie patrzyliby na Krzysztofa. Dobrze, że ten Karabinek nie dopytywał się więcej. Żeby znów teraz nie pytał, co z nią, co porabia, bo przecież to do szalu może doprowadzić, a jeszcze wtrąciłby się Trybiak, zaczęliby, że to niby malutka, takie małe najlepsze, albo że taka jak pięć minut i że z takimi małymi nie wiadomo co robić, lepsze już takie przy kości, po kilkadziesiąt kilo. Bogdanek i Sarapati też zaczęliby, co za jedna, skąd... Ona, ona, ona. Zacisnął pięści.

– Ale masz kałdun – warknął spoglądając na Karabinka.

Karabinek zachichotał ucieszony. Uniósł się, przyjaźnie szturchnął Krzysztofa. Ręce miał wilgotne, ciężkie. Złożyli się na następną butelkę. Po wódkę skoczył ten karłowaty śmieciarz Bajaderka.

Na przeciwległym brzegu pod szkolnym wychodkiem pokazało się kilku facetów. Bardzo zaprawieni, zataczali się porządnie po ścieżce. Trybiak popatrzył tam. Karabinek też. Ożywili się.

– Chyba Kazek Wariatek – mruknął Trybiak – i jakieś nieznajome chłopaki.

Jeden z tamtych próbował ściągnąć spodnie. Zaplątał się w nogawkach i upadł. Niemrawo grzebał nogami. Wariatek i ten drugi w gimnastycznej koszulce poszturchiwali się od nie

chcienia. Nagle Wariatek przykulił się, machnął krótkim ciosem. Ten w koszulce odbił się o ścianę wychodka. Wariatek przyparł go walił miarowo. Ten zaplątany w nogawki wstał wreszcie i pośpieszył do nich. Wariatek nie oglądając się zawadził go butem. Upadł.

– Ho, ho – cieszył się Karabinek – wpadł w szal.

– On ma ostre te szaly – rzekł Trybiak i lubi się wtedy bić, cholernie lubi.

– Na swoich chłopaków to on nie rusza – wtrącił Sarapati. – Przecież to jakieś frajery nie od nas.

– Zobaczmy z bliska – Karabinek wygładził koszulę. – Warto.

– A wódka – przypomniał Trybiak. – Bajaderka zobaczy nas i przyjdzie. Wolno, miarowym krokiem szli przez groblę do tych z przeciwległego brzegu. Przystanęli za wychodkiem. Tak, to Kazek Wariatek, a ci dwaj – nieznajomi. Stary łysy, przyparty przez Kazka do ściany, puścił już krew, zamazał gębę na czerwono. Ten, który upadł, popłakiwał cicho. Kazek uśmiechnął się przyjaźnie do chłopaków z Bud, był w rozdeptanych bamboszach, koszula podarta.

– Zagranie następne! – krzyknął. Złapał tego starego za gardło, staremu żyły wylazły na czole. Uniósł go w górę, silny ten Wariatek, i cisnął w trzciny.

Stary wpadł głową w zieloną, gęstą wodę. Machał nogami. Trzciny zakołysały. Ryknęli śmiechem. Ale to wyglądało, te nogi majtające się ponad wodą, chlupot, rozeszły się kręgi, stary w żaden sposób nie mógł się wygrzebać.

Kazek usiadł w kucki i też śmiał się cicho, cienko.

– Zgrywus – rzekł Trybiak i odbił flaszkę. – Trza i jemu dać, bo zrobił fajną zgrywę – uznał Karabinek.

Nogi starego znieruchomiały, woda uspokoiła się.

– Zarył w ślamie – rzekł Sarapati. Krztusił się jeszcze potężnym śmiechem.

– Może już mu starczy – Strzelec podszedł do trzciny – taki stary może się udusić i afera gotowa.

Obaj z Wariatkiem poczęli ciągnąć starego za nogi. Ciężko im szło. Stękali z wysiłku, ale wreszcie wyciągnęli go. Ledwie zipsał już, łapał powietrze jak ryba i twarz miał oblepioną zielonym błotem, gruba warstwa tego świństwa na twarzy. Zaczął popłakiwać Fienko.

– Odżył – powiedział Sarapati.

– Daj mu w dziób – poradził Trybiak bo wstrętnie jęczy.

Krzysztof usiadł pod wychodkiem, przymknął oczy.

Najgorsze w przypominaniu jest to jej życie z tamtym mężczyzną. Uporczywie ogarnia. Dwa lata z tamtym. Teraz z Krzysztofem. Dwa lata z tamtym. To przypominanie jest męczące i nie-

ustannie drąży jak świder. Mówiła, on, tamten, chciał, żebym była taką żoną prawdziwą, domową kurką, służącą mężczyźnie do uciech. Wracał z pracy, szli do kina, bardzo lubiła filmy, czasem znów w bridża, mówiła, do znużenia graliśmy w bridża. Wieczór, kładli się spać, spali razem. On, mówiła, twarz miała, gdy mówiła, zmęczoną, brzydką prawie, bardzo lubił mnie, przedtem nie miał wielu kobiet, znałyłam dużo dla niego. Więc te noce, kiedy on wiecznie pragnął jej, obejmował, budził natarcywie, zwracała senną twarz ku niemu, mówiła, lubiłam go też, bardzo lubiłam, lecz nie było nic takiego między nami, co nazywa się uczuciem, wielkim uczuciem. I oczy miała otwarte, utkwione w suficie, pokój rozjaśniony nieco światłem wpadającym z ulicy, on obejmował coraz mocniej, jej oczy znużone, obojętne, wlepione w sufit i tyle tych nocy, dwa lata.

Podetknęli butelkę Krzysztofowi. Coś mówili do niego. Wypił porządny łyk, zerwał się.

– Utopić!! – wykrzyknął – koniecznie utopić!

– Starego? – zapytał Trybiak.

Krzysztof począł biec szybko po pochyłym zboczach glinianki. Oni bardzo zdziwieni. Telefon na poczekalni. Więc trzeba na poczekalnię. Nie. Lepiej na śródmieście, bo ten na poczekalni często popsuty. Potrącał ludzi, spieszył do budki telefonicznej. Ona powinna być teraz w domu, zwykle o tej godzinie jest w domu i szykuje się do Zespołu.

Zadzwoił. Polce mu dygotały i dwa razy pomylił numer. Mocno ścisnął przegub i wykręcił właściwą liczbę. Jej głos w słuchawce – zawahał się. Zaraz jednak zaczął mówić cicho, jakby re-cytując: Bardzo chce spotkać się z nią. Zgodziła się. Więc pod Zespołem. Powiesił słuchawkę. Był zmęczony i pusty, huczało mu w głowie. Czekać tam, pod Zespołem, nie warto. Do spotkania z nią dużo czasu. Postanowił połączyć. Alejami, podejść pod dworzec, a później wróci tramwajem. Zaraz przed tym komisem z ciuchami przystanął oszołomiony. To chyba on. Nie mógł się mylić. Tak chodzić mógł tylko on, rozbujanym, długim krokiem, z głową wtuloną w ramiona. Krzysztof podbiegł, spojrzął z boku. Na pewno on. Nie zmienił się nic. Śniady, sprężysty, z ostrym garbatym nochem.

– Jojne – wykrzyknął radośnie Krzysztof. Tamten odwrócił się gwałtownie. Też poznał Krzysztofa.

– Małolatek – powiedział – kupę lat.

– Jojne – szeptał Krzysztof – Jojne, jak to dobrze. – Cieszył się jak dzieciak. Wtedy był z Krzysztofa naprawdę małolatek. Ze sterzącą kogucio czupryną; czerwienił się raz po raz, małolatek. Zawieźli go tam milicyjną cytryną. Niepokój ścisnął piersi. Więc do więzienia, powtarzał po drodze, do więzienia. Cele, kraty, szcęk kluczy, wyobrażał to sobie bardzo wyraziście, i nie wiadomo ile czasu. I potem właśnie w 111 celi Jojne. Spacerował sam między pryzkami, wszyscy z boku stłoczeni w gromadę wodzili za nim głowami. Jojne to lepszy kozak, włamywacz, szeptali Krzysztofowi, ze starej złodziejskiej branży. Jojne chodził na cztery kroki tam i z powrotem, godzinami tak chodził z głową wtuloną w ramiona i milczał. Przed apelem przestał, popatrzył na Krzysztofa i uśmiechnął się szeroko, dobrodusznie.

– Pierwszy raz – powiedział – znam ten ból, ale przyzwyczaisz się. – Zamyślił się i dodał: – Małolatek.

Odtąd gadali co wieczór. Jojne miał duży wyrok i zawsze gimnastykował się, a po obiedzie odpoczywał przymknawszy oczy, trzeba się oszczędzać, powiadał, nie wolno się rozklejać... Leżał na betonie zawsze równą godzinę, śniady, spocony.

Pomaga w trawieniu, mówił z powagą. W okienko z błękitnym niebem rzadko spoglądał. Było wtedy piękne lato. Jojne mówił: nie warto w takie niebo spoglądać, bo coś się przypomina, kurwa jego czarna mać, mówił przeciągle. leniwie, to trzeba trzymać się tego, co jest, i nie pękać.

Krzysztof zaciskał usta, drgała mu broda, łyzy kręciły się natrętnie w oczach, żeby nie widzieli, myślał, cholerne łyzy, beksa, żeby nie zobaczyli. Nakrywał się szczelnie kocem, myślał – trzymać się tego, co jest, i nie pękać, koniecznie.

Nie mógł zasnąć. Pod kocem duszno, za oknem to czyste letnie niebo z gwiazdami. Jojne palił jeszcze papierosa. Małolatek, głos Jojnego, nie śpisz? Nie, odpowiedział Krzysztof, Jojne rzucił mu papierosa.

Nic się nie zmienił ten Jojne, w ogóle. Ten chód kozacki, więzienny, uśmiechał się do Krzysztofa szeroko, dobrodusznie.

– Żyję pomału – mówił – jakoś daję radę. Przeważnie kręcę się po Pradze. Praga teraz najlepsza.

„Daje sobie radę – powtarzał Krzysztof i tak samo jak wtedy wygląda.”

Zachłannie patrzył na twarz Jojnego z czerwoną krechą na policzku, oczy kpiące, przymrużone i nosisko ostre jak brzytwę, opadające na brodę.

– I ty, Małolatek – rzekł Jojne – też taki sam, zupełnie taki sam, ja to wyraźnie widzę.

„Jojne trzyma się zawsze tak samo jak wtedy – myślał Krzysztof – nic go nie bierze.” Tego wieczoru z Jojnem nigdy nie zapomni, to był taki fajny wieczór, zimno, grudzień. Siedzieli w karcu, po 48 dostali, przegadali całą noc. Jojne przed wojną chodził do złodziejskiej szkoły i wtedy już po raz pierwszy wpadł do ciupy, Wojna, Pawiak, getto, Jojne w tym żydowskim powstaniu. W karcu paliło się mdłe światełko, Jojne podciągnął koszulę, plecy pokryte drobniutkimi jak żyłki zgrubieniami, od granatu, objaśnił Jojne, nieźle poharatało. I od wojny droga Jojnego też nielecha: Rawicz, Wronki, Strzelce. Jojne fachman-włamywacz, jeden z nielicznych fachowych kozaków. Tylko fartu nie ma się za dużo, wyznał Jojne, często wpadam do puszek. Ale cóż, chichotał w tym małym, wypełnionym mdłym światłem karcu, ale cóż, nie ma na to rady.

Krzysztof, małolatek wtedy, szczawik szesnastoletni, postanowił być twardy. Dziś wspominając zaśmiał się gorzko. Twardy, pokręcił głową, ogarniał go coraz mocniejszy, zły śmiech.

Przechadzali się spacerkiem ulicą. Krzysztof siedział z opuszczoną głową.

– Za dużo myślisz – usłyszał głos Jojnego – to nic nie daje.

– Ja – Jojne pociągnął go za rękaw – myślę tylko o tym, co konieczne. Jak zarobić, wypić, dziwkę złapać, tylko tak, Małolatek.

Nazywał go Małolatkiem. „Dla niego zostałem już Małolatkiem” – uśmiechnął się blado Krzysztof.

Twąż Jojnego śniada, cygańska jakaś i te mądre, kpiące oczy.

– Tobie – wyszeptał Krzysztof – to dobrze.

– Dobrze – zdziwił się Jojne – no, nie tak bardzo, raczej j kiepsko. Forsę mam, to prawda, ale fartu jak nie było, tak nie ma.

– Bo mnie – wymamrotał Krzysztof – nie za dobrze.

Już za moment ją zobaczy. Ogarnął go niepokój. Jaka będzie jej twarz. Taka jak zawsze, w oczach to coś, co czyniło każde spotkanie koniecznym, dobrym, czy będzie to twarz obca, nieznaną, obojętną. Może już ma dość, obrzydło jej to wszystko, zmęczyły te złe, pijackie sprawy, glinki, Profesory, Benki i te jego powroty, zmęczony, szara, wymięta twarz, ból głowy, w żołądku kłuje i ściska. Zaczynasz okres kuracji, mówiła wtedy patrząc na Krzysztofa. I znów glinki, Benki... Jeżeli ma już dość, niech powie od razu, niech wygarnie dokładnie co do joty, niech nic nie ukrywa, niech powie okrutnie do końca.

Nie, nie może tak powiedzieć, to byłoby nie do zniesienia. Nic by już nie zostało. Ona nie może tak powiedzieć.

Przystanęli za tablicą z ogłoszeniami.

– Randka? – zapytał Jojne.

Krzysztof wpatrywał się w bramę. Już powinna wyjść. Minęło kilka minut. Niepokoił się. Wyszła, zauważyła go. Uśmiechnęła się. Krzysztof też wykrzywił twarz. Niech nic nie zauważy, nic, myślał, po co od razu ma wiedzieć wszystko.

Poznał ją z Jojnem.

– Ładna – zacmokał Jojne – milutka.

Ona zdziwiona.

– To Jojne – powiedział Krzysztof – mówiłem ci dużo o nim.

– Mówiłeś? – zdziwił się Jojne.

W tych najgorszych dniach powrotów z glinianek, jak mówiła ona. Kiedy nie Wiedział, co robić, gdzie iść – zawsze opowiadał jej o Jojnie. Znała go dobrze. Jojne, ożywił się Krzysztof, kozak twardy jak... nic go nie rusza. Wszystko opowiedział jej. Ta pierwsza noc w ciupie, wieczorne gadki, co dzień te gadki, a kiedy przenieśli go do innej celi, na oddział dla małych, wychodząc na spacer wiedział, że Jojne przystawi twarz do krat okienka i będzie krzychał: trzymaj się, Małolatek.

Jojne w tym czasie walczył o wariackie papiery, miskę wyrzucił na korytarz, modlił się do pieca, przez wiele miesięcy walczył Jojne o te papiery. Przystawiał twarz do chropowatych krat okienka i uśmiechał się dobrodusznie do Krzysztofa. Jojne zawsze się tak uśmiechał, i dzisiaj też.

– Dużo mówiłem o tobie – powtórzył Krzysztof.

Ona w tej połyskliwej spódniczce, tej najnowszej. Razem szukali czegoś ładnego na bazarze i kupili połyskliwą, stalową spódniczkę. Doskonale wyglądała.

Milutka, powiedział Jojne. Możliwa figurka, Jojne tak też na pewno uważa, patrzy na nią z życzliwym, dobrym uśmiechem. Myśli sobie, niezłą wynalazł kobietę ten Małolatek ze sto jedenastej celi.

Ci Żydzi z Kalifornii są jeszcze u jej rodziców.

Ona ma torebkę w kształcie gruszki, a przecież do Zespołu chodzi zawsze z teczką na te sądowe papiery. I on, jak się spotykają, chwytą zaraz za teczkę, bo ciężka bardzo. Wypchana tymi papierzyskami. I idą na spacer. Pewnie zaszła do Zespołu na krótko, a przed tym z tymi z Kalifornii, może byli gdzieś na wycieczce tym pięknym kremowym wozem.

Nie, zacisnął zęby, nic o tym, to jest trudne do zniesienia, to tak męcząco świdruje łeb. Jojne, gadać z Jojnie, wspominać te ich sprawy z ciupy, ona, i ci z Kalifornii, tę ohydłą babraninę oddać, zapomnieć, tak nie można przecież.

Jojne był też takim powszechnie uznanym specjalistą od tatuowania, wielu chłopaków i Długi też mają tatuaże jego roboty, pięknie kłuł Jojne tatuaże. Bez żadnych wzorków na szmacie robił tatuaże, brał igły, przymykał oczy, namyślał się i zaraz wychodziły gwiazdy Syberii, jelenie, piękne dziewczyny. Wszystko równo i gęsto kłute. Bardzo prosili Jojnego o tatuaże.

– Pójdziemy na wódkę – zaproponował Krzysztof.

– Przecież już piłeś – zauważyła ona chyba dużo piłeś.

Parę kroków stąd knajpa. Zaszli tam. Usiedli na wysokich stołkach. Półmrok, powarkiwiał wentylator.

– Przyjemnie – rzekł Krzysztof. Zamówił? wódkę.

– To właściwie pierwsza nasza wódka rzekł Jojne – nigdy nie piliśmy.

– Z panią też – dodał.

Jojne chyba już dużo wie o nim i o niej. Patrzy uważnie, nic nie mówi. Jojne już wie, że źle jest u nich.

Ona jeszcze z tymi znajomymi z Ameryki. Rodzice bardzo zadowoleni. Ona podoba się znajomym zza Oceanu. Mówią – taka miła, gościnna. Pewnie prezenty jakieś jej dadzą, takie rzeczy amerykańskie, perfumy, pończochy, papierosy, oni dają takie prezenty. Może zaproszą do siebie do Kalifornii. Jej matka ucieszyłaby się. Nareszcie ona oderwie się od tych swoich męczących historii, mówi jej matka. Ojciec przyznaje rację, też się cieszy. Te jej historie, to naprawdę nie ma sensu. Zadowoleni oboje. I ona też. Bo to wszystko takie zabawne. Ci Amerykanie, wycieczki z nimi, ich gardłowe bulgoczące gadanie. Na pewno i dzisiaj była gdzieś z nimi. Ubrana tak jak wtedy, gdy chodzili gdzieś we dwójkę do teatru, na jakąś wystawę lub do znajomych. Krzysztof drwił i mówił niezmiennie; że ubrała się galowo, jak stróż. Galowo, jak stróż, powtarzała bez złości, ale jestem przyjemnie ubrana, prawda? Prawda. a Fajnie wyglądała. Faceci na ulicy oglądali się za nią. On widział ich gęby doskonale. Cieszy się – jestem zadowolony gach, kpił, ale naprawdę cieszył się.

Ona siedzi obok niego. Widział jej twarz z profilu. Opuścił głowę. Ona wie doskonale, że jest źle. Wystarczy przecież spojrzeć na niego, nie ogolony, paluchy brudne, zmęczony. Trzeci już dzień.

Jojne też, gdy się spotkali, powiedział, pijesz chyba ostro.

– Za pomyślność – Jojne uniósł kieliszek.

Wypili.

Zakotłowało Krzysztofowi w głowie. Jojne rozmawiał z nią, ich głosy oddalały się, zatarte, mgliste. Wybuchnęła śmiechem. Jojne coś wesoło opowiada. On zna różne kawały więzienne, żydowskie, całą kupę tych kawałów.

Jojne lubi rozmawiać z kobietami, to przyjemna zabawa, uważa, i mówił też kiedyś Jojne, dobrą współpracę trudno mi znaleźć, taki chłopak jak ja, choć zarabia parę groszy, to jednak współpracownicy nie znajdzie, bo czy znajdzie się taka, co by czekała rok, dwa, nie puszczała się z boku. Baby nie lubią takiego niepewnego chleba. Pod 102 celą Jojne to powiedział, nie znajdzie się taka baba, zakończył.

Zaczynam być pijany, uznał Krzysztof, to i lepiej. Od rana już chciał upić się, porządnie upić się. Więc ona trzy dni bez niego. Właściwie on też nie chciał jej widzieć. Niech bawi się. Bo ona bawiła się przez te trzy dni. Ci cudzoziemcy, ich ubranka, tweedowe marynareczki, buty z ostrymi nosami. Takie ubranka widzi się tylko na ciuchach i to co gorsze, wysłużone, więc oni w tych ubrankach, ramole ze sztucznymi zębami, oni podobno nie patyczkują się z zębami.

Wprawiają sztuczne szczęki i koniec, więc błyszczą tymi sztucznymi zębami, otwierają drzwiczki kremowego wozu, ona wsiada, amerykańskie cuchnące papierosy, mają chyba też gumę do żucia. Jej matka ma używanie, całą tę swoją podręcznikową angielszczyznę wyrzuca z siebie i gędzi z nimi. Ona wyjedzie do Kalifornii, tacy bogaci to wyjazd opłacą, matka będzie uczyć ją angielskiego. Ma całą kupę książek, słowników, book, books, będą co dzień po godzinie przerabiać exercises, ojciec, matka zachwyceni. W domu nastrój świątecznych przygotowań do dalekiej podróży za Ocean. Cha, cha, za Ocean, statkiem, samolotem. Ona na dworcu lotniczym, pełna niepokoju, radosne oczekiwanie. Jedzie do Ameryki, cha, cha...

Gwałtownie wypił wódkę.

– Jojne – Krzysztof przysunął się do niego – Jojne, ja nie mogę...

Rozkaszał się, czuł smród wódki, wstrętny, zbierający na mdłości.

Ona zapaliła papierosa. Wie, o czym on myśli, powinna wiedzieć, a może nie chce wiedzieć. Nie może, naprawdę nie może, to nie jest żaden pijacki farmazon.

Z napięciem czekał na to, co powie Jojne, poważny teraz, surowe, głębokie fałdy koło ust.

– Nie mogę, nie mogę – powtórzył Jojne – jakby tak każdy chciał się rozklejać, to – wykonał znaczący gest przy szyi – tylko sobie poderżnąć... Pijesz wódkę nieumiejętnie zakończył z naganą.

– Tak – zgodził się Krzysztof – nie umiem. Nagle chwycił ją silnie za rękę. Drgnęła.

– Oni – spytał zdławionym głosem – oni, ci z Ameryki, jeszcze są?

Pokiwała głową.

– Idziesz do nich?

– Tak – odpowiedziała – oni jutro rano wyjeżdżają, prosili na pożegnalny wieczór.

– Nie! – wykrzyknął – nie możesz tam iść, zostań.

Błagał. Słowa plątały mu się, włosy opadły na czoło, coraz silniej ścisnął jej ramię. Uspokoił się i zwiśł bezwładnie nad stołem. – Pójdę tylko na chwilę – powiedziała pożegnać się.

Na chwilę. To dobrze. Pożegnać się musi. Jej starzy byliby wściekli, gdyby nie poszła tam. Chamstwo, mówiliby, jak tak można, brak wychowania. Ona musi tam iść.

– Małolatek – postyszał głos Jojnego.

Jojne wetknął mu w usta papierosa.

– Popał se, dym dobrze robi.

Znów wypili. Zakrztusił się. Mocna gorzała. Nareszcie, ucieszył się, ta wódka robi swoje, we łbie lepiej, spokojniej jakoś. Wszystko wokół poczęło razem z nim wirować jak na karuzeli, tylko

ją widział nieruchomo, wyraźnie. Ona martwi się, myślał z zadowoleniem, wie, że ze mną dziś słabo, wie, że bardzo słabo się czuję.

– Na mnie już czas – zsunęła się z wysokiego stołka.

– Odprowadzimy cię – Krzysztof ruszył za nią.

Jojne dopił resztkę wódki z butelki i też wstał.

Minęli przecnicę i już przed nimi ten strzelisty wieżowiec, największy w mieście hotel.

Wiele światła, migał neon. Ta budowla strzelista kołysała się i rozlewała w oczach Krzysztofa w długą bezkształtną masę.

Tu mieszkają ci Amerykanie, tu będzie ten pożegnalny wieczór. Oni czekają, jej rodzice zaniepokojeni, późno już. Będzie piła whisky, będzie paliła cuchnące papierosy i jakby nigdy nic będzie śmiać się, dowcipkować, ona jest bardzo opanowana. Wszystkie swoje sprawy chowa głęboko do środka i może śmiać się, dowcipkować.

Miękko podjeżdżały pod hotel lśniące limuzyny, dużo tych limuzyn. Ona lubi takie samochody, nowoczesne, niskie, mknące jak opętane. Pewnie i teraz spogląda na nie z zaciekawieniem.

Bardzo niepokoją się. Bo jak tak można. Ona spóźniła się już ze dwie godziny. Siedzą w tej wielkiej sali z zielonym sufitem, muzyka jazgocze, ona lubi też tańczyć.

Krzysztof przystanął i chwycił ją za ramię.

– Nie pójdziesz tam – wyszeptał – nie.

– Ależ, Krzysztofie... – jej głos doszedł niewyraźnie, bez dźwięku.

– Nie!

Szarpnął ją silnie. Ogarnęła go fala nienawiści, bezsilnej, wzmagającej się nienawiści. Już nie widział jej twarzy. Przed sobą miał martwe, puste ulice, na rogach, przy budkach uliczne dziewczyny, tramwajarze, cały kłęb takich dziwnych nocnych facetów, on włóczy się po tych martwych ulicach, pijany, zmęczony. Nie wie gdzie iść, bołą go nogi. Idzie na dworzec, tam na ławeczkach w żółtym świetle siedzą ci obszarpani, brudni z workami. Bufet za

lany piwem, szary świt, jeszcze nie pogaszone latarnie, boli łeb, pierwsze tramwaje, bańki z mlekiem, on łązi, nogi zmęczone cholernie, nie wie, gdzie iść.

– Nie pójdziesz! – krzyczał.

Uderzył mocno, z rozmachem. Jej głowa zakołysała się, uderzył jeszcze raz. Szarpał, kopał.

– Krzysztofie – jej głos doszedł teraz wyraźniej. Przygryzł wargi, przestało wirować, jej twarz znieruchomiła tuż przy nim.

– Nie – powtórzył zawzięcie i przymknął oczy, bardzo zmęczony.

Zastukały kroki. To ona odchodziła szybko. Do tego wielkiego hotelu. Migały neony. Coraz więcej samochodów. Poszła. Nie widać jej. Wyteżył wzrok, ale nie zobaczył jej. Ogarnęło go przeżenie.

– Jojne – wybełkotał żałośnie – co robić? Jojne, co robić?

Jojne stał przy płocie odwrócony plecami.

– Jojne! – zawołał Krzysztof. Chwiał się na nogach, łeb ciężki jak kamień.

Jojne odwrócił się szybko.

– Co robić, co! – warknął. – Mówisz jak frajer. Myślisz – dodał ciszej – że ja wiem...

Pójdę, myślał Krzysztof, do niej pójdę. Koniecznie, znajdę, ona mi powie, ona mi na pewno powie, przecież chyba to nie koniec, nie... poruszał ustami. Ślina ściekała mu po brodzie.

– Na razie – Jojne chwycił go za kłapy nic nie będziesz robił, wsiądziesz w wózek, wykimasz się, a jutro...

Zatrzymał taksówkę, wetknął Krzysztofowi w dłoń pieniądze.

– Przecież – zaśmiał się – ona jest bardzo za tobą i jeszcze ci źle.

Jojne usta miał zaciśnięte, twarz świecąca potem, odwrócił głowę.

– Wsiadaj – pośpieszył.

Ten wielki, reprezentacyjny hotel migał różnymi kolorami światła. Dochodziła stłumiona muzyka.

Jojne zatrzasnął drzwiczki samochodu, otarł twarz i zaklął półgłosem.
– Ona – powtarzał Krzysztof – ona...

NIEDZIELA

Naprzeciw przygotowywano się już do święta. Krzysztof uniósł się na tapczanie, łokciami podparł brodę, doskonale widział te przygotowania. Strusiowa paradowała w różowej halce z koronką, otworzyła szafę, przebiera w betach, Struś golił się na stojąco, za nim szeroki zad jego baby, ona obleka teraz sukienkę.

Zaraz też zobaczył tłum tych świątecznie ubranych Strusiów walących ulicami, wygolone, pewne pyski, skrzyp butów, spodnie, wyprasowane ostro, furkot halek; wszystko to wali, kłębi się, płynie, wlewa w kawiarniane ogródki pod parasole, przysiada na ławkach w alejach, żar przypieka. Zaklął półgłosem i wyrzał przez okno, na pewno upał, niebo czyste i nawet w to studzienne podwórze wpada słoneczna jasność. Więc organizował dzień tak jak wszystkie te świąteczne. Leżał do południa, ćmił papierosy, długo golił się, chyba ze trzy razy ciągnął żyłką po gładkiej już twarzy. Zjadł dwa jajka sadzone, rozrobił w rondelku kostkę zupy grochowej, dorzucił masła, pogotował dziesięć minut i wypił ten gęsty bełt o smaku maggi. Resztę zupy wylał na parapet, skrył się za zasłoną i patrzył na gołębie, które zleciały stadkiem i dziobały łapczywie ciepłą zupę. Gołębica siedząc, w dziurze pod rynną zerkala raz po raz na stadko łomotające się po blasze, ale tkwiła nadal nieruchomo, rozczapierzona na dwóch jajkach, już tak dziesięć dni wysiadywała te jajka.

– Mateczko, proszę bardzo, no... – zapraszał ją Krzysztof.

Gołębie odleciały, na parapecie zakrzepła zupa i dużo białego łajna. Krzysztof wziął pogrzebacz i zeszkrobywał z parapetu to wszystko zeskorupałe świństwo. Wychylił się z okna, piętro niżej widział sypialny pokój z rozbebeszoną na łózkach pościelą, kobieta okrakiem na stołeczku, opuszczony do pasa szlafrok, nacierała się jakimś płynem z pękatej butelki. i Cofnął się szybko, gdyż uniosła głowę. Niebo N nad podwórzem tężało niebiesko, do pokoju wlewał się gorąc spotęgowany jeszcze brakiem powietrza w tym małym pokoiku na poddaszu,

w tej wielkiej kamienicy–twierdzy o starych wyszczerbionych pociskami murach. Naciągnął zasłonę. W pokoju zrobiło się mroczno i jakby chłodniej. Spacerował wzdłuż ściany, z utęsknieniem czekał na wieczór, który w taki letni r dzień spada na miasto niespodzianie. Za ścianą podniesione głosy.

Przystanął. Nasłuchiwał. To u gospodarzy.

– Ile? – pytał Bednarski.

Zaraz seria jego astmatycznego kaszlu.

Drugi głos przyciszony, szybki, nic nie można zrozumieć. Obliczał coś kłócąc się zajadle.

– Trzy i pół – upierał się drugi głos. Znów seria astmatycznego kaszlu.

Krzysztof zaniepokoił się trochę. Miał do piętnastego ledwie trzy stówki.

„Mało” – pomyślał.

Usiadł przy stercie papierów pod piecem. Przeglądał stare, pożółkłe tygodniki. Filmowe gwiazdy o ładnych, wypranych twarzach, pękate piersi Włoszek i dużo męskiej, wzorcowej urody.

– Męski – powiedział bezmyślnie Krzysztof – twardy i z charakterem.

Zgniótł w garści to filmowe piśmidło. W gazetce młodzieżowej artykuł o Mohawkach. Słynni budowniczości mostów, drapaczy chmur. fachmani od wysokości. Dawniej mężni wojownicy. Fajni ci Mohawkowie. Pracują kilkaset metrów nad ziemią i nie chcą żadnych ubezpieczeń.

Położył się na tapczanie, zamknął oczy. Wyczekiwał na wieczór. Wieczorem, postanowił, połązi po mieście. Wcześniej w taką jasność ostrą, upalną, nie chciał wychodzić. U gospodarza cisza. Uchylił zasłonę. Gołębie wygrzewają się na pogiętych prętach. Stuknął w szybę. Najbliższy gołąb osunął się i ciężko zatrzepotał skrzydłami.

„Wstrętne głupki – myślał Krzysztof z rosnącą złością – głupki o okrągłych, zielonych jak paciorki oczach.”

Mocniej walnął w szybę. Zadygotała i dwa gołębie uciekły z wygiętej sztaby.

Tam w kącie za piecem cichy szelest. Na palcach podsunął się do pieca, patrzył z napięciem w ciemną szparę. Od kilku tygodni zaległy się myszy i nocą harcowały po pokoju, zjadały okruchy spod stołu, chrobotwały w starych papierach. Gdy tak hałas nocą potęgowały się, wyobrażał sobie zawsze małą, obrzydliwą w swej ruchliwości mysz, wspina się ostrymi pazurkami po narzucie, już jest na tapczanie, wciska się w fałdy pościeli, wije się jak robak pod kołdrą, dotyka jego ciała, zapalał wtedy nagle światło, ale nigdy jeszcze myszy nie zobaczył, były ostrożne i płoszył je najmniejszy ruch. W kącie za piecem szelest już nie powtórzył się.

Krzysztof włożył koszulę, zawiązał rękawy i wyszedł na schody.

„Niedługo ściemni się i będzie możliwie” –pomyślał. Otworzył drzwi do windy. Nacisnął guzik. Winda z dygotem opadała w dół.

Dozorca Maciak wygrzewał się na ławeczce przed bramą.

– Uszanowanie – powiedział Krzysztof. Dozorca uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął papierosa.

– Państwo Bednarscy wyszli, będzie już godzina, on w czarnym garniturze, pani z kwiatami. Pewnie w goście. – Zaraz, zaraz – przypomniał marszcząc czoło – a jeszcze wcześniej jakiś gruby, chyba od nich. Ale zły, podklinał.

– Wyszli? – udał zdziwienie Krzysztof. Dozorca wykrzywił w zadowoleniu twarz, za chichotał też skromnie.

– Ten zastrzał – powiedział – już przechodzi.

Wysunął wskazujący, spłaszczony palec. Obmacał delikatnie.

– Zebrało się i mniej łupie. Wycisnę niedługo. Od wojny to mi się odnawia – opowiadał – zaczęło się akurat wtedy, co to na czwartym piętrze pod panem była ta jatka...

– Jatka? – Krzysztof ucieszył się, stary zaraz coś opowie.

– Wielka – dozorca przestępował niespokojnie z nogi na nogę, jego twarde, zimne oczy pobłyskiwały, przyoblekł na twarz smutną, tragiczną minę.

„Zgrywus” – pomyślał Krzysztof.

Bo też był to zgrywus. Taka stara, po sześćdziesiątce dobrze miał, błazeńsko ruchliwa twarz, i ten węch jego na sprawy dokoła, na sprawy tych trzystu ludzi zamieszkujących kamienicę–twierdzę, Bali się go lokatorzy; o każdym wiedział co trzeba i mówiono, że z językiem lata też gdzie trzeba, kłania się nisko, głos i maniery ma wytworne, godne, przed wojną pracował u Czartoryskich, a więc oziębły czasem bywa, ale grzecznie oziębły, czasem znów psi, skręcający się w ukłonach, na grosz chciwy, bramę zamyka przed jedenastą, a otwiera słaniając się, niby to snem przeniknięty do końca, prosto ze snu potężnego wyrwany, tylko oko zadziwiło, z lewego oka wypuszcza spojrzenie jak strzałę, czujne, przenikliwe, za tym okiem dłoń się wysuwa, i mniej niż piątkę dać nie wypadło.

I przy tym gadki jego słynne, tragiczne, z całą gamą cmoknięć, drżącego bólem głosu, niezwykle umiejętnie opowiadane. Nielichy zgrywus.

– Ta rodzina – mówił teraz – Żydzi, i u nich jeden znajomy przebywał, Żyd też... Bogata rodzina, przemysłowcy, garniturów, raz tam byłem, cała szafa, druga szafa na fatalaszki żony, a ta żona... – dozorca zacmokał, ten paluch z zastrzałem wysunął, wstrętny, płaski, z górą białej ropy, przy paznokciu – ...kobieta wielkiej urody, i zakochał się w niej ten znajomy, też Żyd, kłękał, błagał, garnął się do niej, widziało się to i owo, panie, mało to razy, z listem do nich – oko ciecica wybałuszone, ostre, i ognik w głębi triumfalny, radosny (radość, że nic przed nim się nie ukryje) – ale ona niewiasta przyzwoita, odrzuciła łajdaka, i ten zakapował, dasz pan wiarę, sam Żyd, więc na siebie i na nich zakapował, do gestapo poszedł. I wpadli z rana, trupie główki i cywil, prowadź, mówią do mnie, pod ten a ten numer, co miałem robić, zaprowadziłem. Pana doktora akurat nie było, doktorem jej męża nazywałem, zawsze bordowa muszka i grube, złote okulary, ale babcia i żona... Panie, jak ona stanęła przed nimi, oprawcami – dozorca wyprężył się, głowę na bok odrzucił i nogę tak postawił jak baletnica, wdzięcznie, sprężyste, a niby niedbale wysunąwszy.

Krzysztofa chwycił śmiech przemożny, z trudem go opanował wtuliwszy twarz w dłonie, – I ten pierwszy gestapowiec nie mógł... po swoim powiedział i opuścił spluwę. Piękna to była niewiasta, dekolt głęboki, naszyjnik z pereł. A jak stała, nic a nic strachu na twarzy, twarz jak z kamienia, i patrzyła im, łobuzom, prosto w oczy. – Dozorca zrobił pauzę, znieruchomiał z gęśio wysuniętą szyją, fałdy na niej z kępkami źle wygolonego zarostu.

– ...I podszedł drugi, taki chudy ze srebrnymi zębami, pamiętam jak dziś tego zimnego drania, wykrzywił mordę i łupnął dwa razy. A mnie kazali trupy wynieść, babuni i jej...

– To wtedy – dodał – jeszcze raz te szafy obejrzałem, bogactwa a bogactwa, dwa garnitury wtedy wyniosłem i jesionkę, prima sort materiał, udało mi się na schody kuchenne wyrzucić i do skrzyni z węglem schować.

Słońce już znikło. Lepiej. Pozostał tylko buchający z murów upał.

„Można iść” – zdecydował Krzysztof.

– Lecę – powiedział.

– A ładne parę złotych za to wzięłem dogonił go jeszcze głos starego.

Szedł powoli z opuszczoną głową. „Ciekawe... czy zmyśla... czy nie... musi dużo zmyślać – zastanawiał się leniwie – żeby bardziej tragicznie, żeby końcówka dobra... A fachowiec przecież i wie co i jak opowiadać, żeby grało.”

Podniósł głowę. Popatrzył z powagą na tę kamienicę–twierdzę. Stare, poobijane mury, kikuty balkonów, i te mieszkania wilgotne, ciemne, z długimi jak kiszki korytarzami.

– Bóg wie, co mogło się tu dzieć – zamruczał. – Bóg wie...

Ona, ta piękna, i on, dozorca, teraz wcielający się w nią, ta noga w bok jak u baletnicy, twarz w teatralnym bólu, drobi słowa, pauzy pełne wzburzonego oddechu... i trrach, tragiczna pointa.

Przystanął i pokiwał z uznaniem głową. – Artysta – powiedział.

Stuk butów zamaszysty. Minęła go niedzielna rodzina, stary w jedwabnej koszuli, żona żółtowłosa, wymalowana, i młodziak, chyba syn, bo podobny do starego, z dziewczyną; nucili coś, objęci w pasie, dłoń chłopaka z żyłami od gorąca, stary uśmiechał się syto, ta żółtowłosa nogi miała mocne, kształtne.

Krzysztof ruszył szybkim, nerwowym krokiem. „Nie tak ostro – nakazał sobie po chwili – wolniej, bardziej spacerowo.”

Spróbował iść wolno, niedbale, dłonią uderzał rytmicznie o udo. Ludzi dużo, ocierał się o nich i mimo woli znów wyciągał krok.

„Ten cieć – powtarzał uporczywie – wielki artysta... taki stary, u szczytu formy artysta.” I przypomniał sobie tę opowieść sprzed miesiąca. Też zatrzymał go Maciak przed bramą, usiedli na ławeczce. Ten student, co oszalał, tak, to gadka sprzed miesiąca, spokojny chłopak, narzeczoną miał, tak chodzili, panie, i ćwierkotali sobie, przystojna, nie powiem, dziewczyna, i porządna, nigdy do niego zajść nie chciała, a zapraszał ten student sprzed wojny, i nagle otworzył okno swej fajki, to teraz pana pokoik, oczy dozorczy jak szkło, twarde, uśmiech przy tym napastliwy, obleśny, tak, to w pana pokoiku, przyjemny jak dla kawalera, no, no (to no, no – zagadkowe, znaczące), i otworzył to okno, wychylił się i odtąd już co wieczór takie dziwne pieśni wyśpiewywał, jakby sam układał, ja, dziecko straszliwe, brodate, karzeł nieszczęsny czasu tego złego przez proroków wyśnionego, pamiętam, panie, ryczał te pieśni głosem jak dzwon, a przecież zawsze cichy był i prawdę mówiąc słaby, cienki ten głos miał przed chorobą, w dzień znów siedział w kącie pod piecem i jak w febrze dygotał.

– Wielka jest siła zajobów w człowieku zachichotał Krzysztof.

Ktoś spojrział na niego ze zdziwieniem. Kilku ludzi przystało. Patrzają ciekawie. Krzysztof zmieszał się i przyśpieszył kroku. Szedł teraz tą największą ulicą między posępnymi blokami ministerstw i urzędów. Dużo wzorzystych plam kawiarni–ogródków. Zaglądał pod parasole. Randkowe pary, splecione palce, rozmazane pożądaniem i nieśmiałością spojrzenia. „Takiemu studentowi – myślał Krzysztof – ...jak już go nawiedziło... to i baby przestały imponować... A może cieć zmyślił wszystko...”

– Zasmucił się.

Zatrzymał się przed kioskiem z piwem, przylepionym do starej kamienicy. Lubił kioski na zapleczu starych, warszawskich domów. Z kiosku buchało zapachem kiepskiego piwa, przegniłych beczek, taką wilgocią błogą i orzeźwiająca w ten upalny wieczór. Poprosił o piwo. Nie znosił piwa, jednak przy takim kiosku z zapleczem zawsze wypijał duże jasne. Spoglądał leniwie przed siebie. Odprowadzał ciężkim niedobrym spojrzeniem kobiety. Dużo ładnych kobiet. Stoi tu zaledwie parę minut, i już przeszły trzy, takie zgrabne, szerokie, zwierzęce w swej ociężałości, szczebiotały piśkliwie z gachami, śmieszny ten szczebiot przy ich wybujałych kształtach.

Z drugiej strony kiosku tyłem do Krzysztofa kołysał się facet we flanelowej koszuli. Rozmawiał z kobietą w woalce, czerwonej sukni i żołnierskich butach.

– Daj – mówił ten we flaneli – nie możesz dać dziesiątki?

Kręciła uparcie głową. Twarz poźółkła i jakby namoknięta.

– Chytra zdiro – powiedział bez gniewu ten we flaneli.

Ona nie obraziła się. Włosy w rzadkich pasemkach przylepione do czoła. Ten we flaneli odwrócił się. Krzysztof zobaczył jego twarz. Poznał go od razu. To był taki techniczek z metrobudowy. Przed kilku laty pracowali razem.

Kobieta w woalce uśmiechnęła się nijako i odeszła.

– Chciałem na ćwiartkę, piwo chociaż – powiedział techniczek patrząc pustym wzrokiem przed siebie – ale nie dała...

Kobieta w kiosku parsknęła wstrętnie, takie zadowolenie bezmyślne, ale i chytre też. W tym jej śmiechu – ani małego temu we flaneli nie postawi.

– I w dodatku znajoma. Dobra znajoma – westchnął technik.

Niedzielne pary sunęły przed kioskiem, sunęły godnie, odpoczynkowo, drobny krok, stuk butów miarowy, przewiewne stroje, zady bab dupiaste, sukienki w kwiatkach, te zady w kwiecistych tłach.

– To wypijemy po dużym – powiedział Krzysztof. Technik uśmiechnął się przymilnie. Do piwa przyssał się chciwie.

– Takim dużym można się rozruszać. – Pogrzebał za pazuchą, piersi miał ze smugami sadzy, wyciągnął budzik. Ten budzik na chodzie, leciutko tykotał.

– Chcę to opchnąć za pięćdziesiąt. Chodzi znakomicie.

Na dowód uderzył budzik o beczkę; dalej tykotał.

– Jak serce wali.

– Mnie niepotrzebny – powiedział Krzysztof.

Technik pokazał na waluciarską kawiarnię pod szarymi kolumnami.

– Jeden handlarz może kupić, jemu potrzebny, on wstaje rano i na wieś z towarem jeździ. Krzysztof zamówił jeszcze po piwie.

– Ja ciebie znam – powiedział – razem robiliśmy w metrobudowie.

Technik otworzył głupawo usta. – W metrobudowie?

Piwo ściekało mu po brodzie, był bardzo zdziwiony.

– Poznałeś mnie! – wykrzyknął. – A przecież zmieniłem się. Zupełnie inaczej wyglądam. I poznałeś...

Spochmurniał nagle, mięśnie skoczyły mu na szczękach.

– Ta zdzira nic nie dała, I nie wiadomo, czy ten budzik kupią.

Śmieszna postać ten techniczek. Przez te kilka lat zmienił się porządnie, twarz szara, rzadki, brudny zarost ginał w tej szarzyźnie, na przodzie brakowało mu czterech zębów, tą wielką dziurą wypychał język, to było takie jego przyzwyczajenie, język przelaził i wystawał na dolne j wardze.

„Wygląda jak łachudrak” – stwierdził Krzysztof. I to taki techniczek, kiedyś typowy w swojej branży, forszę na książeczkę składał, już dziesięć, zacierał ręce, jedenaście. W tej metrobudowie wszyscy składali na motocykle, telewizory, mieszkania, grali też w toto–lotka, tworzyli totolotkowe spółdzielnie, przez cały tydzień czekali na ogłoszenie wyników, to była nigdy nie wygaszona

nadzieja, 7, 9, 21, sprawdzali w napięciu. Oni po robocie chodzili na randki albo już mieli żony, te żony czasem przy wypłacie zdradzali z kurewkami, potem wspominali to przez parę dni, możliwa, kapujesz, jakie piersi, i wykołowałem ją, ani grosza nie zapłaciłem. Ale raczej płacili tym dziwkom, bo przecież bardzo chcieli mieć pewną sobotę, taką jak należy, z nową zdobyczą, z zadowoleniem, że się udało. Ale oszczędni byli przy tym, bo w życiu, mówili, trzeba się mądrze urządzać i forsa nie szastać, bo forsa w kupie to jest coś, więc często sobie na takie soboty nie pozwalali. I w żaden sposób Krzysztof nie zapamiętał go inaczej, jeden z wielu, techniczek, tak, przez pół roku pracowali w jednym pokoju. Oni wszyscy tam podobni byli do siebie, i uśmiech ten sam, gdy mowy o dziewczynach, taki głupawy, niby męski, a niepewny, każdy z nich miał te same kłopoty, wszyscy w totolotkowej spółdzielni, i elegancja u nich wspólna, garniturki z setki, buty drogie, golfy wtedy modne. On, jeden z nich, teraz w zatłuszczonej flaneli, smugi sadzy na twarzy i piersiach, twarz poorana i wymięta jak torebkowy papier.

„Z powyższego wynika, że wykoleił się” pomyślał Krzysztof. Parsknął krótkim śmiechem.

– Ja postawię ćwiartkę – powiedział mam jeszcze parę groszy.

Nieznacznie, dwoma palcami oddzielił w kieszeni spodni dwa papierki.

– Wypić można u mnie – zaproponował z przymilnym uśmiechem techniczek – przekąska się znajdzie, owszem, poznasz też moją panią. – Dobierał układne, konwencjonalne zdania, marszczył czoło, wyławiał z pamięci co lepsze takie słowa.

– Nie tak interesująca jak poprzednia, znaczy się Iza, ale też... – długo szukał odpowiedniego wyrażenia – ...z seksem.

Poszli na budowę do stróża. Tam można kupić wódkę.

– Iza? – zapytał Krzysztof.

– O, tak – ożywił się techniczek – to była wspaniała kobieta!

Na placu budowy stopy desek, cegły; cicho tu było, cała niedziela została tam za parkanem. Z szopy wyskoczył biały kundel, ocierał się o nogi technika. „Taki stróż – myślał Krzysztof – zarobi sobie w niedzielę. Parę litrów zawsze sprzeda. Po pięć na ćwiartce...” – obliczał.

Już szarzało. Gwar z ulicy nie dochodził tu wcale.

Technik pociągnął Krzysztofa za rękaw. Przystanęli. Wskazał na dom naprzeciw.

– Ona stała zawsze przed bramą tej czerwonej kamienicy z wieżyczkami. I choć miała po czterdzieście, włosy czarne, prawdziwie czarne, błyszczące jak drut. Ona miała w tej kamienicy mieszkanie. Wejście zaraz z bramy, niekrępujące mieszkanie. Dziewczyny z klientami przychodziły do niej...

Z szopy wyjrzał stróż. Śmieszny, twarz pełna brodawek, niektóre z kępkami włosów. Ukłonił się nisko, po chłopsku.

– Dobrze żyła. Sama też miała klientów, ale raczej takich stałych, przychodzących w oznaczone dni – mówił gorączkowo techniczek. I jak się ubierała, elegancko, w same drogie ciuchy. Iza... Żadna byle jaka, tylko Niemcy jej męża...

Krzysztof wetknął mu w dłoń pieniądze.

– Ćwiarteczkę – powiedział technik do stróża.

Stróż wyniósł z budy butelkę, starannie owinął w gazetę.

– I ja... – techniczek zamyślił się, gapowato otworzywszy usta.

Krzysztof posłyszał teraz tykot tego budzika za jego flanelową koszulą.

– I ja – powtórzył techniczek – wpadłem jej w oko. Zaczęliśmy żyć z sobą. A przecież miała wielu chętnych, nawet handlarze z kawiarni próbowali do niej uderzać. Żle nie miałem – uśmiechał się łagodnie, tę szczerbę, jak pieczara, odsłaniał – ona wypić lubiła, ja też, z roboty już mnie wywalili, ale się nie martwiłem...

I znów ten tykot monotony, leciutki. Raz, dwa, raz. Deski pokryte wapiennym, białym pyłem. Ubrudził sobie Krzysztof spodnie. Wylał starannie chusteczką. Na ulicy lepiej. Ludzi mało i twarze zatarte w gęstniejącym zmierzchu. Dużo lepiej. Kamienica z wieżyczkami zaraz za waluciarską kawiarnią. Taka jak kościół, czerwona cegła, strzeliste, ozdobne wieżyczki.

– Ładna – powiedział Krzysztof.
– No... to była pani – rzekł techniczek z dawnej rasy, przedwojennej.

Weszli w podwórze.

– Ale rok tylko to trwało – mówił technik. – I ona już nie żyje. Akurat pokłóciliśmy się, bo kota jej utopiłem. Taki kot szczył, smród tylko, utopiłem w klozecie, zdenerwowała się, bo bardzo lubiła koty. Takie upodobanie miała. Więc wyjechałem do kumpla na Śląsk, zły byłem, bo przez kota tak się zawzięła, awanturę zrobiła... Wracam, mieszkanie opieczętowane...

Techniczek zaczął chlipać płacziwie. Krzysztof oparł się o mur, zadarł głowę. W niektórych oknach tej kamienicy pokazały się już światła. Też kolos. Sześciopiętrowa. I w tych wieżyczkach facjatki.

– Ta moja co teraz – drgający głos techniczka – gorsza... i głupsza.

– A co z tamtą? – zapytał Krzysztof.

– To stało się przez takiego drania prawiczka. Pierwszy raz się wybrał na kobiety, u mojej Izy był, spodobało mu się i drugi raz poszedł, ale już nie z Izą. I złapał od tej drugiej chorobę. Wziął młotek, myślał, gnojek, że od Izy złapał, przyszedł wieczorem, akurat klienta wypuściła, zapukał i łupnął trzy razy.

Oślizymi schodami zeszli do piwnicy. Ciemno. Mokre ściany. Niska piwnica, głowę trzeba schylać.

– Łupnął – powtórzył Krzysztof. Techniczek chlipnął cienko.

Cały labirynt wąskich korytarzy. Skręcili na lewo. W końcu korytarzyka mdłe światelko. Na suficie odrutowana żarówka. Wymalowane wapnem drzwi.

„Jak do sracza” – pomyślał Krzysztof. Zawadził o kubel. Z brzękiem potoczyła się pokrywa. Ten kubel z pokrywą jak więzienny kibel.

– To dozorca nam zrobił – powiedział techniczek – po co latać na podwórze. – Otworzył drzwi. Mała komórka, cegła zamiast podłogi i od razu ogarnął wilgotny chłód.

Na łóżku leżała kobieta, twarzą do ściany, nie ruszyła się nawet, gdy weszli.

– Zła na mnie – szepnęła technik – mieliśmy małątką scysję.

– Ręczną – dodał z nieprzyjemnym uśmiechem. Z kosza przy łóżku wychylała się zrudziła kotka, pomrukiwała jak motorek, dwa kociaki, małe kłębki przyssane do jej brzucha.

– Przyszedł ze mną kolega – powiedział techniczek – zapoznaj się.

„Słaba meta – uznał Krzysztof – wilgoć, taki wilgotny ziąb, jeszcze mniejsza od mojej, i u mnie chociaż sucho.”

Kobieta postępując usiadła, twarz wysunęła jak lunatyczka, chustką zakrywała lewe oko, strużka zakrzepłej krwi przy uchu. Wyciągnęła rękę. Krzysztof przychylił się i pocałował. Bardzo szorstka dłoń. Techniczek postawił budzik na stole. Przecierał rękawem szklanki.

– Tylko z zakąską gorzej – zasmucił się techniczek.

Szukał długo na półce nad stołem. Znalazł. Kawalek chleba i parę plasterków salcesonu. Ucieszył się.

– Miałeś przynieść mleko dla kotki – odezwała się kobieta – od rana już przynosisz. Wsunęła rękę do kosza, głaskała bure kłębki.

– Ona też lubi koty – techniczek splunął z obrzydzeniem.

□ – Lordzisko – roześmiała się ostro kobieta. – Koty paskudne, mówi, na brud czuły, byle co zjeść też nie chce, szyneczka, owszem, kaszanki nie ruszy, a łapę ma ciężką jak cep...

I za co bije, źle ma ze mną, na siebie zarobię, jemu na gorzałę dam – skrzywiła cienkie usta. Była chuda, głębokie zmarszczki na szyi i resztki wielkich piersi, które miękko kolebały się pod sukienką.

„I takiemu technikowi – Krzysztof był zdziwiony – tyle mu się zachciało. Iza, sutenerka. Żyje z tych starych bab, ta jego gęba zapleśniała, jakby w pajęczynie...”

– A ten zegarek też mój – posłyszał głos kobiety.

Pokiwał głową. Było mu niezłe tutaj. Chłód wilgotny – dobry po upale, i wydawało mu się, jakby daleko schował się od całej tej trudnej do wytrzymania niedzieli.

W klitce na ścianach staroświeckie portrety, okrągłe albo w kształcie serc; faceci w sztywnych kołnierzykach, na jeża ostrzyżeni, zawijane wąsiska, kobiety godne, majestatyczne spoglądają ze ścian.

– To po Izie – objaśnił technik – ona z dobrej rodziny, ziemiańskiej... – Dumny, wyprężył się.

– Ciekawie się urządziłeś – powiedział Krzysztof.

– Całkiem możliwe, nie powiem – przytaknął technik – ...od nikogo nie zależę, sam sobie...

– Mądralka – przerwała kobieta – żeby nie Iza, ja, to gorzej byś lądował, dużo gorzej.

– Eh, dałbym sobie radę – technik pogardliwie wyduł usta.

– Pan myśli, że to prawda, dałby radę... po śmietnikach chodziłby – kobieta poprawiła włosy, dwa loki zsunęła na czoło. – Na naszej krzywdzie on ląduje.

Technik zajął do butelki. – Szybko wykończyliśmy.

Kobieta gmerała we włosach, poprawiała loczki, które rozpadały się po kilku ruchach głową.

– I żeby Izą się opiekował, to nie byłoby tego nieszczęścia. Tak, to jego wina. – Wstała, podeszła do ściany, odsunęła landszaft z kuchareczką.

– Jeszcze jej krew. Nie można zmyć.

Na ścianie brunatne ślady, kilkanaście wydłużonych plam.

– Pryśła jak łupnął i już zostało...

– To nie jej krew – technik zaklął ze złością – to zaciek.

Kobieta cofnęła się i schowała głowę w ramiona. Zwierzęce drgnienie przebiegło po jej plecach.

„Będzie ją thukł” – Krzysztof odwrócił głowę. Ale technik pchnął ją na łóżko. Przewróciła się na wznak. Technik zastukał nerwowo w butelkę. Spojrzał błagalnie na Krzysztofa.

– No... to ja dziś kasa – odezwał się Krzysztof – zrobię jeszcze. – Pieniądze położył na stole.

– Tak głupio wypadło – powiedział technik – jestem bez grosza, ale następnym razem rewanż.

Po wódkę poszła kobieta. W tym piwnicznym labiryncie jej kroki słycać było długo.

– Nie podoba ci się u mnie – mówił technik. – Wiem. Nie wypieraj się. Bo nie może tu się podobać. Zapuszczone. Brudy. Nieprzyjemnie. Kiepska z niej kobieta. Nie ma porównania z Izą. I uroda, i wszystko. – Z nienawiścią spojrzął na kotkę, która wysunęła się z kosza.

– Kotów nie lubiłem od najmłodszych lat, bo oczy takie wredne mają – wzdrygnął się. Podparł się łokciami. Przymknął oczy.

– I to wcale nie jej krew – powiedział nagle – to zaciek.

„Taka menda, taki techniczek – powtarzał z dziwnym uśmiechem Krzysztof – i taki zrobił odskok... tak daleko.”

Powtarzał to wiele razy, monotownie, łapała go drzemka. Kroki. Technik poderwał się od razu. Ona przyniosła pół litra.

– Ze swoich dołożyłam.

Podsunęli stół do łóżka. Kobieta przejrzała się w lusterku, szminką wymalowała usta. Czerwień kredki na jej zniszczonej, bladej twarzy odbijała ostro.

Krzysztof zatarł dłonie. To zimno wilgotne przeniknęło go do szczytu. Pociągnął duży łyk wódki. Wstrętna, śmierdząca gorzała. Chyba z niebieską kartką. Na zakąskę był tylko razowiec. Krzysztof zakrztusił się i długo czuł gorzalkowy smród. Kobieta była już lekko pijana, zmętniało jej lewe oko, drugiego nie widać, przesłonięte fioletową powieką.

– Pewnie gadał panu, że kiepska jestem, że słabo się staram... na pewno tak gadał – powiedziała z naciskiem. – Ale jakbym zadbała o siebie, to jeszcze... – zalotnie wywineła wargi.

– No – przytaknął Krzysztof.

„Zaraz zaczniesz – pomyślał – ...gdybym chciała, a mogłam, ale jeszcze, te wszystkie kurewskie refreńki, jak płyta te refreńki w każdej mecie.”

Zakołysał się sennie na krześle. Schrypnięty szmer, to głos tej starej z podbitym limem. Technik chichocze. Krzysztof z trudem uniósł ciężkie powieki.

– ...A co ja zrobię. Nie dam rady. Szorowałam, tarłam... i nic z tego.

Podeszła do ściany i zadarła makatkę z kuchareczką. Ciemne, drobno rozsiane plamy na prostokacie ściany pod makatką.

„Więc wtedy to łóżko pod ścianą, od drzwi prawiczek zrobił tylko krok, cholernie mała ta klitka, jednak mniejsza od mojej, i łupnął” myślał Krzysztof.

– I specjalnie tę makatkę kupiłam... żeby zakryć.

Technik szarpnął ją za sukienkę. Potoczyła się jak kukielka.

– Co ja... – bełkotała.

Ta kobieta jak tamta przy kiosku opuchła, żółto opuchła i namoknięta. Gęba technika takim pajęczym kurzem pokryta. Bełkoczą, technikowi język przez wielką szparę wyłazi, jej głos klekocze drewniano.

„To jest trupiarnia” – pomyślał Krzysztof. Wstał gwałtownie i wyszedł. Krzyczeli za nim. Potknął się o kubeł. Wybiegł na ulicę. Pusto, jarzeniowa lampa rozsiewała blade światło. Przez dziurę w płocie przecisnął się na plac budowy. Krótsza droga. W szopie migotliwe światełko. Biegł długimi susami. Przed swoją bramą zapalił papierosa. Nacisnął dzwonek. W judaszu wybałuszone oko dozorca. Drzwi otwierał powoli. Pomrukiwał sennie. Poznawszy Krzysztofa, przytrzymał go za rękę.

– Zbiera się – wysunął wskazujący palec nie przechodzi. Znowu łupie.

Palec spłaszczony, włochaty, biała gula pod paznokciem.

– Przejdzie – bąknął Krzysztof.

Wspinał się po stromych schodach. Na pierwszym piętrze przypomniał o windzie. Otworzył.

Za chwilę będzie w tym małym pokoiku 3 x 3, w tej klitce na poddaszu, myszy zaczną chrobotać, jedna taka najbezczelniejsza wskakuje na nocny stolik, rano na stoliku bobki, czarne, mysie bobki.

Winda sunie w górę z chrzęstem i dygotem. W tym pokoiku–klatce położy się zaraz na tapczanie, ręce podłoży pod głowę, późno już, może będzie widział tę piękną z piętra niżej, stary cieć odtwarza ten dramat z pasją, podryguje wielką, tłustą dupą, wali butem w bruk, to niemiecki krok, jeży brwi i jak uliczny mim wykrzywia gębę, może będzie Krzysztof słyszał płaczliwy głos starej z podbitym limem, tej krwi nie mogłam zmyć, szorowałam, odciąga makatkę, na ścianie podłużne plamy, jak bryzgi, i wtedy student zaśpiewa głosem jak dzwon, ja dziecko brodate...

– Skończyła się niedziela – szepnął Krzysztof.

Zadygotał, jakby znów oblażł go i przeniknął ten wilgotny chłód z sutereny.

POPAPRANIEC

Ogarniał mnie coraz silniejszy niepokój, bo te paskudne poty, kropelki potu wzdłuż nosa, na czole, wszędzie, całe ciało lepkie, cuchnący ropny katar, uporczywe zmęczenie, te wieczorne gorączki, bóle głowy – właściwie rozstrajały zupełnie. Zresztą diabli wiedzą, a może to coś poważnego, coś, co rozłoży mnie na długie miesiące, zastrzyki, lekarstwa, wizyty siwych, grubych, jowialnych i innych jeszcze lekarzy. Choć myślę, patrząc rozważniej, to zapewne zwykła, tylko przewlekła, grypa. Najgorsze, że nie mogę spać, w ogóle nie mogę patrzeć na łóżko. Spojrzę na to swoje żelazne łóżko, spod koca wystaje różowa kołdra, i wyobrażam już sobie to przewracanie się, skrzypią sprężyny, próbuję na boku, nie wychodzi, próbuję na wznak, też nie wychodzi i wreszcie rezygnuję z tego kolebania się, i nastaje moment najgorszy: leżę z otwartymi oczyma, widzę ciemniejsze od wszystkiego zarysy morelowych gałęzi (nie zamykam u siebie okiennic), patrzę z uporem, gałęzie zlewają się z tłem, niekiedy, jak natęzę mocniej wzrok, to nawet lekkie chybotanie tych gałęzi na wietrze dostrzegam, liście szorują o ścianę, tak to szeleści i zgrzyta, jak czyjeś kroki suwające niemrawo. I można z gałami wlepionymi w okno tak Bóg wie jak długo...

Więc nie patrzę w kąt, gdzie żelazne łóżko, palę papierosa, i papierosy, niestety, to już nie taka przyjemność jak dawniej, palę dużo jak automat i od tego dymu gorzko, mdło, coś podjeżdża do gardła, aż czasem lży w kącikach oczu występują, od tych fajek, od wszystkiego w ogóle, myślę, w kałdunie jest wielki smród i ferment, kotłuje się wszystko rozdrażnione, bulgocące, naciskam brzuch i tak jakbym wyczuwał doskonale. Naprawdę nie wiem co robić, wyczerpałem już wiele przeróżnych możliwości zapelnienia czasu, łączę od kuchni do pokoju, z powrotem, w kółko, to niby coś odnoszę do kuchni, na przykład wyrzucam niedopałki, buty biorę, czyszczę, wracam znów, potrafię tak łązić godzinami i nawet kiedyś wymyśliłem cel tego łożenia, śmieszny, na długą metę wystarczający, na długą – znaczy na jakieś dwie godziny, nastawiałem w garnku, tym największym od powideł, wodę do mycia, gdy już się zagotowała, po troszku dolewałem, dwie bańki miałem przygotowane, i to gotowanie dlatego tak długo trwało.

Rodzice siedzą jeszcze przy dużym stole i przygotowują lekcje, ojciec przerabia algebraiczne zadania, na papierze długa kolumna cyfr i znaczków, zadowolony, iks, igrek, mówi półgłosem, spoglądam na niego z ukosa przez uchylone drzwi, zadowolony porządnie, ma sześćdziesiąt cztery lata, czerstwy, rumiany i zawsze coś musi robić koniecznie, chyba w swoim życiu machnął tysiące, dziesiątki tysięcy równań, zadań, wzorów, robi to po to, tak powiada, żeby nie wyjść z wprawy, kiedyś, trwało to sześć miesięcy, nie miał roboty, wtedy, wydawało mi się, że rozsypie się, zmarł, wychudł i nagle zobaczyłem, że to starzec, pomarszczony i siwy, sięgał po algebrę czy trygonometrię, pisał te swoje symbole, cyfry, równym starannym pismem wypisywał i zaraz odkładał, nastawiał radio, słuchał dziennika i zaraz wyłączał. Otrzymał wreszcie robotę, gorszą od poprzedniej, i od razu poweselał, całymi dniami rozwiązywał te równania, zadania, wzory. Patrząc na nich przez uchylone drzwi, matka pisze plan lekcji polskiego. „Placówka” chyba, podwinęła śmiesznie nogi pod siebie, paseczkami zakłada ważniejsze partie w książce, zaraz też pomyślałem, że mogą podnieść głowy znad swoich pedagogicznych zajęć i zacząć dopytywać się, co ze mną jest, co jest, powie matka z taką retoryczną afektacją, jeszcze doda na pewno, to straszne, jak tak można żyć, to moje chodzenie, abnegacja jakaś, zszarzała twarz i pot na niej, najwięcej na czole i koło nosa, będą zaniepokojeni, smutne miny, zaczną poszeptywać, już wiem doskonale o czym, nie daj Boże gruźlica, głos matki zdławiony i ostry słyszę. Ostrożnie przymknąłem drzwi i usiadłem w swoim pokoju przy biurku, rozłożyłem papiery, stare tygodniki, przewracam, szeleszczę, układam w równy stosik, bardzo starannie składam, pod warstwami tych papierów znalazłem kamyki, zbiór kamyków w torebce, te kamyki przywiozłem znad morza, dużo przedziwnych w kształtach kolorowych kamyków, jest wśród nich jeden taki, uznałem go za najważniejszy, z odciskami owadów, muszelek, kilkanaście odcisków, sam kamień nieładny i niekształtny, ale odciski mają przecież największe znaczenie, bo drugiego takiego kamyka nie mam.

Rodzice położyli się już spać, ojciec zastrzegając jeszcze, bym nie siedział zbyt długo, nienormalny tryb życia, mówił, najlepiej zaraz zgasić światło, dalej chciał wywodzić, ale powiedziałem, że mam kupę roboty pilnej i dobrze płatnej, zamknąłem drzwi. Robota, śmiać mi się chce, od paru tygodni nie mogłem do niczego się zabrać, owszem, próbowałem tego i owego, mam pod ręką na biurku stos papierów przygotowany, ale nic nie mogę, kompletnie nic, łączę tylko jak menda po tych pustych pokojach, cieszę się tylko, że tak mogę łązić spokojnie i nikt do mnie nic nie gada, nie narzeka, starych do drugiej po południu nie ma w domu.

Właśnie poszli spać, nastawili budzik, spokój. Podchodzę do półek z książkami, gładzę grzbiety, przewracam stronicę, ale to już wiele razy robiłem, nudna zabawa, układałem książki kolorami, na tej najwyższej półce kolorami, niżej grzbietami, potem zmieniłem zabawę, układałem na wszystkich półkach stosami, to ładnie wygląda, tak niedbale i jakby książek zrobiło się więcej. Możliwie wyglądają książki w kupkach, na każdej półce po pięć kupek. Całkiem możliwie, pustym wzrokiem spoglądam wokół, do znudzenia znajome kąty, parszywie tak ciągle siedzieć w tym złotawo malowanym pokoju, złoty kolor, pamiętam, jak przyszli malarze, matka o złoty kolor prosiła, starego złota, bardzo lubi ten kolor, no i wymalowali, ale to wcale nie jest podobne do starego złota. Lusterko oparte o popielniczkę, światło lampki pobłyskuje na szkłe. Przysuwam krzesło bliżej lusterka, o tak, i szczegółowo, bardzo szczegółowo oglądam twarz, po kolei, zaczynając od gardła i brody.

Lusterkiem bawię się często, badam pysk, miny robię rozmaite, najdłużej zatrzymując się na oglądaniu zębów, bezsilna kontrola uzębienia, tak to nazywam, szczerzę zęby, zadzieram wargi i widzę świetnie te wszystkie kawałki, szpice, strzępy zębów, na przodzie poczerniała dziura, brak dwóch, przesuwam językiem po tych dziurach, jamach, kłujących kawałeczkach, język ześlizguje się, sunie po miękkim, ciepłym mięsie porastającym miejsca po zębach, niektóre dziury rozległe, wchodzi tam cały język, obmacuję, paskudne wrażenie, cała masa tych dziur w gębie, mój kiepski nastrój potęguje się, no i oczywiście natychmiast strach przed dentystą, boję się tych biało lakierowanych z metalowymi przyrządami gabinetów, boję się panicznie, złapie mnie potężny ból zęba, często to się zdarza, rwie, puchnie, łupie jak młot we łbie, klnę, wyję, biegam oszalały, dzień, dwa, ciągle liczę, że ustanie, musi przecież ustać w końcu, wreszcie jęcząc gnam do rejonowego dentystry. Przed drzwiami nogi już mam miękkie, z wysiłkiem przysuwając oczy pakuję się do środka i skowyczę błagalnie, tylko ostrożnie.

Spojrzenie mam jak zając, skowyczę bez ustanku, jeśli rwacz zębów kobita, to pół biedy, współczuje, ale raz taki rwacz, mężczyzna włochaty na łapach, śmiał się ze mnie do rozpuku. No i te zęby już do niczego, a rok temu jeszcze całkiem możliwe, choć właściwie od dawna wymagały generalnego remontu. O, widzisz, mówi zawsze matka, pokazuje swoje zęby, rzeczywiście białe, ładne, jest to druzgoczący dowód, że dbała, uważała itd. Ta zabawa z lusterkiem bardzo stara, od szkolnych czasów jeszcze, ustawiam lusterko na popielniczkę albo, jeśli nie ma starych, w środkowym pokoju na cukiernicy i obmacuję szamot, szamot to pysk, tak mówią chłopaki ze stacji, delikatnie muskam palcami, badam wszystkie wypukłości, wyciskam wągry na nosie, tam cała kupa wągry, robota pochłaniająca bez reszty, tak wyciskać to żółte z czarnymi punkcikami świństwo, i właśnie dlatego, że tak pochłania bez reszty, to dobra zabawa. Teraz tylko zabawa, bo za szkolnych czasów był z tego cały dramat, wywalały mi się wtedy krochy na policzki, brodę i nos, lawina tych kroch, najhaniebniej na nosie, co wieczór widziałem w lustrze róg na nosie, czerwony wpierw, potem pęczniejący biało, wyczekiwałem z udreką na moment wyciśnięcia, mściwego, dokładnego, z sykiem bólu wyciśnięcia. Cholernie czekałem. Dziś już nie tak, wągry nic takiego, z krochami koniec, od wielu lat nie ma już tych rogów upokarzających na nosie. Ale tamten haniebny czas nosa z rogiem jednak lepszy. Pamiętam, piekliło to mnie mocno, gęba błyszcząca w słońcu, poznaczona cętkami kroch, i ten nos – odsuwałem cukiernicę, lusterko opadało z hukiem, jeszcze jedno krótkie spojrzenie, twarz od dołu widziana też parszywa, z tym świństwem porozsiewanym na brodzie, policzkach, wszędzie, Wskakiwałem z mieszkania, spłoszony, niepewny, gnałem co sił na stację, tam na stacji to wszystko haniebne, upokarzające ustępowało przecież, spotykałem swoich nowych

znajomych, dla których czułem wielki podziw, węglarze, furmani, silne chłopcy z tatuażami, pili wódkę z butelki, bili się często i żaden nigdy nie ustąpił, chyba że upadł i zdolny był już tylko do tego, by zasłonić twarz przed kopniakami. Stawałem nieśmiało przy nich, mówiłem „czołem” i już mi lepiej. Swoją drogą śmieszny był ze mnie gawniaczek. Albo te kamienie, ten zbiór kamieni znad morza, wśród nich ten najważniejszy z odciskami muszelek i jeszcze czegoś, to też dobre było, morze przybijało pod sam dom, taki głuchy szum, łoskot, fajni rybacy, łąziłem brzegiem do późna, pusty brzeg, tam tylko kilka chałup i prawie wcale letników, morze ciągle waliło głucho, zasnąć nie można, ale dobrze. Wsunąłem te kamienie pod papiery, lustro też schowałem i zacząłem rysować na podaniowym papierze zarośnięte gęby w kapeluszach, cyklistówkach, kropki na szczękach to zarost, takie schematyczne gęby, parę kresek i już, od lat rysuję tę gęby, włosy na jeża albo bardzo długie na kark, koszulki pasiaste niżej, piersi jak puklerze, kłaki znad koszulki wyłażą, tak sobie rysuję dla zabawy, co rano palę te kartki w piecu. Rodzice śpią, oni zasypiają twardo, zmęczeni, przed siódmą dudni budzik, wstają w pośpiechu, wypijają kawę i pędzą do szkoły, matka wychodzi nieco później, więc przed wyjściem zagląda do mojego pokoju i na biurku zostawia pięć złotych. Wieczór parszywy jak wszystkie, w tym niby moim pokoju nieprzytulnie, obco, biurko błyszczący tandetnie i przez to jeszcze gorzej, zaważyłem ten blask biurka kupą papierów, teczek, popielniczek, ale i tak jest parszywe, wczoraj nawet szorowałem kamieniami znad morza fornir, myślałem mściwie, porysuję, zniszczę, będzie spokój, ale gdzie tam, mocne to jest błyszczenie i przy skupionym świetle nocnej lampki odbicie twarzy widać nawet dość wyraźnie. Na górze jeszcze jakieś człapanie, to gospodyni, właścicielka domu, w którym mieszkamy, teraz chrobot leciutki i skowyt, to ten głupi kundel Bystry, nad moim pokojem jej kuchnia, w tej kuchni ona siedzi i czyta na pewno, ona tak czyta przez cały dzień, przeważnie w kółko, chyba już czwarty raz tę książkę Grzymały–Siedleckiego „Świat aktorski moich czasów”, trzymała to cała jej młodość, najpiękniejszy okres w jej życiu, była wtedy sekretarką u Gebethnera i Wolffa, zawsze, gdy spotka mnie na schodach, powiada, pisarze, och, jacy to ludzie kulturalni, subtelni, a przecież wiesz, że pracując stykałam się z nimi ciągle, och, wzdycha, na przykład przyjechał pan Przybyszewski, tak, przyjechał do Krakowa po zaliczkę, ale nie było jeszcze przygotowanej zaliczki, więc chciał ode mnie parę rubli, oczy jej błyszczą, artyści, mamrocze, pędzi na górę, pochyla się nad tą etażerką w stołowym, grzebie, przebiera książki; szuka Przybyszewskiego, znalazła, nakłada okulary w drucianej oprawie, zaczyna czytać z zapalem... Śmieszna ona przy tym czytaniu, wypieczona albo trochę jakby kamienna twarz, włosy wieczorem rozpuszcza, kilka takich strąków wokół twarzy, pamięć ma kiepską, z tego, co czyta, chyba nic nie pamięta, ten głupi kundel Bystry poszczekuje cienko, ona drgnie gwałtownie, stronicę przewrócą się do tyłu, i znów czyta to, co przed chwilą, na pewno nic nie pamięta z tego czytania. Dziś rano przychodziła do mnie trzy razy z tą samą fotografią, którą trzymała w palcach jak opłatek, relikwię, Gebethner i Wolff, gabinet szefów przed pierwszą wojną, Gebethner i Wolff stoją, na pierwszym planie siedzi Prus, Prus na tym zdjęciu jak mumia, wystające kości policzkowe, włosy białe i sterczące, dłonie złożone na kolanach, stare, żylaste, o smukłym rysunku palce wczepione mocno w kolana. A tam, objaśnia gospodyni ze szczęśliwym uśmiechem, jestem ja, w uchylonych drzwiach zamazany, nikły kształt jak cień, to niby ona. Z tego jej zapominania zysk, chciałem mieć „Sobola i pannę”, dawno polowałem na tę książkę, pożyczyłem, i ona, ta stara, natychmiast zapomniała, więc mam u siebie na górnej półce „Sobola i pannę”.

Bystry znów rozszczekał się przenikliwie, pazurami drapie podłogę, musi być głodny, ona pewnie zapomniała go nakarmić. Jest już koło dwunastej, tak obliczam, bo przeszło godzinę już siedzę, a moi starzy kładą się przed jedenastą, teraz właśnie czuję się najlepiej, mniej kaszlę, katar mniejszy, całkiem nieźle. Z tą moją chorobą, właściwie nie chorobą, tylko takim ni to, ni owo stanem – duży kłopot. Przecież żadna poważna chyba sprawa, tylko takie pokwękowanie, a jak jest poważna choroba, to już wiadomo, jak się urządzić, wszystko do tej choroby dostosować i w porządku. Więc bardzo narzekam na to wredne pocenie się, katar, gorączkę, kaszel. O, jak ten Bystry rozszczekał się, chyba potężnie głodny, ile odmian szczekania, pisk, charkot, coś jak bas, skomlenie, szeroka skala. Ta moja gospodyni nie była brzydka, ma taką fotografię, możliwa całkiem, wodziła palcem

po twarzy na tej fotografii, śmieszna stara panna, przy tym wodzeniu mówiła, widzisz, Krzysiu, zawsze taki stary babsztyl nie byłam, taka wiekowa zalotna pannica, ale podobno nie była to taka stara panna zamknięta na kłódkę, ten gospodarz kamieniczki po sąsiedzku i ona parę lat ze sobą, rozbiła małżeństwo tamtego faceta, jego żona poczęła, jak mówi moja matka, gasnąc w oczach i umarła, ale raczej ze starości, przede wszystkim, grubo od niego starsza była, w ogóle to i ten facet z sąsiedztwa już dawno wykitował, tylko moja gospodyni dalej sobie żyje, dosięga do osiemdziesiątki i czyta w kółko „Świat aktorski moich czasów”. Postanawiam sobie, że rano, jak nie będę miał nic lepszego do roboty, pójdę do niej na górę, tam na górze brudne, z zaciekami mieszkanie, jakiś trupi, zatechły smrodek, zakurzone książki na etażerce, w ogóle wszystko w tym mieszkaniu pokryte grubą warstwą kurzu, ale najważniejsza ta etażerka, chciałbym jeszcze zdobyć coś Ossendowskiego, nie będzie to jednak proste, gospodyni przy książkach uważa na ręce, śledzi każdy ruch, choć może zagadam ją o te czasy Gebethnera i Wolffa i wtedy coś z tego wyjdzie, bo ona zawsze jak mowa o Gebethnerze i Wolffie oczy przymyka. Najśmieszniej kiedy pukam tam do niej, a ona jeszcze nie uczesana, takie rzadkie kosmyki włosów, twarz ma od snu trupią, żółte policzki, zastygła jakaś, martwa, szybko jednak ustępuje ta martwota, ona wyciąga z szuflady listy, ma dużo listów od pisarzy tamtych czasów, musiała trząść tą firmą u Gebethnera, bo pisali do niej o zaliczki, pozdrawiali uprzejmie ze staroświecką galanterią, a to rączki całują, a to tęsknią za modrymi oczetami, te zaliczki wtedy w rublach. Szczerze mówiąc z tego pocenia się, kataru, całego tego chorowania jest we mnie nie tylko strach, ale i zadowolenie. No, bo będę chodził do lekarzy, na różne analizy, morfologie, OB, cała masa tych załatwianek. Trzeba rano wstawać, szykować się śpiesznie, nawet nie można zapalić pierwszego papierosa, trzeba lecieć do ubezpieczalni po numerek, dopiero jak dostanę numerek, już pod drzwiami lekarskiego gabinetu, zapalę 'papierosa. Wczoraj tak właśnie pod drzwiami, zadowolony, bo trzeci numerek miałem, zapaliłem pierwszego papierosa, dym przyjemny, nie tak jak na czczo, w łóżku jeszcze. Przed białymi drzwiami gabinetu oprócz mnie dwóch ludzi, garbus i barczysty staruch o rumianych policzkach. Staruch gadatliwy, garbus zły i zjeżony. Staruch postukiwał laską, koniecznie chciał gawędzić, garbus zbywał go pomrukami. Młodyś ty, brachu, mówił rubaszny staruch, a ja na dogorywku, posmutniał, westchnął, ale w waszym wieku, patrzył na mnie, nie wiedziałem co to lekarz i choroba. Garbus łypał ślepiami i milczał zawzięcie, więc staruch chwycił mnie za rękaw, i to swoje brachu, dobroduszny uśmiech, śmiejąc się dmuchał w te zrudziałe wąsy, rozpoczął gadkę. Okazało się wkrótce, że mieszkamy na jednej ulicy, sąsiedzi, dudnił staruch, on zajmuje się szewstwem, zapraszał, mówił, że tanio i dobrze. Następnie zajął się wspomnieniami, gaduła przedni z niego, szybko, bełkotliwie wyrzucał słowa, nie bardzo słuchałem, coś o lasach, posłyszałem, lasy zniszczone, przejeżdżał przez rodzinne strony pociągiem, tamuj kiedyś wielkie lasy, te jego rodzinne strony, wyjaśnił, to białostockie, polował w młodości po boku, nielegalnie. Razu pewnego, zaczął odetchnąwszy głęboko, śmieszny zwrot, takie bajy, bajy, wykopał dół na sarny, właściwie chodziło mu o sarnie kozły, bo taki jeden hrabia chciał kozły do zwierzyńca, więc ten dół przykrył darnią, a było to na ścieżce, którą sarny chodziły, taki ich szlak, przyczał się i czekał wiele godzin, patrzy, stado zmierza prosto do pułapki, zerwał się, krzyczał, dwadzieścia sztuk, zakończył, wpadło. Chyba zmyślał albo zapomniał, niemożliwe, żeby dwadzieścia naraz wpadło, garbus też wykrzywił się niedowierzająco.

Drzwi otworzyły się. Ja mam pierwszy numerek, powiedział garbus, na jego twarzy ulga, szybko podbiegł do drzwi, ho, ho, zamruczał staruch. W takich poczekalniach przed biało lakierowanymi drzwiami zacznę wysiadywać, myślę też, że jestem zdrów, ale zacznę robić dokładne badania płuc, nerek, zatok, zębów, to bardzo dużo będzie wysiadywania, różne ramole, wstrętne działy wpychające się bez numerków, baby plotkary, kupa tego. Ta lekarz wczorajsza przyjemna, nogi z czarnymi włoskami, widocznymi aż do kolan, dużo tych lekko poskręcanych włosków, silne dłonie z krótko obciętymi paznokciami, wyżej dłoni piegi, czyste, silne ręce, ci lekarze zawsze tak czysto wyglądają, kobiety lekarze najlepiej, i jeszcze jak mają włoski poskręcane na nogach, takie samice silne i władcze, rozbieram się, jestem chudy porządnie, z żebrami jak pręty, mam na barku śmieszny tatuaż z poprawczaka, a ona, lekarz, przyciska słuchawkę do moich pleców, zimna,

błyszcząca słuchawka, słucha pilnie, ja czuję się jak pies, niepewnie mamrocze na jej pytania, czerwony po uszy, zerkam ukradkiem na jej nogi, młoda lekarz, łydki dość grube, dużo lekko pokręconych włosków, badała mnie uważnie, mówię dziękuję, bardzo dziękuję. Wychodzę i z rozkoszą zapalam papierosa.

Zimno w moim pokoju, ciągnie od podłogi, po kątach chłód, bo dwie ściany zewnętrzne, i pewno tutaj łapie mnie ten uporczywy, miesiącami trzymający katar. Okrywam się kocem, machinalnie przerzucam „Dzielnego wojaka Szwejka”, tę książkę mam zawsze w pogotowiu na biurku, przeważnie sięgam do tego tomu, gdzie kadet Biegler obzał się ptysiami i dostał sraczki, tego całego Szwejka znam już do znudzenia, na wrywki, i ciągle pustymi wieczorami czytam te głądziarskie przygody, czytam w kółko jak gospodyni Grzymała–Siedleckiego.

Może z rana wpadnie do mnie Arek. Ostatnio przez trzy dni co rano graliśmy w szpaki, taka zabawna gra w karty i z Arkiem przyjemnie grać, bo on z kartami obchodzi się poważnie. Arek twarz ma nalaną, taką blado opuchłą i posiwiał już nieco. Z nim przyjemnie grać w szpaki, opowiada bez przerwy o swoich przeróżnych sprawach z kobitami. Ma tych spraw całą kupę, pokazuje fotografie bab, takie stare, brzydkie, ani jednej ładnej nie widziałem. Pokazuje rozdygotaną ręką, tu, mówi, interes, ona ma spadek w Ameryce, parę tysięcy dolarów, i leci na mnie. Po tygodniu przychodzi do mnie zgaszony, smutny, z tą babą i ze spadkiem nic nie wyszło, bąka ze wstydem. I tak w kółko, nowa baba, nowy interes, następna zniszczona, brzydka twarz na fotografii. Te jego babsko–finansowe gadki drażniące już i nudne, ale niech wpadnie jutro z rana. Niech gada byle co. Niech opowiada, najlepiej opowiada o tej swojej żonie chamicy. Chamica z Lubelskiego, widziałem, okropna, szeroka, płaska jak decha, czoło niskie, całe w takich grubych, baranich fałdach. On opowiadał tak, zrobiłem interes, zadurzyła się we mnie, sprzedam te jej morgi i będzie zabawa. Pojechał tam na wiochę i po miesiącu wrócił, wygnali, ledwie kupiła mu skórzaną kurtkę i wypast się trochę, karmili go nieźle, mięcho, bo akurat świnię zabili, i śmietany dużo. O tej skórzanej kurtce mówił z takim zachwytem, jakby rzeczywiście zrobił interes. Więc uwodzi Arek te pokraczne, brzydkie baby, uwodzi ze sztywniacką swadą, one zachwycone, wdzięczą się i popiskują, on prawi im bez przerwy komplementy, wyszukany, też sztywniackim językiem, albowiem, li tylko, twa szlachetność oszałamia mię, do mnie też kiedyś przysłał taki list sztywniacki, jakby sprzed czterdziestu lat co najmniej, ten list chyba mam. W szufladzie. Choroba, taka kupa rupieci. Jest. Śmieszny list, i jakie pismo staranne, kaligraficzne, z zawijasami. Najgorsze, że Arek fotografie swoich szpetot pokazuje chętnie, dumnie pokazuje i mówi, patrz, jaką dedykcję mi napisała, nie mówi inaczej tylko dedykcja, cha, cha, śmieję mu się w twarz, a on nie wie, o co chodzi, minę robi głupią, powtarza niepewnie, fajna dedykcja, co, cha, cha. Ten Arek ma przy tym wygląd zagonionego zwierzęcia, tak coraz mówi, przepraszam, wybacz, przegrywał w szpaki, spocił się, rozpiął koszulę, dedykcja, ja parskam coraz mocniej, on zaniepokojony, pokorny, dopytuje, powiedz, co, może coś źle powiedziałem. Cha, cha, śmieję się z tej hecy, którą widziałem u niego niedawno. Siedzieliśmy w pokoju, babcia w kuchni, mała, głucha, dziewięćdziesiątkę przeszła, z kuchni dochodził chlupot wody, głos babci, woła, rzekł Arek, wrócił za chwilę i mówi; poczekaj, babunia już umyła nogi i muszę jej poobcinać pazurki. Zaciekawiony poszedłem za nim, w kuchni drzwi uchylone, widziałem. Położyła babcia nogi na krześle, takie grube, workowate nogi z czarnymi żyłami, Arek kucnął, trzaskały nożyce, babcia mruczała z zadowolenia, skończyłem, huknął jej w ucho Arek.

W ogóle ostatnio jak tak siedzę kamieniem w domu, chyba już miesiąc, to mam konszachty ze starszankami. Chociażby ta moja gospodyni, co kilka razy dziennie pokazuje mi tę samą fotografię, najlepszy był z nią numer, jak ten jej sublokator, Korwin Piotrowski, beznogi dziedzic po Burgerze, dostał pierwszego ataku nerek, ona nie lubi go, życie, powiada, prowadził szpetne, ten Korwin jęczał cienko, gryzł wargi, skręcał się w szelny, ciasny kłębek, kopał w ścianę, widziałem nagi kikut jego prawej nogi, taki słupek nieduży, zakończony czerwonym strzępiastym ciałem, ojciec pobiegł dzwonić po Pogotowie, wyszedłem na schody, bo trudno było patrzeć na Korwina, wyszła też gospodyni, z łóżka wstała chyba, te siwe, właściwie nie siwe, szare, rozpuszczone włosy, twarz

prosto ze snu, jakby nie stąd albo jak odlew jakiś z wosku żółto błyszczący, chwyciła mnie za rękę i mówi, męczy się, co, nagle śmieje się, śmiech taki jak u dziecka, szeroki, szczęśliwy, prosto ze snu, oczy pobłyskiwały przekornie, ma stary łajdak za swoje życie, klepnęła się po udach, prawda, Krzysiu...

Tak, ze starowinami mam ciągle konszachty, chodzę też do ciotki mego szkolnego kolegi. Najmłodsza z tych moich staruch dobiega siedemdziesiątki, z sępiem, indiańskim nosem i wiecznie papieros w ustach, ślini tego papierosa do połowy prawie, z nią rozmawiam przeważnie o książkach, dużo czyta, niekiedy spoglądam na fotografię w ramach złotych, młoda, pulchna dziewczyna, ona widzi mój wzrok, zaciąga się chciwie dymem i nic nie mówi, wiadomo przecież, że dziewczyna z fotografii to właśnie ona. Dyskutujemy o Blasco Ibanezie i Stefanie Zweigu, ich książki ona uwielbia, w mieszkaniu smród kotów, ona ma trzy syjamskie koty. Z kotami perypetie, do kotki Blanki, pokazuje spasioną jak gąsienica kocicę, sprowadziłam samca, chichocze, pan sobie nie wyobraża, co się działo, on bez przerwy z tą Blanką, jak maszynka, a później po trzech dniach on już fukał na nią, nie dał się zbliżyć, drapał, chichocze, zapala następnego papierosa i opowiada o Tomaszu, moim przyjacielu z powszechniaka, więc po co taką żonę sobie brał, pan się ze mną zgodzi, cóż za sens, prostytutka przecież, no, cóż, rosła, pociągająca, ale żenić się od razu, dym puszcza kłębami, oczy mruży zagadkowo, z tym sępiem nohalem jak wiedźma wygląda, ona bardzo lubi takie samcze, kocio-babskie sprawy, a choćby mój mąż nieboszczyk, też witalista, zaznacza znaczącym parsknięciem, z dziewczkami od krów, jedna taka dójka zadurzyła się w nim, chlipała, wzdychała, mąż przystojny był mężczyzna, śmieliśmy się z mężem i trzeba było ją odprawić, i ten chichot jej, gęsty, intensywny, w mieszkaniu mrok, ona szura kapciami, parzy herbatę. Myślę sobie, taki stary grat, z brunatnymi cętkami i tyle tego lubieżnego stłumionego chichotu. I odwiedzam ją często, myślę też, wypić wino, wziąć drugie wino, iść, ona oczy ma żywe, uważne, i ta fotografia nad łóżkiem, pulchna, ponętna dziewczyna. Ale to tylko takie rozważanie przy biurku w tych długich, wieczornych godzinach i bałbym się przecież. Lubię te staruchy, one są zabawne, opuchłe albo jak wiór, żółte, pokarbowane zmarszczkami, mają rzadkie, szare włosy, gospodyni te swoje włosy zwija w kok, śmieszne, kok jak supełek, Arka babka znów w cienki sznureczek i z tego robi koronę, i ta ciotka Tomasza, ta najmłodsza ze staruch, nochal ostry, wielki, włosy ściąga gładko do tyłu, gładzą, sztuczne szczęki klekoczą, opowiadają, przypominają. Moja gospodyni, gdy zaczyna te swoje mowy, wspomnienia, staje zawsze na progu i mówi, ja tylko na chwilę, i w ogóle nie chcę cię uwodzić, proszę, mówię, proszę, więc ona – pyta mnie Prus, panno Geniu, dlaczego panna za mąż nie wychodzisz, ona chichocze, nikt mnie nie chciał, na drugi dzień Prus przynosi laleczkę, Murzynka, mąż dla pani, Or–Ot był przy tym, co też panna opowiadasz, nikt jej nie chce, wszyscy chcieliby, a Józio Rapacki... Gospodyni urywa, każe mi czekać i szybko drepcze na górę, coś zobaczysz, mówi ze schodów, przynosi list od Rapackiego. Pokazuje tylko początek, zaczyna się ten list, o pani, cały tekst zakrywa szczelnie dłonią, pokazuje jeszcze zakończenie, pozostają w bolesnym oczekiwaniu. Widzisz, powiada, pokasłuje, chrząka skromniutko, jest bardzo zadowolona.

Tak, ze staruchami zabawa. Takie pomarszczone woreczki, papierowa skóra, wątrobiane plamy na dłoniach, pliki wyblakłych listów, powiązanych wstążeczkami lila, te listy pisane kaligraficznym maczkiem, staruchy pokazują chętnie swoje fotografie z młodości, ładne, rosłe dziewczyny z grubymi warkoczami, zapominają zaraz, i od nowa pokazują listy, fotografie, uśmiechają się wstydliwie, oczy dziecinne, zamglone, brązowymi palcami wodzą po listach, muskają fotografie.

W pokoju rodziców człapanie, kaszel. Charakterystyczne, powłóczące kroki ojca. Poderwałem się od biurka, rozrzuciłem pościel na łóżku. Ojciec może zajrzeć, zacznie narzekać, oni nie lubią tego nocnego przesiadywania, bardzo nie lubią. Człapanie ustało. Pisk sprężyn. Położył się, nie przyjdzie. Jakże do mnie mają te staruchy zaufanie, nie tylko w sprawach listów i fotografii, ta ciotka Tomasza na przykład, mówi, mam rozstrój, panie Krzysiu, stare kiszki, prze i prze boleśnie i nic z tego, nie idzie, uśmiecha się poufnie, współczuje jej, dość obrzydliwe, prawda.

Mam też w tych dniach, kiedy nie wyjeżdżam nigdzie, inną stałą metę. Odwiedzam znajomego doktorka, jego żona krzykliwa, nudna blondyna. Matka doktorka ma sklep i postawiła młodym

wille, taką z werandą, piętrową, parkan żelazny, wysoki, w tej willi cztery pokoje pełne brzydkich, błyszczących wysokim połyskiem mebli. Jest też telewizor Orion, siadam za okrągłym stołem, ma-
hoń zapewne, powiedziałem pierwszym razem przymilnie, oni siadają w miękkich fotelach, i pa-
trzymy w ekran. Nuda tam u nich, te meble okropne, obraziki cukierkowe na ścianach, dywan bor-
do nad kanapą, dywan na podłodze, pianino z czterema kryształowymi wazonami, ale najgorszy ten
ich sypialny pokój, małżeńska sypialnia, wprowadzono mnie tam z dumą, a więc tapczanisko jak
obora, niska toaleta z mnóstwem porcelanowych posążków, ptaszków, słoików, Murzynków, jest
też łoś mosiężny, na podłodze dywan, nad tapczanem makata ręcznie haftowana, myśliwy w tyrol-
skim kapelusiku, dziewczica i słońce, misterna robota, powiedział doktorek, ładna robota, co, nad
tym tapczanem—oborą ich ślubna fotografia, ona utrefiona w mnóstwo drobnych kiełbasek, jego
twarz pusta, napięta w jakimś niby—uśmiechu. Doktorek zabawny, domowy szczur, bonżurka z
łatami na łokciach, w domu chodzi tylko w bonżurce, swobodniej, objaśnia, , pobłyskują mu me-
talowe ząbki, srebrne i złote, patrzy na nią ulegle, zależy mu na niej, jasnowłosej, oczy też jasne,
krzykliwe, z kredkowanymi brwiami, i drgające, szczelnie opięte pośladki. Gdy ona wychodzi do
kuchni zaparzyć kawę, doktorek szepcze mi pośpiesznie, wiesz, byłem w Kameronie na trunkowaniu,
poznałem przyjemną laleczkę i... urywa spłoszony, wchodzi ona, ta— blondynka, znów w milczeniu
patrzemy w ekran. Doktorek przykulony, wyblakły, dawniej piłem z nim kilka razy wódkę, bardzo
lubił dziwki i wódkę, mawiał przy picu z gorzką miną, cóż nam zostało, ludziom straconym, na
dziewczyny chart był z niego, żadnej nie przepuścił, a najgorzej było przy płaceniu rachunków,
chował pieniądze do małej kieszonki w spodniach i robił minę ockniętego, cholera, całą forszę zo-
stawiłem w domu, wtedy często chwytało go za kłapy, więc odwracał się, długo gmerał w kieszon-
ce i wyciągał odpowiedni banknot. Siedzę więc u doktorostwa godzinę, dwie, pożyczam jakiś kry-
minał, bo, do licha, chcę się oderwać od tego Szwejka, i wychodzę.

Willa piętrowa, czerwona, bez tynku jeszcze (doktorek narzeka, że brak forsy), na drzwiach ta-
bliczka. Oni lubią mnie. Bo ja umiem żyć z ludźmi, mam swój sposób, każdemu przytaknę, miny
robię specjalne, niby takie, że pochłaniam z ciekawością słowa rozmówcy, ale najważniejsze to
przytakiwanie, z blondynką rozmawiałem o jakiejś książce Faulknera, nudna, uznała, rozwlekła,
głosik jej przy tym koneserski, lekko nosowy, zgodziłem się skwapliwie. Dawniej to bym im mowę
założył, taką z pasją i złośliwością, w ich oczach oszołomienie, on czy nie on, a ja dalej waliłbym.
Ale teraz nie mogę, głupio bym się czuł, no, bo jak to, napiłem się neski, ciasteczka, likierek też się
zdarza, i nagle taka wredność. Więc zgadzam się, potakuję. Nawet do Arka ani pary z ust nie po-
puszczę. Jednak z nim co innego, posiwiwały i te psie, głupie błyski w oczach, więc po co mówić mu
cokolwiek, spociłby się i te psie, poddańcze błyski w oczach, od ostatniej, tej długiej, odsiadki taki
właśnie jest Arek, zmarniały.

Dużo w ogóle sobie ułatwiam takim z cicha pęk, mądrym przytakiwaniem. Wskoczę na sta-
cję, tamci wszyscy moi znajomkowie, studniarze, szoferaki, chłopaki, co jeżdżą z węglem, to całe
ministerstwo pogody i słońca (ci, co w ogóle nic nie robią), Kizior, Felek, Biały, cała rakieta chło-
paków przy barierce, składają się na wino, wódkę, stałe gadki, niezmiennie jak katarynka, a to
ostatnia zabawa w straży pożarnej, a to ciężka popijawa w „Warszawiance” te dziewczyny z budek
fajne, jakaś Maryśka, Staśka, to i śmo. I tu mój sposób niezawodny, zataczam się od śmiechu jak
oni, dopytuję jak oni, na wszystko się zgadzam, to, że tamten komendant posterunku glinów lepszy,
najlepszy właściwie, niby groźny, kłął, ale chłopaków trzymał najwyżej osiem godzin, a ten nowy
najmniej dwadzieścia cztery, na wsio się zgadzam... Tylko długo tak nie mogę, godzinę, no do
dwóch najwyżej i zwiewam. Najdłużej mogę wytrzymać i jest mi najlepiej z moimi staruchami, a
też u doktorka i jego blond żony. Hm, gdyby tak chłopcy ze stacji znali to wszystko, to powiedzie-
liby, że jestem frajer i chwiej, tak, na pewno.

Siedzę przy biurku, międlę te kartki ułożone stosikami, przerzucam książki na półce, układam
grzbietami, kolorami, kupkami, łączę po <_ pustych pokojach, takie spacerki odstawiam matka przy
tej okazji namawia mnie do froterowania, pewnie, ma rację, odwiedzam te baby wiekowe, po pro-
stu chwiej, wskoczę na stację, witam się z chłopakami, udaję równiaka, mówią, postaw portier,

stawiam, sam ledwie usta umoczę, bo uważam, że porter tylko smak niepotrzebny do gorzałki daje, a znów gorzały boję się pić, bo upijam się ostatnio szpetnie, gładzę, robię się mendowaty, zamęczam wszystkich, ciągle, jakby retorycznie, dopytuję się, kto ja jestem, kto, do znudzenia tak, a jak wytrzeźwieję, narzekam boleściwie, po co piłem, nadkwasota dokucza, myślę, trzeba klina wybić, dochodzę do „Warszawianki”, zatrzymuję się pod drzwiami, myślę po co, jedna wódka to smak na następne, znów będę gładził, nudził, więc zawracam od „Warszawianki”. Bezwarunkowo chwiej, z tą wódką naprawdę mam kłopoty, jeszcze na ulicy trzymam się jako tako, ale w domu już zupełnie tracę formę, złość mnie ogarnia, krzyczę na starych, klnę, oni przerażeni, ryczą, co wy rozumieją, burasy jesteście i tyle, zgrzytam zębami, wyzywam od osłów, robotów, wreszcie walę się na łóżko zmęczony, prawie już trzeźwy, w gębie ohyda, gorzko, z trudem zasypiam, i przychodzi podły ranek, wstaję rozklekotany, napięty, boję się o swój żołądek, boję się o swoje płuca, mam wrażenie, że za chwilę stanie się ze mną coś złego. Albo, przeważnie rankiem po tym picciu, mówię, skończę z tymi bzdurami, histerią, z tą jałowizną, z tym włóceniem się po pustych pokojach, z tymi staruchami woskowymi, do roboty pójdę, mam przecież rozmaitych znajomych, oni po koleżeńsku znajdą coś dla mnie, więc postanowione, idę do znajomych, co pracują w biurach, już, już mam załatwić, i wahanie nagle, myślę, trzeba wpierw rozważyć, a nie tak na chybcika, zawracam. Czy nie chwiej jestem? Są też takie ranki, kiedy uważam, że w życiu trzeba iść na całego, na ura, ryzykować, łba nadstawiać, więc koniec z tą strachliwą papraniną i mazią. Tak rozmyślam, smętne to są rozmyślenia, palę łąpczywie papierosa, a potem idę do kuchni, czas na obiad, gotuję ziemniaki, umiem już robić zupę ziemniaczaną z zacierkami, do tego trochę smaku pomidorowego, kostka Maggi, gotują się ziemniaki, bulgocze woda, łążę po pustych pokojach, zupa już gotowa, wracają ze szkoły rodzice, patrzą na mnie z wyrzutem, zamykam drzwi i siadam przy biurku.

Cha, cha, cha, śmieję się z tych swoich wielkich postanowień i z tego gotowania zupki na maszynie. Choć śmiech śmiechem, ale są to przykre jednak sprawy. Z sentymentem wspominam stare czasy, kiedy był ze mnie łąpczywy życia małałatek, taki psiak niezmeńczony, biegałem po ulicach naszego miasta, wstępowałem do knajp, umiałem poznawać dziewczyny, niezłe dziewczyny, i nawet dużo forsy nie potrzebowałem wydawać, po prostu lubiłem tę zabawę w zaloty, a dziewczyny chętnie te moje zaloty przyjmowały. Teraz to i z dziewczynami nie wychodzi mi za dobrze. Żle. I tylko wspominam dziewczyny z tamtych czasów, taka Hanka, ekspedientka z WSS przy Żelaznej, albo Baśka, fajne, miłe dziewczyny. Hanka miała wielkie jak buły piersi, szerokie usta i wszyscy, którzy widzieli nas, mówili, ona to jest za tobą, tak, tak. Tę Hankę spotkałem nawet przed paroma dniami pod kinem, poznała mnie od razu. Dobrze wyglądała, uśmiechała się do mnie, rozchylała te swoje grube, wilgotne usta. A ja, baran, gadałem niemrawo, sztywno, w ogóle nie chciało mi się gadać z nią. Ona wyraźnie rozczarowana, pożegnaliśmy się chłodno. Byłem zadowolony, dopiero w domu plułem sobie w brodę, jak jeszcze plułem, zmarnowałem taką okazję, dziewczyna chętna, przyjaźnie do mnie nastawiona, nawet nie musiałbym specjalnie wysilać się, a ja, chwiej głupi, zmarnowałem taką okazję. I długo niepokoił mnie obraz tej Hanki z Żelaznej. Doskonale też wiem, że gdybym nawet spotkał ją drugi raz, to również zmarnowałbym okazję.

No, ale już porządnie późno. Starzy pochrapują. Zrobię sobie jeszcze herbatę, taką mocną, brunatną, i w kimę. Jutro, jeśli nie odwiedzi mnie Arek, to pójdę do gospodyni na górę, co mi szkodzi pooglądać znów te listy sprzed wielu lat. Tak, wybiorę się do niej. Teraz po cichutku, na palcach do kuchni. Ale te drzwi skrzypią piekielnie, żeby ich nie zbudzić, psiakrew... Muszę w pokoju zainstalować sobie taką grzałkę do herbaty.

PODRYGI

Robiłem się coraz bardziej sflaczały i ukryty w skorupę, jednak słaba to skorupa, bo byle co z zewnątrz zakłócało moją równowagę i przejmowało strachem. Najbardziej przerażały mnie sprawy nieprzewidziane. Ta strachliwość niezwykła we mnie – z histerycznej obawy, że wszystko z zewnątrz jest groźne i nie do zniesienia. Z tego powodu każda konieczność aktywnego działania, nagłego wysiłku przejmowała mnie głębokim wstrętem, odczuwalnym fizycznie, potęgującym się i właściwie obezwładniającym zupełnie. Ponadto wyczerpałem już sporą skalę życiowych wrażeń, mało co, chyba nic na razie nie potrafiło mnie poruszyć, zresztą asekurowałem się na wszelki wypadek pewnością, że większość tych spraw powtarza się jak stare płyty, dzwonią mi one w głowie, męczą swą monotonią, a niemałą przecież znałem skalę możliwości, i tak dla przykładu przypomniałem sobie urzędniczą pracę, a najchętniej grzebałem się w rozpamiętywaniu studniarskiej pracy. To już dawno temu było, najalem się do kopania studni i nie można tego nazwać gówniarską zabawą, ponieważ cały sezon utrzymałem się. Kopaliśmy studnię dla zakonnic, ciężka tyrka, dłonie z początku pokrywają się bąblami, a później rogiem, trzeba jak w zaprzęgu przez wiele godzin kręcić wiertarskim kołowrotem, takie dreptanie drobne, mięśnie sztywne i napięte, tak krążyłem przy kołowrocie pusty w środku, jakby nakręcony i jałowy, wieczorem cięło się w tysiąca i sztos, a czasem robiliśmy wypad na wiochę do pegeerowskich dziewczyn, kiedyś po cichu wprowadziliśmy zakonnicom wóz, zaprzęgliśmy dwa konie i gnaliśmy po nocy jak opętani, wódę mieliśmy i dwie piszczące, rosłe pegeerówki. Następnego dnia zakonnice patrząc na nas zmęczonych i wyszarzałych tylko krzywiły się z obrzydzeniem; lubię ten studniarski sezon odtwarzać, ale to też właściwie nie ma sensu, tak dawno, i na nic podobnego nie ma teraz ochoty.

No i przestały mnie również pociągać dziewczyny, już tylko lubiłem rozpamiętywać przeszłość w tej dziedzinie, oceniałem i kwalifikowałem jak kolekcjoner minione przyjemności, ułożyłem sobie w głowie taką jakby księgę wspomnień, i tylko przewracałem odpowiednie kartki... Z tego pobieżnego naszkicowania wynika już, że cholerna jałowość w mojej skorupie, stan ten spotęgowany jeszcze brakiem ochoty do działania; ani na intensywną robotę, ani na tak zwaną życiową karierę – do niczego nie miałem chęci i gliku. Jasne więc jest, że straciwszy normalną ludzką sumę zajęć i rozrywek byłem bardzo opustoszały i wymieniony, żadnego bałaganu i niepokoju starałem się nie wpuszczać do wnętrza, oczywiście udawało mi się to tylko pozornie, i to jest właśnie najgorsze, że niby wszystko jak w zegarku, sprawnie i bez napraw chodziło, ale tylko pozornie. Bo chociażby wracając ze spaceru, spaceru traktowałem jako ważne zajęcie, takie chodzenie bezcelowe w tłumie, najchętniej z opuszczoną głową, nie chciałem tym sposobem wplątywać się w ludzkie spojrzenia i gesty, i dzięki temu nie miałem nic do wieczornego rozpamiętywania, nie chciałem nic mieć, ot, czasem jedynie próbowałem zapamiętać jakieś spojrzenie dziewczyny, snułem na tej wątlej kanwie taniutką historyjkę, że podobałem się jej, że spojrzała bardzo specjalnie, że... takie rozważanie wieczorne gasło łagodnie, przemieniając się w sen, tak więc wracając ze spaceru starałem się być szczelnie i ciasno zamknięty i najprzyjemniejszą rzeczą po powrocie był łagodny sen... Ale właśnie nie wszystkie wieczory tak przechodziły, czasem w moim błotku jakieś zaburzenia i wiry. Wypalałem dużo papierosów, łapała mnie tęsknota za intensywnym życiem, nawet nie można powiedzieć, żeby to ciągota za jakimś ekstra życiem, dramatycznym czy kolorowym, po prostu pragnienie zmiany tej mojej jałowizny w rzeczywiste życie, choćby urzędnicza robótka, marzyłem, będę regularnie do biura, będę wypisywał rozmaite papiery, okólniki, sprawozdania, będę w określonym towarzystwie, urzędniczki jakieś, do kina z urzędniczką, na kawkę, bardzo zagłębiałem się w treść urzędniczego życia, łykałem to życie w drobiazgach i szczegółikach, trochę uspokajałem się wtedy, bo tak wydawać mi się zaczynało, jakbym już naprawdę w tym urzędniczym życiu...

Innym znów razem inaczej odmykała mi się skorupa i rozważałem, może uda się sztucznie ożywić to wszystko, zmusić się do zajęcia zdecydowanej postawy, do dużego zmęczenia chociaż, jak wtedy przy studniarskim kołowrocie. Dwa tygodnie tego zmęczenia nawet, zmusić się

tylko i udawać, tak, jak nie można szczerze, to udawać, a przecież mógłbym udawać. Ważne są możliwości w udawaniu, a ten warunek raczej spełniam. Prezentuję się niezłe, twarz dość młoda, nie wytarta, oko świetnie wygimnastykowane, zależnie od sytuacji pełne znaczących błysków, bardzo prawidłowy wygląd. Rozważałem, że z takim wyglądem właściwie bez trudu wiele spraw mógłbym rozgrywać, i budzę zaufanie, i starsi ludzie lubią mnie, i dziewczętom podobam się, wiele spraw w udawaniu miałbym ułatwionych.

I nadarzyła się mała okazja. Chorowałem na grype, drobne komplikacje. Zaaplikowano mi serię zastrzyków. Zastrzyki przyszła robić bardzo ładna pielęgniarka, ożywiłem się jej widokiem. Smukła jak kozica, oczy wielkie, i modnie, fajnie ubrana, futrzana czapa, obcisła spódniczka, piękne długie nogi. Ożywiony jej przyjściem, groteskowa sytuacja, wypinałem tyłek, wbijała igłę, wypinając owłosiony tyłek zalecałem się do niej całkiem naturalnie nawet, bez udawania w tym momencie. Pielęgniarka okazała się inteligentną, bystrą dziewczyną. Zaczęło się od radia. Wytarła watą zakłute miejsce, w drugim pokoju zagrało radio, uśmiechnęła się ironicznie, powtarza radiowe zdanie, jakiś fragment prozy czytali, serce jej ścisnął lęk, lodowate łapy lęku boleśnie chwyciły jej serce – ale stylistyka – powiedziała ładna pielęgniarka, jak Marczyński. I w ten sposób nawiązaliśmy rozmowę o Bablu, amerykańskich pisarzach, czytała Faulknera, zachwyca się Salingerem i bardzo lubi teatr, niezły gust, wymieniła Brechta, Durrenmatta i STS, gadaliśmy chyba z godzinę, a przecież bardzo śpieszyła się do następnych pacjentów. Zapisałem sobie jej telefon. Powiedziałem z uwodzicielskim uśmiechem, że jak kiedyś będzie gdzieś dobra sztuka, to zadzwonię do niej i wybierzemy się. Odpowiedziała przyzwalającym uśmiechem. A na odchodne dowiedziałem się jeszcze, że ostatnio pasjonuje się taternictwem. Co za faceci ci taternicy, mówiła pośpiesznie, ryzykanci, i nie jakieś tępe osiłki sportowe. Skąd znowu, przeważnie intelektualiści. I na tych ścianach prostopadłych o krok od śmierci, to jest pasja, powiedziała, to jest życie... Bardzo zgrabna, wychodząc pięknie kołysała tym wszystkim ważnym. Wstałem, sam potężnie ożywiony, paliłem łapczywie fajki. Tymi taternikami wbiła mi w łeb ćwieka, to jest pasja, to jest życie. Zawsze takie określenia powodują u mnie niepokój, myślę wtedy o swoich sprawach i zły jestem, bezradny. Na ścianie prostopadłej, filary, przewieszki, raki, celnie zraniła mój słaby punkt. Ale znów pomyślałem o jej nogach. Udało mi się zepchnąć tę zadrę, to taternictwo–pasję na spód, myślałem już tylko o niej, zgrabnej, wielkookiej i rozgarniętej. I tak przez parę dni choroby snułem z przyjemnością historię ładnej pielęgniarki... Idziemy do teatru, gadamy sobie fajne rzeczy, ona uśmiecha się do mnie, podobam się chyba jej. W tych rojeniach dochodziłem już do pierwszego ważniejszego etapu zalotów. Po teatrze do parku. Piękny wieczór, gadka o literaturze urywa się. Moja ręka na jej kolanie. A jednak te miłe w chorobie, wypełniające świetnie czas rozważania zgubiły mnie. Tak sobie wyraziście i pełnie wyobrażając przygodę z ładną pielęgniarką straciłem chęć na rzeczywiste rozpoczęcie sprawy. Wiedziałem i odczułem już wszystko, więc ilekroć podnosiłem słuchawkę telefonu, ogarniało mnie niezdecydowanie, brak ochoty właściwie, i nie zadzwoniłem. Ta flakowatość wypełniająca mnie po brzegi zepsuła sprawę. Zwątpienie pomnożone przez wiele pytań nie pozwoliło mi na najmniejszy odruch działania: a po co ci ta impreza, i tak już znasz wszystko, i tak później w pamięci zostanie tylko nagi schemat, identyczny jak dziesiątki innych przygód... I, cholera jasna, nie zadzwoniłem. Kawał czasu już upłynęło i pewnie zapomniała o mnie ta ładna dziewczyna.

Te drobne klęski przytrafiają mi się nie tylko z powodu nadmiernej skłonności do wyobrażania, do przeżywania niejako w wyobraźni całej (jakże ponętnej w przypadku pielęgniarki) przyszłości, jest to również strach przed działaniem, obawa. Trudno to określić ściśle. Po prostu nie czuję się pewny w działaniu, jeśli już mogę coś zrobić to tylko wtedy, jeśli nie trzeba się nadto mobilizować wewnętrznie, więc najlepiej w takiej sytuacji, gdzie moja flakowatość może bezpiecznie wylewać się na zewnątrz, i dlatego najchętniej obracam się w takim stałym, od dwóch lat już zorganizowanym kręgu spraw i ludzi. Zresztą przemyślnie bardzo urządziłem sobie ten „łagodny krąg życia”. Naciśkam odpowiedni guziczek i już spotkanie z Chemikiem, z nim pójdę na mocną kawę z włoskiego ekspresu, następnie do kina, film już wybrany. Najchętniej kryminał albo komedia. W inny znów dzień spotkanie z dziewczyną. Niekoniecznie sprawy erotyczne, może chodzić jedynie o wygada-

nie się. Kobieta jest do słuchania idealna, umie wspaniale słuchać gładzenia faceta, z którym jest w jakimś związku. Kalendarz mój jest niezwykle precyzyjny. Idziemy dalej. Pod koniec tygodnia łóżkowe spotkanie z dziewczyną. I tak w kółko. Idę do Bródki, w kalendarzu on ma swoje stałe miejsce, jako niespokojny duch mego „łagodnego kręgu”. Bródka opowiada swoje pijackie dramaty, słucham tych smutnych historii, jest to dla mnie taka kąpiel przypominająca przeszłość. Sam przecież od dawna już nie robię nic wariackiego. Wody unikam, jestem taki bobasek różowy, więc słucham uważnie, później otrząsam się z tego wszystkiego jak zmoczony pies i cieszę się, wygodne bydlę, że nic takiego nie robię, że wracam do domu, że zaraz kimać się położę...

Nawet jak jestem z dziewczyną, dwie mam takie w swoim życiu, oddane, miłe, nie mogę się ich nachwalić, bo przecież jedynie przy nich pozwalam sobie na flakowatość, a więc brak zalotności, nieefektywność, znudzenie, wygodę; więc nawet z dziewczyną używając przyjemności, korzystając z niej nie przestaję być wszawy i wstrętny, a jakże zalotni są wtedy inni mężczyźni, jak przymilają się, ja jestem do końca plugawy, leniwy i podły. Cieszę się jej podnieceniem, obserwuję starannie objawy tego podniecenia, przymknięte oczy, szybki oddech, przypominam sobie inne przygody z dziewczętami, chętnie wybiegam też naprzód, wyobrażam sobie swoją dziewczynę jako starego już babsztyla z zapadłą, fałdzistą twarzą, i widzę tego babsztyla w miłosnej ekstazie, jak bucha pożądaniem żalonym, albo znów myślę o młodziutkich, bardzo ładnych dziewczynach. Ta bolesna zadra widocznie jest we mnie z powodu pielęgniarstwa, z powodu niemożności spotkania się z nią, więc wyobrażam sobie te młodziutkie wale w halkach bufiastych, w bucikach wysokich, leżę z nimi, rozbierają się, och, wstrętne to wszystko, zdaję sobie z tego sprawę, ta wredność zmusza mnie czasem do chichotu, z trudem tłumię ten śmiech, przecież nie daj Boże, żeby moja dziewczyna usłyszała ten śmiech, w takich sytuacjach nie można jednak pozwalać sobie za wiele, tego dziewczyny nie znoszą, nawet moje dziewczyny nie pozwolą mi na to, więc duszę ten wredny chichot, staram się nic sobie nie wyobrażać i tylko próbuję tkliwie, dobrze myśleć o tych swoich dwóch dziewczynach. Zawsze o dwóch myślę naraz, jakie oddane, powtarzam sobie, wyrozumiałe, tyle znoszą. W ogóle to wygoda z nimi duża. Nic nie wymagają, być może liczą w skrytości na głębsze jakieś i trwalsze ze mną powiązania, ale chwała Bogu, nic o tym nie mówią, tylko ze zrozumieniem i łagodnością słuchają moich wszawych, robaczywych wynurzeń.

I tak plecie się to wszystko, brak aktywności, grzebanie się leniwe w błotku i nic więcej. Dziwny to stan. Jak w narkozie. Głucho, łagodnie, coś zaszumi czasem. Chociaż... niepełna to prawda, bo mimo że tak sobie życie sprawnie zorganizowałem, to nieraz wyć mi się chce, ryczeć, robić coś, głupstwa nawet, ale gwałtownie, z oddaniem, bez bocznych wyobrażeń, marzę o pierwszych spontanicznych odruchach, obgryzam wtedy bezsilnie paznokcie, no i śmieję się, że narkoza przestała działać. Poszukiwanie pierwszych odruchów daje niekiedy pewne skutki, coś zaczyna tlić, migotać, dmucham wtedy co sił w ten ogieniek. Raz już poszedłem do biura, załatwiłem sobie posadę, zadzwoniłem do wpływowych znajomych, bardzo życzliwi, dla takiego faceta wytrzaśniemy coś męskiego, nie nudnego, mówili. Trochę to mnie zaniepokoiło. Uważają mnie za twardziela, a więc tak wyobrażają sobie, że energiczny, wypić lubi, kobitki lubi, w ogóle chłop z ikrą. Nieźle mnie to zaniepokoiło, ale załatwili już wszystko. Miałem zostać referentem zaopatrzenia w Centrali Skupu Warzyw i Owoców.

Nie spałem całą noc. Myślałem o tej robocie. Znajomi opowiadali: ruchliwa praca, jeździ się z konwojentem po towar, znamy ciebie, poznasz kupę interesujących twoją wyobraźnię spraw. Na boku zarobisz też. Tam idą lewe numery, a ludzi cała galeria, chłopki, handlarze, farmazoni, szofe-raki, akurat dla ciebie ta robota.

Poszedłem tam punktualnie. W tym pokoju trzech referentów. Stary safandula i dwóch cwaniaków o ogorzałych, bezczelnych gębach. Witamy nowego kolesia, powiedzieli ci dwaj, słyszeliśmy już o panu. Stary włożył okulary i zaskrzeczał, same dobre referencje. Poczęstowali mnie „Grunwaldem”. Młodzi wrócili do przerwanej opowieści, wspominali ubiegły tydzień, dobry był ruch. Jeden zarobił na czysto górala, drugi też, a ile jeszcze wody wypili. Na kapuście tak zarobili. Na wierzch gatunek pierwszy, a pod spód lichotę. Jeden z młodych narzekał, że za dużo przepił,

mógłby więcej zaoszczędzić. Safandula powiedział, że i ja tyle będę mógł zarobić. Młodzi przytaknęli, a safandula poklepał mnie po plecach. Ten młody, który przepił za dużo, wyciągnął dłoń i pokazał, jak dygoczą mu palce. Opowiedział o ostatniej popijawie. Poznał dziewczynę w Orłówce, chętna, z forsa, żona kelnera. Cały czas stawiała. Cieszył się ten młody, że tym razem mało forsy wydał. Kiedy wrócił do domu, żona na niego ze szczotką czekała, ale on ją za szlafrok, zaryczał, zamknij dziób. Przestraszyła się. Udało mi się, chichotał, i już nic nie gadała, ani słowa. Safandula zaproponował, żeby wypić coś, jest okazja, nie ma szefa. Sprawę wypicia przerwała nam panna Stasia z sekretariatu. Jeden z młodych objął ją, safandula zaś wsunął sprawnie dłoń pod jej nylonową bluzkę. Wyrywała się, ale raczej słabo, tylko tak dla formy. Zaczęli tańczyć twista. Ten młody okazał się specem od twista. O tak, dyrygował, lekkuchno, tylko biodrami. Safandula wykpił twista, co to za taniec, jak już tańczyć, to babę obmacać, mieć przy sobie, żeby wszystko grało. Już wtedy poczułem się wynudzony potężnie. Źle się poczułem, ale nie dawałem po sobie nic poznać, uśmiechałem się głupawo. Ten twiściarz przycisnął teraz pannę Stasię do ściany, wyrywała mu się, czerwona i radosna. Wybuchnąłem głośnym śmiechem, nie mogłem się opanować. Rechotałem coraz mocniej, taka fala śmiechu jak czkawka. Ci trzej referenci popatrzyli na mnie z zainteresowaniem, ale go chwyciło, powiedzieli, panna Stasia oburzona, też wychowanie, pisnęła, wyszła trzaskając drzwiami. I ja wtedy wysunąłem się za nią bulgocząc i czkając tym dzikim śmiechem, szybko zbiegłem po schodach. Na ulicy odetchnąłem głęboko i poszedłem na kawę do tego baru z włoskim ekspresem. Do roboty już więcej nie poszedłem, głupia historia, ale jednak nie mógłbym tam wytrzymać, nie dałbym rady z tymi młodymi, z tym safandulą i panną Stasią. W końcu załamaliśmy się tam i taki załamany, nagi, od razu stałbym się pośmiewiskiem dla wszystkich referentów i urzędników w warzywnictwie. Opilem się kawą z włoskiego ekspresu jak bąk, jednak taka ucieczka to głupia sprawa, dla rekompensaty zacząłem sobie przypominać, jak to dawniej ostro wódę żłopałem, bardzo ostro, i łeb miałem żelazny. Poznałem wtedy pakę dość inteligentnych, niechamowatych waluciarzy, co dzień spotykaliśmy się w „Polonii”, pięciu nas było i Wiśka, kochanka Czapy, on siedział akurat w pierdłu, więc z samego rana wypijaliśmy litra, miałem trochę forsy, bo starym z domu srebro wynosiłem i sprzedawałem w spółdzielni „Orno” na Bagnie, po tej wódzie oni załatwiali dolarowe interesy, łąziłem z nimi, trasa niezmienna: bank PKO, sklepy „Jubitera” przy Wspólnej, z kawiarni szliśmy na flaki do „Flisa”, wieczorem oni już zajęć nie mieli i przeważnie piliśmy w „Kaskadzie”. Trzy miesiące trzymałem się z nimi, za żelazną głowę byłem, wszystkich odstawiałem do domu, wreszcie skończył się ten alkoholowy okres, bo kiedyś po „Kaskadzie” zasnąłem w parku Saskim na trawie. Jesień późna, mokro i dostałem zapalenia płuc, a paka też się rozpadła. Dwóch wyjechało, do Wrocławia. Czapa wrócił z pierdła, stłukł Wiśkę, bo dowiedział się, że puszczała się. Wiśka poszła do szpitala, a po powrocie stamtąd zrobiła się porządną, troskliwą żoną. To przypomnienie wróciło mi równowagę. Uśmiechałem się łagodnie, miękko. Mój śmiech zaintrygował barmankę. Przyglądała mi się bacznie, wyszedłem z kawiarni. Spacerkiem zawędrowałem w Aleje Ujazdowskie, usiadłem na ławeczce pod kasztanem. I co najważniejsze, wtedy doskonale się czułem, żadnych załamań, nastrój promienny. Przytrafiły mi się w tym pijackim widzie interesujące dziewczyny, i z Wiśką od Czapy udało mi się raz, w „Kameralnej” to było wyjątkowo, zatańczyliśmy tango, odpowiadasz mi na dzisiejszą noc, powiedziała Wiśka, jako tancerz, zapytałem z głupia frant, pogładziła mnie po włosach, i pojechaliśmy do hotelu, a wtedy wielką chęć miał na nią Robert Krawczyk, najbogatszy z waluciarzy, zwany Garboletą... Szczęśliwy to był dla mnie okres. Niefrasobliwość zupełna, cieszyłem się Wiśką, wódą, waluciarzami, i tak w kółko, ale wcale nie monotonne to było dla mnie kółko. Zaczęną zabawę z alkoholem, pomyślałem, odświeżę tamten czas. Przypomniałem sobie czysty letni ranek, siedzieliśmy przed „Polonią” na murku, oddychaliśmy ciężko, poprzedniego dnia ochłaj, byliśmy bez forsy. Słońce grzało przyjemnie, seteczka, marzyłem, jedna seteczka dla równowagi, a potem gorące danko do kałduna; i nie wiem czemu ten letni ranek doskonale pamiętam. Późną nocą wróciłem z Alej do domu, zasnąłem od razu. Rano wstałem z eksperymentalnym postanowieniem: pójdę do waluciarzkiej kawiarni, zapomnę o porażce w warzywnictwie, zresztą cóż to za porażka,

doskonale znam takie nudne, namolne roboty, kombinowanie forsy, wóda przy tych kombinacjach, głupie rozmowy, życie jełopów po prostu, nie dla mnie to, wolę coś bardziej ryzykownego, nieprzewidzianego, tak się tłumacząc i gotując na wypad, z apetytem wrąbałem śniadanie, spojrzałem w okno i zdrętwiałem. Szedł milicjant. Pod moim oknem zwolnił kroku, przestraszyłem się. Mam nie uregulowane sprawy z dowodem, zagubiony, nie ogłoszony w prasie, może on w tej sprawie, na komisariat zaciągnie, od razu rozboleł mnie kałdun, ale milicjant przeszedł obok naszej bramy, podążył gdzieś dalej. Uspokojony poszedłem do kawiarni dobrych wspomnień.

W kawiarni zmieniło się dużo. Remont. Kolorowe zasłony na oknach, bufet w innym miejscu i ludzie inni. Jedynie parę osób znajomych dostrzegłem. Młodzików rój, tacy wymuskani żigolacy pod styl włoski. Przy toalecie krzątał się Doktorek–Erotoman, ale z nim nie chciałem gadać. On niezmiennie tylko o dziwkach, tak z godzinę wyczekiwałem. Przyszedł znajomy waluciarz, gruby, nazywają go Policjantem. Przysiadł się chętnie, narzekał, wzdychał, dużo ostatnio stracił, wykiwali go w transakcji, stare kosztowności, bransoleta z XVI wieku, zegarki z okresu Napoleona, kamienie szlachetne, ale podłożyli mu parę falsyfikatów i dużo stracił. Spytałem o Czapę, ale Czapa już tu nie przychodzi. Garboleta umarł przed rokiem na wylew krwi do mózgu. Złożyliśmy się na wódkę, do wieczora popijałem z tym grubym handlarzem. Wyszliśmy wreszcie z tej kawiarni, takiej cmentarnej, zmienionej. Policjant ciągnął mnie do swoich znajomych, inteligencja, zachwalał, żadnego tałatajstwa tam, ginekolog, adwokaci, pogramy w pokera, tam też mała ruletka jest. Warto właściwie, ruletka to dobra zabawa. Stukot kostek, dym, dużo forsy przewala się po stołach i te gęby hazardową namiętnością wyszczerzone, najśmieszniejsze w tej pasji kobiety, przy ruletce one tracą swoją odrębność samiczą, ale nigdzie nie pójde, postanowiłem, nie, i szybko, oschle pożegnałem Policjanta. W łóżku zacząłem trzeźwieć, nie mogłem zasnąć. Ta kawiarnia okropna, nic się nie udało, Policjant okropny, niedobrze trzeźwieć w łóżku. Tak kolebałem się do przedranne j szarówki. I nauczony boleśnie wróciłem do „łagodnego kręgu życia”, spotkania z kumplami, dwie kobiety ostoje, nie ma jak sprawy pewne i uregulowane. Zespół ten mam znakomicie dobrany: a więc Chemik, facet wypruty zupełnie, chyba niegdyś nieźle skopany przez życie, ale teraz już z grubą skorupą, zazdroszczę mu, bo ja w stadium drgawek i błędzenia jeszcze, życie swoje uregulował precyzyjnie: robota, kurs angielskiego, dżudo, kino, dziwki bardzo rzadko i żadnych stałych, wódki nie pije w ogóle, wódka psuje mu regulację, i twarz ma taką obojętną, nieprzeniknioną. Następny kumpel to Bródka, żaloszny dipsoman, weteran pijackich udręk, twardy jak gładz albo pije do zatracenia, albo haruje, trzeźwe życie, jak mówi, urządza sobie, tyra po dziesięć godzin, kupuje ciuchy, meble, pościel, i tak upływa mu życie w tych dwóch ostrych nurtach, harówce i wódrze, oczywiście teraz już tylko z relacji dowiaduję się o jego pijaństwach; taki dreszczyk tylko z daleka teraz dla mnie możliwy do strawienia. Trzeci z mojego ścisłego grona jest naukowcem, tatarnikiem, pracuje w fizyce jądrowej, fanatyk tatarniczej pasji, kocha góry i cały rok sposobi się do letniego sezonu, gromadzi sprzęt, mapy, ćwiczy gimnastykę przyrządową, pływa, wszystko po to, żeby nie stracić kondycji na góry, tylko on zanadto męczący, taki bardzo harcerski i sportowy, cały wypełniony gówniarskimi dyrdymałkami w stylu; nauczyłem się przeciwieństwa i kłęski ze śmiechem znosić, życie jest twardą szkołą, konieczne są zasady, dają równowagę, zasady... Więc z nim spotykam się rzadziej.

Ale ogólnie rzecz biorąc, komplecik niezły, ci moi przyjaciele, można z tego schemat ułożyć. Pierwszy jako wzór, drugi łechce przypomnieniem przeszłości, daje obraz piekła, więc niejako zastępuje wiele spraw, a trzeci to pozorna tężyzna i siła, harcerska radość życia, też ważny, bo również rekompensacyjny element w tym trójkątnym schemacie. No i dwie moje kobiety, nie żadne modelki albo oryginalne urody. Po prostu sympatyczne, miłe, nawykłe już do mnie facetki, obeznane z moimi gierkami, pogodne, może trzymają się mnie, że niby jestem interesujący albo przystojniaczek, Bóg raczy wiedzieć, w każdym razie przytulnie mi z nimi. Jedna ma męża lekarza, zaharowany chłopina, trzy roboty, szpital, ubezpieczalnia i jeszcze coś, śmiech mnie bierze czasem, że dla tej żony lekarza jestem być może romanssem, egzotyką, wytchnieniem od szarzyzny życia z zaharowanym mężem, a głupek z niego nielichy, nie pozwala jej pracować, więc ja dla niej romans

i świeży strumień, ja z tą skłonnością do życia emeryta czy rencisty, dobre sobie, śmiać mi się chce z tej dziewczyny. Druga utrzymuje siuchtę erotyczną ze mną na starych zasadach, z przyzwyczajenia chyba, kiedyś między nami uczucie jak ogień, pamiętam pierwsze randki, niespokojne, gorączkowe wyczekiwania, szczebioty infantylne, słodycz sama płynęła z naszych ust, teraz jest to spokojna, rzeczowa znajomość, ona nawet dość oschła, małowówna, ale również oddana, dobra, bardzo jestem z niej zadowolony... Lecz nieraz, mimo tak znakomitego doboru – „łagodny krąg życia” też mi niezłe daje w kość, te powtarzające się spotkania, sprawy, gadki, nie dają już sobie rady. To wszystko jak błotnista maź, nuda zieje z każdego spotkania, masz wtedy dość tych swoich kumpli i przyjaciółek. W takim właśnie stanie spotkałem się z Chemikiem, on jak zwykle zaczął swym równym, pozbawionym żywszego akcentu głosem opowiadać o pracy, gazownictwo w hucie, odpowiedzialna funkcja, częste wypadki zatrucia, ludzie nie mają pojęcia o bhp, dziś na szkoleniu inżynierowie wykazali brak elementarnej wiedzy o sprawach gazowych, mam duże kłopoty, na mój łeb jako szefa stacji gazownictwa to wszystko spada, ciągle to pachnie prokuratorem, więc już robię się nadgorliwiec, sprawdzam do znużenia ciśnienie w kotłach, badam procent dwutlenku węgla w rurach, mówię ci, dość głupio się czuję i dziś tak jakoś wkurwiło mnie to gazownictwo, nie poszedłem sprawdzić, czytałem cały czas w kantorku opowiadania Czycza z „Twórczości”, dobry kawałek pisania, takie sprawy wszawie, takie życie bez elektryczności, faceci jak muchy na lepie w tym opowiadaniu, i wyobraź sobie, co chwila przerywały mi to czytanie telefony. Chyba wiosną rzucę tę robotę w cholere, już mam trochę na książeczce, pojedę do rybaków, tam się urządzę, może uda mi się wystarać o kartę rybacką...

I dalej już nie mogłem słuchać, a przecież fajnie mówił, trochę z zazdrości, trochę dlatego, że dać sobie rady wtedy z sobą nie mogłem, spojrzałem na zegarek, szybko pożegnałem się z nim.

I te moje zajęcia zarobkowe, żyć z czegoś przecież trzeba, też mnie często do rzygania doprowadzają, wszystko jakby rozsypuje się, w paskudną pustkę wpadam, choć właściwie powinienem być zadowolony, że robotę w miarę niezależną mam, pisuję kryminały, rozrywkowe historyjki, żeby trupów trochę, żeby napięcie, żeby nie wiadomo kto zabił, niezbyt męcząca to robota, a jednak w złych dniach i tego mam dość. Najśmieszniejsze to, że wtedy jak refren dręczy mnie sprawa z pielęgniarką uroczą. Mógłbym przecież z nią. Może ona pomogłaby mi, ale cóż, gnojek jestem, nawet zadzwonić do tej ładnej dziewczyny nie mogę i tylko, gdy o niej pomyślę, złym okiem na swoje dwie kobiety spoglądam. Ładniejsza pielęgniarka od nich, one takie szare, nudne, do końca znajome, bardzo złym okiem patrzę, ale jeszcze trochę, na szczęście, mam rozsądku, więc maskuję się przy swoich kobietach, robię dobrą twarz, jakiś dowcipas opowiem, przecież wiem doskonale, gdybym stracił te dwie kobiety, byłoby jeszcze gorzej... Ale w złych dniach lepiej w ogóle nie widzieć się z nimi, mogą jednak wyczuć mój nastrój, tę wszawiznę w środku, i najlepiej nie pokazywać się im.

Zaszywam się w swoim mieszkaniu, nastawiam radio na wielki hałas, gromadzę zapasik zup w kostkach, zgrzytam zębami, ale instynkt samozachowawczy zawsze powoduje mnie do pewnych mądrych poczynań, ten instynkt mówi mi, nie pal wszystkich mostów za sobą, wtedy dzwonię do bliskich ze swego kręgu, ukrywam swą wysiadkę z gry, że niby grypa mnie atakuje, łamie w kościach, kaszel, katar, tak dzwonię po kolei do wszystkich. Ostatnią jednak „chorobę” miałem nieudaną. Ta żona lekarza oświadczyła stanowczo, że odwiedzi mnie, wymawiałem się, nie ustępowała, więc skłamałem, że mam jeszcze wybrać się do lekarza, nie chciałem, żeby przyszła do mnie. Umówiliśmy się w kawiarni. Gdy przyszedłem do tego baru z włoskim ekspressem, ona już czekała, błada, paliła nerwowo papierosa, ledwo usiadłem przy niej, powiedziała szeptem, tak dalej być nie może, to jest okropne. Zauważyłem też, że ma zaczerwienione oczy, i zaczęło się tango, spociłem się z wrażenia, lekarzowi już wyznała wszystko. Tej szarzyzny, powiedziała lekarzowi, już mam dość, i nie chcę cię tak bez końca oszukiwać, może zbyt okrutne to wszystko, ale lepiej sprawę zakończyć. Też zapaliłem nerwowo papierosa, chyba rozumiesz, chwyciła mnie za rękę, i dowiedziałem się jeszcze, że zamieszkała u matki.

Można pomyśleć, nadarzyła się facetowi prawdziwa autentyczna sprawa, to przecież znakomicie zaspokaja męską próżność, nie, tak wcale nie pomyślałem, nie dla mnie te numery. Po prostu gęba mi się wyciągnęła, przestraszyłem się. Ten przestрах tak wyraźny, że żona lekarza puściła moją dłoń, odetchnąłem. Po paru dniach wróciła do męża, zadzwoniła komunikując mi tę wiadomość. Głupia historia, musiałem mieć ohydny gębę przy tej rozmowie, i żeby oderwać się od tych powikłań oznajmiłem wszystkim, że wyjeżdżam do Gdańska i wyłączyłem telefon. Zamknąłem się w mieszkaniu i sam wobec siebie udąłem, że jestem chory.

Ten sposób z chorobą niezły, czas poważnie skraca. Jest w tym duża szansa, można dłużej spać, grzebać się w barłogu, wertować gazety, nastawiać radio, łapać przeróżne stacje, studiować radiowy program, wykonywać różne bezsensowne czynności, wreszcie zaczyna się samemu wierzyć w chorobowe zagrożenie, stosuje się rygory kuracyjne, leki, to i owo, po kilku dniach takiej sztucznej choroby zaczynam tęsknić za tym swoim światkiem. Wychodzę z domu wewnętrznie odświeżony, rześki. Znowu motam wizytki i spotkania, z zainteresowaniem słucham opowieści Chemika o wypadkach w hucie, o tym kiepskim stanie bhp, z podobnym zaangażowaniem odczuwam metafizyczne pijaństwa mego przyjaciela dipsomana, wzrusza mnie ta jego życiowa harówka w dwóch cyklach, ten bezsens jego szarpaniny. Choroba to mnóstwo możliwości. A jak wyczekuję później na wizyty swoich przyjaciółek, tęsknię za nimi, same takie słowa chodzą mi po głowie, niezastąpione, nieocenione, jedyne, nazywam je wtedy symbolami kobiecości życiodajnej, szykuję się na randki starannie, oglądam swą mordę, czeszę włosy i przyodziewam się lepiej. Wszystko to jednak nie znaczy, żeby okres sztucznej choroby dawał mi pełnię szczęśliwości. Ten wieczny kat z i po chorobie wyłazi, choćby tak dla przykładu, w tym dobrym nastroju rozmawiam z przyjacielem, cieszę się, interesują mnie jego sprawy, jednak po pewnym czasie niechęć mnie ogarnia, gadać już mi się nie chce, nie bardzo też słucham, coś w środku nagle się popsuło. Jedna wielka nuda to wszystko, myślę, uciekam cichutko, wracam do swego mieszkania, z pasją wściekłą wbijam zapaliki w pokurzone od wilgoci papierosy... Reasumując trzeba jednak przyznać, że choroba stawia mnie na nogi, finansowo też wzmacnia, przecież nieraz podczas tych drzemek chorobowych przyjdzie do głowy jakiś pomysł, fabułka jakaś zmyślona do kryminału, później przez pewien czas mam zajęcie, spisuję tę fabułę. Ostatnio nawet z tej żony lekarza skorzystałem, skojarzyłem ją w takiej drzemce–rozmyślaniu z kumpłem Chemikiem, po prostu skorzystałem z tej rozmowy z nią w kawowym barze, kiedy powiedziała, że od męża uciekła, więc w fabułce pozwoliłem jej uciec, zamieszkała ze mną, w jej mężu burze namiętności, no i kiedyś do mnie już ona nie wróciła, znaleziono ją w lasu bielańskim zamordowaną. Gruba to fabułka, chamska, tyle że proces dochodzenia do mordercy dość zgrabnie zamotałem, a mordercą zrobiłem Chemika, wygląd i pewne cechy osobowości z niego wzięłem. Ta fabułka nieźle mi wyszła, zarobiłem na tym. Potrzebna mi bardzo forsa, większa forsa. Dzięki niej ożywił mnie bardzo pomysł z wyjazdem. Wyjazd, świetna forma nabrania sił do dalszego grzebania się w tym moim błotku. Jeżdżę czasem nad morze, mam tam stałą metę, Rybacka osada przy granicy. Pustkowie, lasy, cała osada to dziesięć chałup. Zaraz morze, pusta, rozległa plaża, rybacy bardzo fajni, zbieranina z całej Polski, życiowe trampy. Uciekli w ten odludny rewir, bo znudził im się szum, wrzask życia w zbiorowisku. Łowią ryby, trochę popijają, nic ich nie obchodzi, gazet nawet nie czytają. Pisuję do kilku rybaków listy, wysyłam książki, po prostu staram się mieć kontakt z tą osadą, i tak sobie pomyślałem, że taka osada na odludziu to lepsze niż „sztuczna choroba”. W ogóle od dawna krąży mi po głowie takie marzenie: osiedlić się tam na stałe. Jedna chata pusta, w tej chacie z dziurawym dachem mieszkał pół roku mój kumpel Chemik, więc zadekować się tam. Wziąć się za jakąś robotę, choćby rybaczyć, ale rybaczyć, rozważałem, nie takie proste. Do tego dużo więcej forsy trzeba na sprzęt, no i zdrowie dobre, a ze zdrowiem u mnie nie najlepiej. Ostatnio jestem cherlakowaty. Ciekawe, odkąd przestałem ostro, łapczywie żyć, to i zdrowie się popsuło. Więc z rybaczką wysiadka, ale są inne możliwości. Chęć wyjazdu do nadmorskiej osady drażyła mnie uparcie. Mieszkać w tej chacie z dziurawym dachem. Chata na wzgórzu, wokół las, widok stąd doskonały, morze ruchliwe w różnych kolorach, szum głuchy całą noc słyhać, z drugiej strony martwa bura woda zalewu, jak nie z rybactwa, to jeszcze

można się utrzymać z roboty w lesie. Robić przecinki w gąszczu, chrust zbierać i umacniać wydmy, a też te kryminałki w chwilach wolnych kleić. Zapał mój podsycił Chemik, tam w nadmorskiej osadzie właśnie jego poznałem. Siedział tam zarośnięty, w łachmanach, żył z lasu, ryb, oczy błyszczały mu silnie (teraz martwe, bez połysku), jednak musiał wyjechać stamtąd, umarł mu ojciec. No i ugrzązł w miejskim życiu. Robota w hucie, angielski i cała gama tych jego czynności dzień wypełniających, ale on chce do nadmorskiej osady wrócić; na pewno tam wróci i ja też często w rozmyślaniach niespokojnych do tej osady na stałe już przyjeżdżam. Wojskowy gazik hamuje ostro, żółte wydmy, sieci rozwieszane na palikach, łódzie kołyszą się przy zmurszałym pomoście, śmierdzi rybami, kręci się paru facetów w flanelowych koszulach i gumiakach, zalew porosły trzcina jak wielka łąka, wyskakuję z samochodu, wyrzucam manatki, do rybaków krzyczę, zostaję tutaj, i odbijam litra; już tak kilka razy przyjeżdżałem na stałe do swego azylu.

Zazdroszczę tutejszym ludziom tej wysepki od wszystkiego oddalonej, zresztą oni też przecież azyl swój tu mają, zmęczeni faceci, poharatani, wypaleni, wybrali tę wodną robotę, fajniejszą niż inne, spokojną i niezależną, emeryturkę swego rodzaju sobie zorganizowali.

Choćby ten Mały Heniek, przecież nie prostak, facet z bagażem nielichym i rozeznanem w życiu wszechstronnym, przed wojną w szkole baletowej, później zwiął z domu, przez trzy lata wędrował po świecie. Kawał Europy przeszedł, we wrześniu w wojsku był, dostał się do niemieckiej niewoli, tam nauczył się rybackiego rzemiosła, po wojnie został rybakom dalekomorskim, miał kobiety w różnych portach, nawet jedną Mulatką w Hawrze, i nagle odechciało mu się tego życia bujnego, rzucił wszystko, osiadł w małej, zagubionej osadzie. Nic mu właściwie już nie trzeba; łowi ryby, zimą szyje sieci, bardzo lubi przy sieciach, suchym żarciem żyje, niekiedy wybiera się z innymi rybakami do Fromborka, tam jest kilka kobiet wesołych i chętnych, ale rzadko jeździ, wyjazdów tych w ogóle nie wspomina, po prostu męska potrzeba i nic więcej. A najchętniej w wolnych chwilach czyta książki, przeważnie biografie o takich samotnikach nie pogodzonych z życiem, takich, którzy fartu w życiu nie mieli, ale nie złamali się i dumnie przy swoim obstawali. Więc czyta o pułkowniku Lawrence, włóczącym się w burnusie, montującym rewoltę wśród Arabów, zachwyca się życiem Poego, szanuje Van Gogha, męczennika żółtego słońca. Te książki ulubione czyta wielokroć, siedzi przy oknie na skrzynce od ryb, czapkę zsuwa z czoła, pali łąpczywie papierosy. Mały Heniek, facet muskularny, ogorzały, o bardzo wąskich, ponurych oczach, przerywa czytanie, spogląda na morze, uśmiecha się zaciskając wargi, mieszka sam w domku o kilometr od tej osady oddalonym. Kupił sobie tej zimy radio na baterijki i właściwie jest najbardziej zadowolony, gdy sezon rybacki rozpoczyna się, gdy trzeba nocą jeździć na splaw łososia do ujścia Wisły, gdy trzeba harować godzinami na groźnym, z lodowatym

powiewem Bałtyku. Najlepiej mi na wodzie, powtarza Mały Heniek, niby w chałupie przy sieciach też nieźle, ale na wodzie, znów uśmiecha się zaciskając szczelnie usta...

Kiedyś zapraszałem Małego Heńka do Warszawy, przecież to jego miasto rodzinne, ale on parsknął zdziwionym śmiechem, tam, powiedział po długiej chwili, a po co...

Nie mogę uwolnić się od tej nadmorskiej osady schowanej w lasach, z dwóch stron oblanej wielkimi wodami; pamiętam doskonale, jak po raz pierwszy zobaczyłem to чудо. Gazik gnał jak oszalały. Pijany szoferek uśmiechał się do mnie zwycięsko. Walilem zadkiem o kanciasty pręt. Jechaliśmy piaszczystą drogą wśród niskich choin, z leśnych przesiek widać morze i zalew, piękne w słońcu wody. Wjechaliśmy na polanę. Dziesięć domków z czerwonymi dachami, przylepionych do wydm. Chata Małego Heńka niewidoczna stąd, ukryta w dębinie za osadą. Trzy łódzie przy pomoście, sieci niedawno z połowu, bo ociekające wodą, sztywne i napięte. Cisza tutaj jak sieci napięta. Popatrzyłem oszołomiony, pijany szofer też zacichł nagle, kilku rybaków skulonych przy czarnym, dymiącym kotle ze smołą. Z pierwszego domku wyszedł facet w siatkowej koszulce, porośnięty śmieszными kępami kłaków na policzkach, biały pies wyprysnął za nim, doskoczył do samochodu, rozszczękał się zajadle, pierwszy głos w tej ciszy szokującej, to jego szczekanie. Patrzyłem na faceta w siatkowej koszulce ze wzruszeniem. Fajny, myślałem, taki samotnik, mocny, z otwartą twarzą. To pierwsze wrażenie o nim fałszywe, okazał się fujarą największą w tej osadzie,

tchórz i plotkarz, morza się bał, jak tylko mocniej zaczynało kołysać, to zaraz robił w portki, ale wtedy był on dla mnie herosem jakimś legendarnym. Pies przestał szczekać. Cholernie wyraziście pamiętam ten pierwszy dzień. Chciwe zapatrzenie było wtedy w moich oczach na tę osadę w piachach i choinach. Zalew gładki jak skóra, daleko czarne łodzie z wysokimi masztami, czarne jak wiedzmy i nieruchome. To barkasy, wyjaśnił facet w siatkowej koszulce, ony na włók ciągną rybę. Ruszyłem się wreszcie. Wlazałem na wydmnę obok przystani, z tej wydmy zobaczyłem morze... Dużo myślę o nadmorskiej osadzie i bez żadnego picu – nieraz już w tym myśleniu na stałe osiedliłem się tam, pracowałem w lesie, pomagałem rybakom czyścić sieci, ale co z tego wyjdzie, nic, brak mi siły, boję się każdej zmiany, po szyję w takiej grząskiej mazi jestem, i nigdzie ruszyć się nie mogę. Dziś znów przeszedł przed moim oknem milicjant, służbowo, z paskiem pod brodą, znów strach skoczył mi do gardła, ta sprawa z dowodem, nie zameldowałem, mogą się przyczepić. Patrzyłem zza firanki, na szczęście poszedł dalej. To chyba ten sam co przed miesiącem, kaczkowaty chód i gęba żółta, wielka.

Później myślałem o kumplu Chemiku, jednak z niego jest duży kozak, lepszy w grze ode mnie, lepiej zorganizował swoje życiowe sprawy, mocniejszą sobie zrobił skorupę, przecież też ciężko mu wytrzymać, ale ciągle spokojny, obojętny, duży kozak z niego, forszę składa, wyjazd wiosną planuje, kartę rybacką sobie wyrobi. Tak, ten jego spokój kamienny jest nie

zwykły. Twarz pomarszczona, bez żadnej ruchliwości – świetnie harmonizuje z jego głosem cichym, nudnawym, ta skorupa u niego doskonała. Leżał w szpitalu, chyba wrzód w żołądku, ale dokładnie nie wiem, bo on nigdy nie mówi o swoich dolegliwościach, bolało go ostro, pielęgniarka mówiła, że ciężki stan, poszedłem do niego, a on taki jak zawsze, spokojny, bezbarwny, tylko zmarszczki mu się pogłębiły i palce lekko na kołdrze zaciskał, bóle mijały czasem, wtedy rozwiązywał krzyżówki, obok niego leżał dogorywający nerkowiec, wył i rzygał, tak koszmarnie umierał, trzy dni, Chemik spoglądał na niego zimnym, skupionym wzrokiem, tak jakby się zastanawiał, przemyślał oczy, otwierał i znów zabierał się do krzyżówek i ilustrowanych tygodników, ten facet na dogorywku wstrząsający, ale Chemik twardy i ani wrzód w żołądzu, ani też bóle paskudne, ani ten półtrup obok – nic nie burzyło mu tego spokoju nie zmaconego, powiedział mi wtedy w chorobie, że umie już sobie dni tak organizować ciasno, i sprawnie, że ani szczelinki nigdzie nie zostawi, i umie też odseparować się od spraw niebezpiecznych, zakłócających spokój, tylko z nocą gorzej, mówił, w nocy jakoś inaczej, bardziej chaotycznie, noc się wymyka spod kontroli – uśmiechnął się nijako. Do kobiet też Chemik specjalnie się odnosi, jakby chroniąc się przed ich zaborczością i urodą. Dziwkami wszystkie baby nazywa. Chyba dużo mu w życiu popsuky, bo tak to słowo dziwka wypowiada zimnym, nieubłaganym głosem i wzrusza ramionami, w ogóle unika kobiet. Tam w nadmorskiej osadzie zadurzyła się w nim ładna dziewczyna, studentka architektury. Włóczyła się za nim jak cień, gały robiła do niego poddańcze, Chemik coraz bardziej zaniepokojony, nerwowy, wymykał się jej, upijał się nawet, a przecież wody nie znosi, ona nie ustępowała i musiał wreszcie wziąć ją do swojej budy na wydmach, przespali się, Chemik o świcie wymknął się cichaczem, puknął do mego okna, mieszkałem wtedy u Małego Heńka, wyjeżdżam, powiedział, trafia mi się okazja, wopiści jadą po prowiant, skłamał, bo wopiści wcale po prowiant nie jechali, tylko dał stówkę szoferakowi, żeby go do Krynicy Morskiej zawiózł, wróć tu za miesiąc, powiedział, jak siksy już nie będzie, potarł zarośnięte policzki, brodę miał katorżniczą, i odszedł.

Myślę, że bał się on tej dziewczyny, bał się siebie, bał się trwalszego konszachtu z nią, i miał rację, w to jego życie uregulowane, obojętne, wdarłaby się siła niszczycielska, zapaskudziłaby wszystko, a on nie chciał żadnych zakłóceń, doskonale go rozumiem. I u mnie coś podobnego. Przecież kurczowo trzymam się dwóch swoich przyjaciółek, nie chcę nic nowego, chyba że przytrafi się baba nietypowa, to znaczy, jeśli sprawa nastąpi od razu, bez żadnej ozdobności, tokowania, bez tej całej pańszczyzny, wtedy zgodzę się chętnie, ale która z powabniejszych kobiet zgodzi się na taki negliż, chyba że po wódzie dużej, ale upijać babę też robota, zresztą ostatnio w ogóle wódki nie piję. Uważam więc, że mój kumpel Chemik tę sprawę rozstrzygnął znakomicie. Natomiast naukowiec-taternik jak dzieciak w tej dziedzinie, tak śmiesznie ze swoimi kompleksami walczy, ko-

bieta to dla niego sprawa bolesna i niepokojąca, jego twarz rudego Mefista, dziwnie w nerwowych tikach pokurczona, powoduje w nim niepewność, nie wierzy w swoje możliwości, ukrywa jednak tę zadrę harcerskim sposobem, gada, wiesz, poznałem przystojną babeczkę, ale strasznie znudziła mi się, zresztą żenić się chce ze mną, przysłała mi dziewczynina kartki, listy, błaga, więc przyjechałem pocieszyć dziewczyninę. To wszystko oczywiste kłamstwo. Sam zabiega o względy kobiet, sam liściska miłosne do nich wypisuje, kiedyś przypadkiem taki list mu wyciągnąłem, do Ani pisał, cóż to za list, jak zabiegał w tym liście o względy Ani, takie słodkie ciu–ciu wypisał, jęczał też i skamlał w tym liście, dlaczego Ania nie chce z nim się spotykać i tak dalej. Bardzo mu z babami nie wychodzi, a przecież ta jego twarz brzydka nawet interesująca, taka diaboliczna, a przy tym zdolny naukowiec, z perspektywami na karierę, nieźle zarabia, ale babki, które już, już nabrały apetytu na niego, zrażają się wkrótce, za drętwo gada, więc za dudka nadętego i nudnego kobiety go uważają, bo on nieustannie niby to stylem pożeracza serc operuje, ale najgorsze jest to, że on jak motorek bez przerwy swymi sukcesami sercowymi również wobec mnie się popisuje. Żalony to widok, miotający się, nudny facet, tak słabo mu wychodzi to udawanie, taki na jego twarzy niepokój, nie do zniesienia, żalony widok...

Wkrótce nadarzyła mi się okazja pewnych rozrywek, dość sensacyjna dla mnie zabawa, nastąpiło to z powodu moich starych koneksji z odległych już lat, kiedy jako szczeniak babrałem się w aferach mętnych i tajemniczych, –to była moja romantyka, jak hartowała się stal, można powiedzieć, i nic nie mąciło mej pełni wtedy. Jedno w tym ładne, że dość mężnie znosiłem konsekwencje tego wybranego życia. No, ale tamto życie skończyło się, przyszła owa flakowatość mój stan obecny cechująca, i pozostało tylko trochę starych znajomości, właśnie na podstawie tych powiązań wezwano mnie do Miejskiej Komendy.

Domyśliłem się też, z jakiego konkretnego powodu to wezwanie. Otóż niedawno w próbie powrotu do autentycznego życia, jeszcze jeden Podryg, znalazłem się w mieszkaniu aferzystów, właśnie starych znajomych...

Ta moja wizyta u nich to był bardzo żalony podryg, to wszystko jak cmentarz po latach, nuda, i trzeba tylko gębą nadrabiać, żeby wytrzymać, ci moi znajomi teraz w spółdzielni pracują i ta robota, nic już z romantyki dawnych afer i kombinacji, na tym polega, że faktury, nie bardzo w tym kapuję, na mniej się wystawia, a więcej przywozi i różnica to czysty zysk, oni zajmują się obecnie skórą zamszową, jeżdżą do Radomia, bardzo dobrze interes prosperuje, dobrze im się powodzi, ostrożnie działają, dużo w tym działaniu buchalterii i papierków. Wszawo mi w tym mieszkaniu było, i ci moi znajomi zmienili się bardzo, tłustawi, starannie ubrani i cały czas mowa o forsie, ulokowałem w świnkach, a to placyk kupiłem, a to futerko żonie, i na palcach im błyszcząły sygnety, i godni tacy, rodzinni, oszczędni, nic dziwnego, pocieszałem się, w całej Polsce stabilizacja, i oni też...

Ucieszyłem się z wezwania, trochę napięcia, zabawię się. Wyobraziłem sobie całą rozmowę ze śledczymi, ich podchwytliwe pytanko, moją świetną szermierkę słowem. Pojechałem do Komendy. Zadzwoiłem z wartowni, wkrótce miałem przepustkę i poszedłem labiryntem korytarzy do pokoju nr 20. W tym labiryncie nieswojo trochę się poczułem. Mroczne, na stalowo jak mundur milicyjny malowane korytarze, okna z grubą kratą, biegali cywile z papierowymi teczkami, schodami z piętra prowadzono dwóch aresztantów, zwolniłem kroku, przycupnąłem w kącie przy toalecie, przecze-kałem, aż przeszli aresztanci, ruszyłem gwałtownie korytarzem, starałem się nie unosić głowy, gdyż peszyły mnie ostre, obślizgujące spojrzenia cywilów, wszyscy ci cywile w zielonych wojskowych koszulach, też dziwnie jakoś wzmacniało to całą atmosferę.

W pokoju nr 20 dwaj porucznicy, ten z baczkami zajmował się sprawą zamszowej skóry. Obaj przypatrywali mi się badawczo, usiadłem przy biurku, dłonie mi zwilgotniały, rozcierałem kolana. Ci porucznicy porozumieli się spojrzeniami, wydało mi się, że ten z tyłu widzi moje kurczące się na kolanach palce, już wtedy wiedziałem, że trudno będzie w tej atmosferze intensywnej, ciężkiej wytrzymać. Postanowiłem zagrać rolę rozartagnionego intelektualisty, mola książkowego. Znalazłem się w tym mieszkaniu przypadkowo, układałem wyjaśnienie, znałem kogoś, przypadkowe

spotkanie z tym kimś i tak znalazłem się w tym podejrzanym mieszkaniu. Zacząłem mówić, używałem obcych słów, par excellence powtarzałem. Zmieniłem trochę pierwotny pomysł, że niby nieznajomy, na ulicy poznany facet zainteresował mnie jako mętne indywiduum, lubię takie znajomości, głupawy uśmiech na mojej twarzy, choćby z powodu mojej profesji, nieco „pisanie się zajmuję, sensacyjnym raczej gatunkiem pisarstwa. Znów sztuczny, napinający szczęki uśmiech, zamąciłem dalsze swoje wyjaśnienia egzaltacją, podrygiwałem nerwowo nogami, egzotyka życia, fascynacja, ludzkie namiętności, posępne sprawy sumień, brechtałem jak katarynka, porucznicy rozbawieni, nie zapisano tych moich bredni, ten drugi porucznik z rozbawieniem poklepał się po brzuchu, a pointa mego gadulstwa, nic ciekawego w tym mieszkaniu nie było, rozczarowałem się, szarzy ludzie, branża jakaś spółdzielcza, skończyłem wyczerpany. Ta rozmowa jednak wydusiła mnie, napięty wewnątrz, łydki bolały, przez cały czas narastało parszywe uczucie, nie wyjdiesz stąd, nie, dłonie całe mokre, skąd u licha to uczucie, zagrożenia chyba.

Uniosłem gwałtownie głowę, nosowy głos porucznika z baczkami tak mnie poderwał jak psa. Porucznik mówił, że to melina handlarzy zamszową skórą, że tam przywieźli towar w tych dniach, że rewizja jednak nic nie wykryła, że to złodziejska zgraja zadekowana w spółdzielni wyrobów skórzanych, dziwiłem się sztucznie, melina, powtórzyłem, nigdy bym nie przypuszczał, ale nic nie widziałem, nic, nic, powtórzyłem kilka razy, bardzo się przestraszyłem, poczerwieniałem też chyba, drugi porucznik, ten z tyłu, zapytał mnie, czy przypominam sobie tam w mieszkaniu Włosika, faceta grubego ze szramą siną na łysinie. Wtedy właśnie po tym pytaniu drugiego porucznika narodziła we mnie nagła chęć kapusiosstwa przedziwnego, powiedzieć, że widziałem trefny towar i skórę zamszową w stosach, powiedzieć, że forsą się dzielili, podpisać wszystko. Sam osłupiałem pod wpływem tej chęci. Skąd, przecież nic nie widziałem, ani skóry, ani forsę, naprawdę nic, ale chęć wcale nie ustępowała. Z wielkim wysiłkiem zdusiłem to wylażące ze mnie kapusiosstwo. Chyba z tej atmosfery tutaj, gęstej, niedobrej ta podłość we mnie, i cały czas odtąd musiałem dusić w sobie nieustającą ochotę do zmyślnego kapusiosstwa, pod każdym moim słowem ta ochota. Ten drugi porucznik miał ciasno sklezione wargi, kose spojrzenie, i co chwila powtarzał zagadkowo, no cóż, no cóż, to jeszcze bardziej płoszyło mnie, no cóż – uderzało z tyłu w mój skołowany łeb, wyjść stąd, marzyłem żarliwie.

No i przyszła ulga, porucznicy schowali teczki ze śledczymi materiałami, rozgadali się teraz towarzysko, o pracy swojej opowiadali, ile nerwów, samozaparcia i oddania trzeba, jaką plagą są teraz kombinacje w spółdzielczości, w tym towarzyskim gadaniu trochę odprężyłem się, pomyślałem o moich znajomkach, kiedyś aferzystach i awanturnikach, a teraz w kręgu tych faktur, rachunków, przelewów i kwitów, cała misterna sieć papierków szachrajskich, te ich łapy grube, silne w stosach tych papierków cieniutkich...

Wyszedłem wreszcie z Komendy, zaciągnąłem się łąpczywie ulicznym, pełnym kurzu powietrzem, cieszyły mnie ławki na skwerze, pomyślałem tkliwie o dzieciach, piękny samochód–krążownik zobaczyłem, i uśmiechnąłem się zalotnie do dupiastej, tępej dziewczuchy, która rozdziawiła szeroko usta.

Później, gdy już na dobre odetchnąłem, wyśmiewałem tę swoją słabość, ale prawdę mówiąc, niechętnie wspominam wizytę w Komendzie. Głupio mi się robi, jak gęby tych poruczników przypominę, te stalowe ściany, ci aresztanci wyszarzali, dłużej w takiej Komendzie, a rozwaliłbym się klepka po klepce...

I wstyd na długo pozostał piekący. Ta rozmowa z porucznikami, to kapusiosstwo rosnące we mnie, ze strachu, fajdającego mą godność, to potencjalne kapusiosstwo. Słaba ta moja skorupa, wiele spraw nie wychodzi mi w ogóle, albo ta ucieczka z roboty, z tego skupu warzywniczo–owocowego, to była świetna szansa, wyjazdy, ciągle nowi ludzie, wioski podwarszawskie, gospody, towarowe kombinacje, pachniało to wszystko dużą intensywnością, ale przecież uciekłem. I wtedy też, jak po przesłuchaniu w Komendzie, dopiero na ulicy dobrze się poczułem, a wieczorem żałowałem, cały wieczór jeszcze potem kilka razy wyobrażałem sobie pracę w warzywnictwie. O świącie wychodzę, jestem w fufajce, bo ranki chłodne, pakuję się do szoferki, witam się z konwojen-

tem, pędzimy w mroku, ładujemy towar, nowalijki, pierwsze rzodkiewki, truskawki, kombinujemy z chłopkami, na przybicie interesu wypijamy wódkę w gospodzie, chytre chłopki smarkają w paluchy i narzekają, to ich sposób, wiecznie jęczą, a latoś słabo było, może w tym roku, ale też niewiadomą forszę liczą powoli, dokładnie, wracamy do bazy, zdajemy towar, magazynier mruży porozumiewawczo oko, jemu też odpalamy dolę, w biurze spotykamy się z koleśkami, wrażenia, ile trafunku, ile wody, podszczypujemy pannę Stasię z sekretariatu, ona zadowolona, może nawet wpadłem jej w oko, umawiam się do kina, przed kinem podlewam ją winem i likierami, a w kinie macanka, i znów o świcie wio, na chamy. Piekliłem się przy tym, taka okazja stracona. I wszędzie, przy każdym kroku towarzyszy mi ta pokretna dwoistość, to jest takie świństwo, które spieprzy każdą okazję, i wobec siebie również czuję się oszustem, tchórzliwym, pokielbaszonym oszustem.

No, bo choćby ta fikcja, że kocham proste życie, prostych ludzi, ich sprawy, marzenia, powtarzam to sobie często. A to jest bluff! Wybrałem się na imieniny do znajomych kolejarzy.

To bardzo przyjemni ludzie, torowy Kudra i jego rodzina. Goście już siedzieli przy suto zastawionym stole, był też zwierzchnik torowego, inżynier, godny, czyściutki. Posadzono mnie obok niego. Żarłem, piłem, interesowałem się kolejarzskimi sprawami, a to tory, a to podkłady, przeładunki, rozdzielnie i sygnały, a to ten pod tamtym dołki kopie, najstarszy kolejarz opowiadał, jak to za cara było na Dworcu Kolei Warszawsko–Wiedeńskiej, torowy Kudra był dawniej pomocnikiem maszynisty, ten maszynista zawsze pijany i jak prowadził lokomotywę, po trzeźwemu dużo gorzej, ciekawe to wszystko, jednak czułem się źle, obco. Tacy krzepcy, otwarci ludzie, i ja z tym swoim bagażem, coraz gorzej, torowy Kadra klepał mnie po ramieniu, śmiałem się fałszywie, inżynier poziewywał ostentacyjnie, kolejarze mu pochlebiali, Kudrowa najlepsze kąski podsuwała. Goście zaczęli ciąć w tysiąca, inżynier nachylił się do mnie, szeptał, cóż za prymityw, nieprawda, tylko w tysiąca umieją grać, pan pewnie w brydżyka, ale odciąłem się od spójni z nim, zmierzyłem go pogardliwym spojrzeniem, inżynier zmieszał się, upuścił widelec, Kudrowa podniosła usłudnie, przyłączyłem się do kolejarzy grających w tysiąca! Zacząłem udawać wielkie zainteresowanie, wykrzykiwałem, po parze, mój mus, po czerwieniach, melduję parę dzwońców, uśmiechałem się do córki Kudrów, brzydkiej, kaczkonosiej dziewczyny. Inżynier patrzył na mnie z zainteresowaniem. Czułem się jak małpa, coraz gorzej... Po tych imieninach kolejarze uznali, że równy, swój chłop jestem, inżyniera natomiast obgadano dokładnie, on wyżej sra, niż dupę ma, powiedział torowy Kudra, a ja pamiętam, wyszedłem z tych imienin zupełnie skołowany tym małpim udawaniem równiactwa, tym napięciem wielogodzinnym, nienawidziłem wtedy torowego Kudry z ospowata, szczerą gębą i barami jak skrzynie, plułem na tych wszystkich kolejarzy palących papierosy w drewnianych lufkach, dzwonił mi w uszach ich donośny śmiech. Zupełnie byłem skołatany.

Gdy wracałem do domu, idąc coraz szybciej jakby od tego można uciec, przypomniały mi się częste ranki, gdy boję się ludzi, gdy wydaje mi się, że wszyscy świdrują mnie nachalnym spojrzeniem, jestem wtedy przerażony, gębę robię obronną, wyzywającą, zaciskam wargi, potracam wszystkich, a w środku wibracja rosnąca, stan niemożliwej ddo zniesienia trzęsionki, trzęsionka rośnie, gęba nie wytrzymuje ciśnienia, i nagle trach, zapaść, już i na zewnątrz nie dają rady, robię się obwisły, sflaczały, pryskam wtedy jak zając do domu, goni mnie ze wszystkich stron śmiech, pocę się, prędzej, to jest stan zupełnego osaczenia.

Z rojem tych przypomnień, jak muchy je odganiając, zaszedłem do starego krawca. Przykuloony przy „Singerze”, całą izbę wypełniał suchy terkot, podłoga zasłana ścinkami, przyciskał pedały. Nić ścięgu wskakiwała jak żywa na materiał. Przywitał się ze mną z roztargnieniem, nie odrywał oczu od roboty, pomarszczony, z wysuniętym językiem, siwy chart, naprawdę chart z niego na robotę, po dziesięć i więcej godzin, i nie żeby chciwy na forszę, po prostu przy robocie mu najlepiej, czasem uśmiecha się, pokazuje różowe jak noworodek dziąsła, tak od kilkudziesięciu lat przy swojej robocie, umarła mu żona, dzieci poszły w świat, a on ciągle nad portkami, spodniarz jego specjalność, tyle już mody różnej, mówi, spodnianej przewaliło się, bez mankietów, jak rurki, szesrokie z mankietami, marynarskim sposobem u dołu rozszerzone i co tam jeszcze, przestaje mówić, wysuwa język, pedałuje zapamiętałe. Usiadłem obok niego, poczęstował mnie papierosem, zagapił

się w okno, wiosna idzie, mruknał, szturchnął mnie w bok z dobrotliwym uśmiechem, co ci tak uszy obwisły, powiedział, i znów zajął się robotą.

Lubię przychodzić do niego, siedzę, wsłuchuję się w terkot, oglądam gacie, podnoszę ścinki, uspokajam się przy tym jego harowaniu zajadłym. Terkot ustał, podniosłem głowę, stary krawiec gapił się w okno, idzie wiosna, powtórzył. Brata wspomina, pomyślałem od razu, bo stary krawiec, choć całe życie nosa z domu nie wychylił, a jak go gnało coś, to mocniej naciskał pedał maszyny, i dusił zawsze w sobie wszystkie niespokojne pragnienia, bo dawno temu już rozpatrzył się w życiu, wyczuł życie, jak powiada, i uznał, że świat jest niebezpieczny i nie warto nic nieznanego zaczynać, bo wciągnie toto i utopi człowieka, więc nigdzie nosa nie wychylił ze swojej krawieckiej twierdzy, tak mu życie przeleciało i tylko wiosną często przez okno wygląda, na ten świat niebezpieczny zerka, i brata wspomina, jego życie inne, dziwne, wiem na pewno, że to brata życie wiosną mu w głowie. Jego brat z domu uciekł, został włóczęgą, po świecie się obijał, nie powrócił już nigdy do krawieckiego fachu, garb tylko z tego, mówił brat, byle jak żył, obdarty, chudy, ale zadowolony, gnało go po świecie, tak do końca, gruźlica go zżarła, i stary krawiec zna od brata włóczęgowskie pieśni i gadki, po wódce śpiewał mi nieraz i myślę, że w tym życiu pracowitym pomaga mu brat nieboszczyk. Krawiec przechowuje w pamięci jego życie, a może też chodzi w swych marzeniach z bratem po drogach, śpi w szopach, gwizdże na wszystko i handluje tak jak brat świecidełkami na odpustach...

Pukanie. Przyszli dwaj klienci. Wyszedłem. Byłem uspokoiony. Wolno doszedłem do sodowiarni. Przy schodkach klócił się gruby facet z kobitą, wrzask szybki, nieskładny, zaraz poszli ceplastą drogą przyskakując i odskakując od siebie, jak kukielki.

Fajny stary, pomyślałem o krawcu. Przywitałem się z Antkiem Elektrykiem, był lekko pijany, wracał z prywatnej partaniny, zarobił nieźle, reperował przewód elektryczny u profesora, profesor postawił lepszą wódkę, wypilem z Elektrykiem piwo, wróciłem do domu w niezłym nastroju. Po tych odwiedzinach u krawca postanowiłem wyjechać do Odrzykoni.

Dostałem stamtąd kartkę z pozdrowieniami. We wsi Odrzykonia koło Grójca mieszka mój kolega Robek z pierwszej roboty. Prawie rok razem pracowaliśmy w „Locie” na Okęciu, wtedy przyjaźniliśmy się, dwa lata temu Robek poznał badylarską córkę, przestaliśmy się widywać. Dowiedziałem się tylko, że ożenił się z nią i wyjechał do Odrzykoni. Ta kartka w sam raz. Uczepiłem się od razu Odrzykoni. Koniecznie wyjechać. Przypominałem szczegółowo całą przyjaźń z Robkiem, chyba w dobrych stosunkach byliśmy do końca. Zwierzał mi się z wszystkiego. Więc tylko do Odrzykoni, bo jechać do nadmorskiej osady to za bardzo wczasowo, za bardzo ekstra, zresztą tam nie dam rady wysiedzieć ani do rybackiej roboty się nie nadaję, pozostały wyłącznie Odrzykonia. Robek mówił, że gospodarstwo tam duże, ogrodnictwo, najbardziej nastawieni na pomidory i cebulę, inspekty też są, ludzi do roboty potrzeba, a z najemnikami teraz kłopot. Pasuje to akurat.

Szybko wyjechać. Znam swoje skłonności, i jeśli zacznę sprawę rozważać, to nigdzie nie wyjadę, wylizą te moje chyboty i wahania i znów będzie to samo. A bardzo chciałem wyjechać. Przebrałem bety, co gorsze wybrałem, załadowałem do starej walizki, i za trzy dni wczesnym rankiem znalazłem się na Dworcu PKS przy ulicy Opaczewskiej. Tu na dworcu trochę poczęło psuć mi szyki zwątpienie, cisnęły się zgubne pytania, po co, a na co, ale przemogłem się, kupiłem bilet i wlałem do autobusu.

Autobus wyładowany podwarszawskim chłopstwem, smrodek szmat od mleka i serów, wlepiłem oczy w okno, skończyła się miejska zabudowa, starałem się nie myśleć o niczym, już pola, coraz częściej sady i szklane kwadraty inspektów, zaczęła się ta bogata badylarska okolica.

W polu, rozważałem, można przy pielieniu, zasiewach, przy tych różnych zbiorach cebuli, pomidorów, kapusty, dołowanie warzyw, wywózka, więc nieźle możliwości, umęczone się, czas zlatuje w takiej fizycznej robocie ładnie i gładko. Poczuję się pewniej, bezpieczniej, ubrany też byłem na ten wyjazd specjalnie, spodnie obszarpane, marynarka welwetowa i czapa typu burdelówka (szywna, z samodziału), z wyglądu byłem taki parobas albo jakiś włóczęga. Przed chwilą eleganc-

ka przystojna pani przyjrzała mi się ze skupieniem. To jej patrzenie potraktowałem jako dobry początek. Mam klasyczny wygląd parobka, nie może być lepiej.

I „Sporty” też sobie kupiłem, większy zapas, mimo że ostatnio „Sportów” nie palę, bo duszą i mój chroniczny bronchit zaostrzają, ale tam na wieś tylko „Sporty” pasują, w ogóle narastało we mnie uczucie wielkiego zadowolenia, jest to przecież nareszcie realny wyjazd, żadna fikcja, autobus pędzi do Odrzykoni. Cel wiadomy i nic tu już dodać ani odjąć nie można. Jadę zaczynać nareszcie coś poważnego, ze śmiechem pogardliwym wykpiłem tę swoją korespondencję z kolegą, co wyjechał na geodezyjne roboty w Rzeszowskie. Sześć miesięcy już tam kolega pracuje, kieruje ekipą pomiarową, utrzymywałem z nim regularną korespondencję i przez tę korespondencję taką namiastkę autentycznego życia sobie zrobiłem, znałem na bieżąco ich osiągnięcia, przyrzady, te różne teodolity i łaty, wiedziałem, jak posługiwać się elektryczną maszynką do liczenia, tak się w swojej jałowości tą geodezją pocieszałem, a teraz jadę do badylarzy i może nawet dłużej niż sześć miesięcy w tych Odrzykoniach posiedzę. Wdałem się też w gadkę z brudnym chłopakiem siedzącym obok, przełamaliśmy papierosy, osadziliśmy w lufkach, tak statecznie, po gospodarsku, śmiałem się z tego udawania, zapaliliśmy, gawędziliśmy o cebuli, pomidorach, a to tamtego roku obrodziło, a to nie, w tym roku chyba obrodzi to, a tamto nie, za dużo pada, niedobrze, zagnije... No i nareszcie Odrzykonie. Nareszcie dlatego, że smród tych szmat mleczno-serowych za bardzo męczący i wytrzęsło mnie okropnie, siedziałem akurat na tylnym kole, to jest najgorsze miejsce w autobusie pędzącym po wyboistych drogach.

Odrzykonie to taka długa wieś, łukowato rozciągnięta. Dostatek zauważalny od razu, żadne tam chalupy ze słomianymi strzechami, wszystko murowane, wille prawie. W każdym podwórzu traktor, gdzieś tam też samochody, przeważnie „Octawie” i „Warszawy”, bogaci ci badylarze, mordy mają specjalne, trochę zwierzęce, pewnym, pańskim okiem obmacywali ludzi z autobusu, w ogóle taka forsiasta siła od nich buchała.

Kolega Robek mieszkał w domu z dachem z falistej blachy, wyszedł na spotkanie, ucałowaliśmy się z dubeltówki, stara przyjaźń nie rdzewieje, powiedział, dopytywał się o moje pisanie, czytał dwa moje kryminałki, wyraźnie imponowało mu, że piszę książki, trochę spłoszył go mój ubiór łachudracki, ale był delikatny i nic o tym nie mówił. On sam wyglądał jak prawdziwy badylarz, skórzana kurtka i w głosie pewność, sytość...

Weszliśmy do domu, przedstawił mnie dwóm kobietom, jedna stara tłusta, druga młoda niebrzydka, też tłustawa, to była jego żona, miała wielkie brunatne znamię na policzku, i Robek nazywał ją Myszka.

Poczęstowano mnie obsuszoną kielbasą i jajecznicą ze szczypiorkiem, Robek wyciągnął wykwintną wódkę „Soplicówkę”. Kupiłem, powiedział z uśmiechem, na przyjazd pisarza, popijaliśmy wspominając pracę w „Locie”, rozejrzałem się po izbie, kuchenka gazowa, zdziwiłem się, Robek wyjaśnił, że i centralne również mają, z butli gazowych to ogrzewanie idzie, gaz kupuje się w Warszawie, taka butla na długo starcza, życie jak w Madrycie, zachichotał Robek, gładząc żeberka centralnego, cebula w tym roku dowali, szykuje się też kanada z pomidorami, zbyt ma zapewniony, stali odbiorcy, począł kręcić zabawnego młynka palcami, kobiety słuchały go z nabożeństwem, mocną miał tutaj pozycję, Myszka pożerała go oczyma, a stara spoglądała z dobrotliwym, macierzyńskim uznaniem.

Po posiłku udaliśmy się na zwiedzanie mieszkania, Robek otwierał szafy, pokazywał swoje ciuchy, cztery garnitury, długa skóra na kozuchu, babskie rzeczy też bardzo drogie, jakieś popielice, karakuły, to wszystko z badylarstwa, powiedział z chytrawym, zimnym uśmiechem, urwał jednak zaraz, gdyż akurat weszły kobiety, więc dowcipkując dalej oglądaliśmy mieszkanie. Właściwie już teraz powinienem wyjaśnić, w jakim celu tutaj przyjechałem, mój łachudracki strój wyraźnie zadziwiał kobiety, zerkały raz po raz, nic szczególnego w tym ich zainteresowaniu, pisarz, to, śmo, a tu przyjeżdża taki łazarz. Ale nic nie wyjaśniłem i już w tej dwuznacznej sytuacji brnąłem dalej. Robek pytał o moje literackie plany, co mam na warsztacie, cóż w ogóle w artystycznym świecie, więc opowiedziałem parę nowinek, Robek słuchał zachłannie, zapytał, czy znam Iwaszkiewicza

albo Putramenta, musiałem długo o tych literackich rzeczach gadać, i na pewno Robek uznał te moje ciuchy obszarpane za literacką ekstrawagancję. Coraz głupsza sytuacja, ale wyjaśniać stanowczo nie miałem ochoty. Po oglądaniu mieszkania wróciliśmy do pokoju przy werandzie. Piliśmy kawę i likier wiśniowy, likier też chyba z okazji mego przyjazdu; te Robka kobiety znośne, nie gadają za dużo, życzliwe, Myszka wyraźnie w nim dotąd zakochana.

Ściemniło się, proponowano oglądanie programu telewizyjnego, ale nie miałem ochoty, wyszliśmy z Robkiem na papierosa przed dom, na podwórzu oglądałem maszyny rolnicze, w szopach założono światło elektryczne, zgrabny traktor stał w wozowni, usiedliśmy wreszcie na schodkach, ciemno, psy gdzieś poszczekiwały, dobrze się poczułem, lubię takie wieczory na wsi, dalekie odgłosy, mało światła, spokojnie wtedy się robi, rozluźniająco, ale Robek znów zaczął dopytywać się o sprawy literackie, w jaki sposób powstaje pomysł, jaką mam metodę, ile razy poprawiam, męczą takie pytania, ale on był cholernie ciekawy, wyraźnie pociągało go takie życie, sam również snuł przeróżne na ten temat przypuszczenia, obserwujesz życie, głądził, przeżywasz różne sprawy i potem to ci się w wizję układa, co za mendziarstwo, zwykłe robienie kryminałek, a on o wizji, niezależny jesteś, twoja wyobraźnia jest podstawą, w końcu przerwałem mu umiejętnie, ty też wygrałeś los na loterii, milczał długo, potem przyznał mi rację, ale mówił bez specjalnego entuzjazmu, jakby trochę zmęczony, owszem, nieźle, kobiety za mną w ogień, teść był wredny, ale wykitował, nawet roboty ciężkiej nie ma, wynajmuje się ludzi w sezonie, bandosek z Kieleckiego dużo w te strony przyjeżdża, i znów zamilkł na długą chwilę, odrzucił daleko papierosa, z uporem, natrętnie dopytywał się o moje życie. Wymówiłem się zmęczeniem i udałem się do gościnnego pokoju na spoczynek. Chwała Bogu, szybko, bez paskudnych wieczornych rozmyślań zasnąłem. Rankiem wybraliśmy się z Robkiem na pola. Oglądałem rządki pomidorów, kalafiorów, kapusty, byliśmy również w cieplarni, jadłem znakomite inspektowe pomidory, przy inspektach krzątały się czerwono-nogie dziewczuchy z Kieleckiego, Robek narzekał trochę, że coraz gorzej z najemnikami, że bardzo się cenią, więc znów była okazja, że

bym powiedział o powodzie mojego przyjazdu tutaj, jednak i teraz zmilczałem. Robek żuł bez apetytu pomidora, wyrzucił połowę, zimą i latem, zaśmiał się krzywo, mam tego potąd, wykonał ruch dłonią przy gardle; czasem trochę nudzi mi się i chciałbym gdzieś wyjechać, coś innego robić, ale przecież ja to nie ty, zwrócił się do mnie z drgającymi nozdrzami, ty możesz sobie na wszystko pozwolić, ale ja muszę trzymać się tego badylarstwa, tych nadzianych forsą kobit, rękami i nogami muszę, bo to jest moja jedyna szansa i żeby jeszcze bardziej Myszkę przywiązać, dzieciaka już zmontowałem, za pięć miesięcy przyjdzie na świat.

Smętnie w tej chwili Robek wyglądał, taki mops, gęba mu obwisła, postarzała się, zrobiło mi się głupio, wziąłem go pod rękę, poszliśmy w głąb inspektów coś tam oglądać.

Tak spędziłem w tym badylarstwie trzy dni. Dużo zabawy miałem przy gierkach Robka z kobietami, trajlował nieustająco, dowcipkował, biła od niego wesołość i filuterność, one chichotały, nadskakiwał tej swojej Myszce, miłość jej okazywał na każdym kroku. Niekiedy już w tych wesołych chwilach na końcu języka miałem, więc zostaję z wami, za takiego pomagiera w ogrodniczych robotach będę, ale coś mnie powstrzymywało. Przecież Robek potraktuje to jako zabawę, literacką zabawę, wtedy zostanę tutaj, ale nadal na prawach faceta niezależnego, ot, takie po prostu dziwaczne kaprysy, i w ogóle nie tylko o to mi szło, tę minę mopsa Robka wtedy przy inspektach widziałem, i jeszcze coś więcej, nie puściłem nawet pary z ust. Byliśmy więc u kilku sąsiadów, byliśmy na przejażdżce „Junakiem”, patrzyliśmy w telewizor, tańczyliśmy. Trzeciego dnia wieczorem opowiedziałem miłosny film, nieźle opowiadam, koloryzuję, umiejętnie buduję pointy, kobiety słuchały mnie z wypiekami i właśnie trzeciego dnia wieczorem wcześniej spać poszliśmy, leżałem pod puchową pierzyną przeszło godzinę, z sąsiedniego pokoju chrapanina, wstałem cichaczem, ubrałem się i wyszedłem przed dom...

Poszedłem ścieżką wśród pól, droga paskudna, w dzień padał deszcz, brnąłem przez bajora, światła wsi już daleko w tyle, zostawiłem walizkę, powtarzałem bezmyślnie, zostawiłem walizkę, buty mi przemiękły, mokro, wstrętnie, droga teraz wśród drzew, dotarłem do szosy, minęła mnie

ciężarówka, przystanąłem przy przystanku autobusowym, oparłem się o słup, w butach chlupało, stopy lodowate, zapaliłem papierosa. Z dala zabłyśły światła autobusu, czekałem z niecierpliwością, podjechał autobus, szybko wskoczyłem i zatrzasnąłem drzwi.

ŚWIĘTA

Bródka wpadł w ten swój pijacki cug jak w szambo. Właściwie normalnie, jak zawsze, nie pił, gładziutko ogolony, powściągliwy, ciuchy kupował, pracował po godzinach, jakieś kreślarskie roboty brał, cały komplet kreślarski sobie sprawił, grafion, cyrkle, deskę, suwak, i za kobietą już się rozglądał, nawet taką dość przyzwoitą poznał, na wczasy postanowił wyjechać do Krynicy – i nagle złapał smak do wódki i nic już nie mogło go odciągnąć. Jedyne leczenie, rozmyślał Bródka popijając wyborową, w pierwszych dniach zawsze pił lepszą, ten komplet kreślarski sprzedał i miał pieniądze, leczenie w zamkniętym zakładzie, kuracja apo, wzdrygnął się, przecież ohydne są to wspomnienia.

Ale ci koledzy z pracowni radzili mu, żeby żadnego leczenia nie zaczynał, pij ciągle, mówili, kieliszek wypijaj, dwa, potem staraj się dzień nie pić, dwa nic, i znów kieliszek, czasem można wypić więcej, jak to ludzie zwyczajni piją, i już jest szansa jako tako opanować się, taki chałupniczy sposób odwykowy, i dążyć do likwidacji tych niszczących organizm alkoholicznych zapaści. Major spod okna mówił, że sam w taki sposób z alkoholowego nieszczęścia wybawił się, a sprawa była zaawansowana, żona przecież od niego uciekła, Majorowi można zaufać, dużo przeżył, a teraz taki stateczny, elegancki, tyle że trochę pierdoła, ale mocny charakter, na PKO odkłada, i jak mieszkanie sobie urządził, nowoczesnie, ze smakiem, i telewizor ma też. Bródka wziął to sobie do serca, i kilka dni spokojnych nawet było, raz kieliszek, raz nic, bardzo starał się wstręt do alkoholowej słabości w sobie wzbudzić, wódkę wąchał, smakował, myślał, przecież na zdrowy rozum to świństwo i nic więcej, wszystkie kace i nieszczęścia przypominał, do pracy chodził regularnie, kreślił nawet lepiej niż dawniej, chwalili go inżynierowie, kupił sobie, postanowił, modny krawat, taki czarny z plecionki. Ale piątego dnia rano był Bródka taki sflaczały i wymięty w środku, przejrzał się w lustrze, plunął w swe odbicie, nieszczęsny kretynie, warknął, i wypił w kiosku przy Górnośląskiej bombę jasnego piwa, poczuł rosnący apetyt, kioskarcz Chodorowicz wyciągnął spod lady portery, wypił Bródka dwa portery, a po drodze jeszcze małą wódkę w ekspresowym barze, do pracy spóźnił się, ale był zdecydowany, zacierał ręce, pogwizdywał, i głupie myśli ze łba wywalił, tych kolegów, co nad nim czuwali, oszukał, mówiąc, że tylko dwa portery.

Więc dziś masz parszywy dzień, uznali oni, musimy cię pilnować, kreślił Bródka ze dwie godziny i odrzucił cyrkiel, chociaż kropelkę, powiada, nie mogę już dłużej, Major, świetny kolega, pobiegł po flaszkę, i wypili tę flaszkę w kantorku, Bródka przyssał się jak do smoczka, nie można było go oderwać, oni śmiali się, dzidzius, mówili, zły dzień ma, ale nic, damy radę demonom. Po tej pierwszej butelce Bródka pomyślał, mechanizm już ruszył, teraz bez przerwy już trzeba oliwy, więc rzekł stanowczo, mało, i Piwnicki przyniósł następną półlitrowkę. A dalej to jest zupełnie groteskowe, ci koledzy od pilnowania nabrali chęci do wody, spili się mocno, Bródka trzymał się najlepiej, wsadził ich do taksówki. Sam poszedł przejść się, miał z kreślarskiego kompletu jeszcze parę złotych, kupił butelkę gatunkowej wódki, „Soplicówki”, a że był to dzień Wigilii, dla tej swojej kobiety (dość przystojna wdowa–maszynistka), wybrał w „Galluxie” dwie pary pończoch i ładny komplet nylonowy. Szedł sobie Alejami, zataczał się i śmiał hałaśliwie, śmiech ma Bródka osobliwy, rżęzący, jakby z jamy głębokiej, przywalonej głazem to rżęzenie wychodziło, śmiał się, bo myślał, jak go ci koledzy z pracowni od picia odzwyczajali, widział twarz Majora, obwisłą, zmartwiałą, Major nie chciał wsiąść do samochodu, wyrывał się, ja funduję, wołał, balować chcę, więc dusił Bródkę wesoły śmiech. Świętecznie zabiegani ludzie, dzień przecież wigilijny, przystawali zdumieni, zerkali na Bródkę w głupawym zdumieniu, a on śmiał się i gestykułował nie widząc nic, cała twarz pokryta czerwonymi plamami (w początku cugu zawsze mu te plamy wyskakują), łysy jak kolano, i oczy wielkie, zezujące nieco, ustępowali mu ci święteczni ludzie. Zaszedł do tej swojej wdowy, ona porządki robiła, szorowała podłogę, w piecyku ciasto, ryba na stole potworna, na pół rozerżnięta, kobieta spojrzała na niego, bez sympatii, też mam szczęście, powiedziała, tamten pijak, lepiej już w ogóle bez mężczyzny, i nawet Bródki nie zaprosiła, żeby usiadł, więc stał tak w

jesionce na środku kuchni, woda wokół, ona zagarniała wodę ścierką, prezent ci przyniosłem, odezwał się Bródka, położył komplet i pończochy na stole, ona nawet głowy nie uniosła, otworzyła piecyk, kijek wsadza w makowiec, oblizuje, Bródka wyciągnął „Soplicówkę” i łyknął sobie, ona wycierała teraz podłogę na sucho, od piecyka buchał żar, Bródka w grubej jesionce, duszno coraz bardziej, wreszcie wymamrotał coś, kopnął kubel, wylała się woda, ten prezent ze stołu zgarnął, schował za pazuchę i wyszedł trzaskając drzwiami, na schodach dogonił go jej podniesiony głos. Zdenerwował się, z niewiastą sprawa zakończona, a święta razem spędzać mieli, ona taka jakaś, rozmyślał, jakby już drugiego na te święta wykombinowała, ludzi na ulicy rój, potraćali go, obławowani stosami pakunków, pędzili jak opętańcy, zbiegał Bródka ze złości, plamy wystąpiły mocniej na twarzy, pódziesz, wołał, a pódziesz, i tupał nogą, świąteczni ludzie omijali go strachliwie i uczyniło się przy nim puste koło, ta ludzka strachliwość uspokoiła go, przestał krzyczeć i ostro przyśpieszył kroku, zawstydzony swoim wybuchem. Najgorzej w domu, pomyślał posępnie, żadnych zakupów nie robił, miał tylko pół kilo czerstwego chleba, ale przypomniał sobie o „Soplicówce”, ledwie napoczęta przecież, zrobiło mu się raźniej, Książęcą doszedł do Rozbratu, przy Szarej zwolnił kroku, zerkał po bramach, pod czwartym, stwierdził, popijają; w głębi bramy pokurczone cienie, brzęk tłuczonego szkła posłyszał, zawahał się, chciał iść tam, ale po namyśle skierował się do siebie.

W pokoju zapalił tylko małą lampkę, ściągnął koszulę, poskrobał się po piersiach, usiadł, wielkimi łykami wypił tę „Soplicówkę”, w głowie mu zamusowało, mówił coś szeptem, brzmiało to jak modlitwa, czasem unosił głos, to były przekleństwa, litania wymyślne, polskie i francuskie, te francuskie znał z obozu, wreszcie osunął się z krzesła na podłogę i zapadł w ciężki, z dzikim powarkiwaniami sen.

Rankiem paskudnie bolała go głowa, mróz gruby na szybach, we łbie dudniło jak w piecu, z tej butelki po „Soplicówce” wytrząsnął jeszcze pół kieliszka, taki łyk nic prawie nie pomógł, tyle że się uważnie rozejrzał po mieszkaniu, przy drzwiach pakunek w galluksowym papierze, zmarszczył czoło, dźwignął się, rozwinął, dwie pary pończoch, komplet nylonowy. I myśl nagła, chytra przyszła Bródce do głowy, parę pończoch włożył do torebki po cukrze, napił się wody i wyszedł z mieszkania. Mróz ostry, drętwiały uszy, znakomite rozwiązanie, myślał Bródka, i blisko, i niezły znajomy, cieszył się jak dzieciak, ten Chodorowicz, wojenny inwalida, miał kiosk przy Górnośląskiej, popijać lubił, i parę razy Bródka zastawiał u niego zegarek, a kiedyś sprzedał mu obrus i widelce, puścił się biegiem, bo w uszy i nos szczypało coraz dokuczliwiej.

Tam u Chodorowicza świąteczne śniadanie na całego, szynka, ćwikła, baleron, kiełbasa obsuszona, schab i dwie butelki też na stole, żona Chodorowicza bigos odgrzewa, kulawy i jego syn już są po jednym głębszym, Bródce też kieliszek napełnili, on uklonił się nisko, wesołych świąt, powiedział, żonę Chodorowicza dwa razy pocałował, dla pani taki maleńki upominek, pończochy w torebce po cukrze jej wręczył, ona zaprosiła go do świątecznego stołu, jedli bigos, dwie butelki wykończyli, Chodorowicz syna wysłał po nowy alkoholowy ładunek, i pili już do wieczora, Chodorowicz złapał Radio-Watykan, nabożeństwa stamtąd wysłuchali, Chodorowicz płakał, religijny bardzo po wódce, znów coś jedli na gorąco, pili, dwa razy trzeźwieli, spali też trochę na krzesłach, wieczorem Bródka wstał od stołu, z trudem trzymał się na chybotałych nogach, uklonił się, wesołych świąt, wybelkotał, i poszedł do siebie na Szarą, mróz nie zelżał wcale, przy oddychaniu zatykało w piersiach, dowlókl się do swej facjatki na czwarte piętro, zwałił się na podłogę pod ścianą, ale po chwili wstał i ułożył się na kanapce.

Następnego dnia o tyle było gorzej, że za wcześniej obudził się, tak przed piątą, i dygot nim zatrzęsł, wszystko ruszało się w nim jak galareta, pragnienie wódki dręczyło bardzo, ale ani kropelki nie znalazł, wreszcie zapakował w jeden pakunek komplet nylonowy, a w drugi pończochy i wyszedł na ulicę, zaszedł do tej szpitalnej posługaczki, która handlowała wódką i za pończochy dostał ćwiartkę, mąż posługaczki zapraszał go na świąteczne śniadanie, ale Bródka odmówił, chciał wpierw, nim zacznie chodzić po ludziach, wypić pierwszą wódkę w samotności, wlał do tej bramy pod czwartym i pod papierosa wychylił połowę z butelczyny, od razu pojaśniało mu w głowie,

odetchnął głęboko i spokojnym już spacerkiem doszedł do Czerniakowskiej, bardzo wczesnie, śnieg skrzy piał, oglądał nowe domy, budują całe bloki tutaj, ładne, kolorowe, ten trzeci z bloków bardzo mu się spodobał, chciałby zamieszkać w takim, nie to co stare budownictwo, mrucał, zastanawiał się, do kogo zajść, minął narożną rudere, ostre głosy posłyszał, pewnie u Polderów piją, ale tam nie chciał, nie będzie miesiąca, jak zaprosił to tałatajstwo do siebie, nie zawsze przecież można w pojedynkę, upili go wtedy i ukradli najnowszy garnitur, który uszył sobie z diagonalu, taki wykwinny, ciemnoszary, modnie uszyty, spodnie bez mankietów, małe klapki, spił się wtedy jak worek, i rąbnęli mu ten garnitur, Kaczyński i Rysiek Urzędnik, degeneraty szmatławe, pomyślał Bródka, oni śmieją się, śmieją się, rozpogodził się nieco, bo im też kradli ci od Polderów już nieraz, degeneraty szmatławe.

Pomysł wyskoczył nagle, powtarzał, degeneraty szmatławe, i wpadł do głowy ten pomysł przedni, równie znakomity jak wczorajszy, miał przecież komplet w kieszeni, postanowił odwiedzić brata, brat mieszkał w śródmieściu, niedaleko, więc ten komplet dla żony brata akurat. Zadywany, radosny począł walić w drzwi, jeszcze spali, wystraszeni, brat w pidżamie drzwi uchylił, Bródka wpadł jak bomba, przeprosił za najście, wesołych świąt, powiedział, i wręczył komplet nylonowy bratowej, bratowa zerwała się z łóżka, bigos odgrzała, brat miał pół litra cytrynowki i wermut, zasiedli do stołu, Bródka chwalił żarcie, podlizywał się bratowej, ale tego picia niewiele, wysączyli w dwie godziny, Bródka mrugnął do brata, brat wahał się dłuższą chwilę, ale zdecydował wreszcie, odprowadzę Zygmunta, powiedział żonie, i za godzinę wrócę. I pojechali razem na Szarą, po drodze Bródka zastawił zegarek u znajomego szewca, zastawił z procentem pięćdziesiąt złotych na dwa dni, kupił u sprzątaczkii pół litra i wypili pod czerstwy chleb w tej facjatce u Bródki, ja ciebie rozumiem, powiedział brat, to piekło żyć na trzeźwo, nuda i nic więcej, ja wcale nie uważam, że źle robisz, pogrzebał w kieszeniach, wyciągnął pieniądze, musimy jeszcze coś wypić.

Bródka zatarł dłonie, znał brata doskonale, najgorzej tylko zacząć z nim, ale potem już wszystko jak z płatka, poleciał do posługaczki, po drodze obliczył forszę, sto złotych, według świątecznej taryfy starczy na pół litra, a żarcia na pewno dołożą, przecież na żarciu w święta nie oszczędzają, i kupił flaszkę, zakąskę dołożyli bezpłatnie, kawał kielbasy, i nawet makowiec chcieli dać, wraca zadowolony, patrzy, po drugiej stronie ulicy idzie Urzędnik i Kaczyński, opuścił Bródka głowę, nie mógł tych szmacciarzy znieść, a oni krzyczą bezczelnie, co tak lecisz, poczekaj, Bródka nic, oni dalej, poczekaj, mamy wodę, święta, wypijemy na zgodę, Bródka przyśpieszył kroku, biegł prawie, oni ze śmiechem za nim, nie pijesz, wredne zdziwienie, na futro pewnie zbiera, takie z wydrowym kołnierzykiem, to mówił Urzędnik, a Kaczyński, może on chce kozuch bułgarski sobie sprawić, wtedy Bródką wściekłość szarpnęła, wbiegł rżąc i dysząc na czwarte piętro, całą tę historię z garniturem przypomniał, jak upili go, a kiedy otworzył oczy, w szafie pucha, nie ma diagonalu, jeszcze nie wierzył, wszystkie kąty przeszukał, nie ma, pobiegł na komisariat, dzielnicowy wysłuchał spokojnie i mówi, może i ukradli, ale po co pan się z nimi zadajesz, gangstery takie, deklasujesz się pan (deklasujesz – to jego słowo ulubione), i zrobił u tych Polderów rewizję, Polder, Urzędnik i Donica akurat przy wódce siedzieli, pewnie za diagonal to picie, śmieją się, nie ma nic, wzdychają, nic pan nie znalazł, a Donica powiada, ten Bródka, nie powiem, inteligentny, owszem, ale on zwidy ma, jak to po wódzi, jednym białe myszki, a jemu garniturki z szafy wyłazą, wpadł Bródka do mieszkania, postawił butelkę na stole i mówi do brata, mam pewne rachunki z hienami, co na mojej słabości żerują. Brat już był gotów, okulary schował, parę przysiadów zrobił i nawet chciał Bródce walkę z cieniem demonstrować, nikt nie poznałby teraz tego spokojnego buchaltera, taki bojowy i chętny do rozróby.

Biegli z tupotem na dół, brat po trzy schodki przeskakiwał, i trzeba trafu, wykręcił sobie stopę w kostce na ostatnim już schodku, musimy wracać, jęczy Bródka, ale brat nie chciał i kulejąc wpadł na ulicę, doszli do sklepiku i zderzyli się z Urzędnikiem i Kaczyńskim, przez sekundę Bródce zamajaczyła bezczelna gęba Kaczyńskiego, wałnął pięścią z rozmachu, ale źle wymierzył i trafił w ścianę, zaskowyczał z bólu, Kaczyński uchylił się gwałtownie, zawadził o beczkę po piwie i runął na chodnik, Urzędnik odskoczył pod mur i zasłonił twarz rękami, mocno pijany, kołysał się mono-

tonnie, Kaczyński dźwigał się z ziemi, wyłuskał z bruku kamień kanciasty i powolutku wstawał. Urzędnik krzyknął, Waldziu, nie, nie, to. wyrok przecież, więc Kaczyński wypuścił kamień, a Bródka wrzasnęła dla zabezpieczenia, napad, ratunku, napad, brat jego przybrał bokerską postawę, wtedy Urzędnik ręce na murze jak Chrystus rozkrzyżował i zawył przeraźliwie, prowokacja, brat Bródki chwycił go za płaszcz, szarpnął, płaszcz zaciągnął na głowę. Urzędnik gmerał się bezradnie pod płaszczem, Kaczyński usiadł nu becze i powtórzył za Urzędnikiem, prowokacja, Bródka nagle uspokoił się zupełnie i pociągnął brata za sobą, weszli do bramy, brat pojękiwał, bolała go skręcona kostka, zmęczeni byli, ziejąc wtoczyli się do mieszkania, półlitrowki już nie napoczęli, tylko tak jak siali, w jesionkach, zwalili się na podłogę. Rankiem znów Bródka został sam, brat wymknął się cichcem, zostawił karteczkę. Zygmus, musiałem już iść, dzika historia, Marylka na pewno szaleje, trzymaj się dobrze, Bródka nie zmartwił się, sam to sam, powiedział półgłosem, w zasadzie najlepiej bez nikogo, podłożył ręce pod głowę, zapalił papierosa, przypomniał wczorajszą drakę, zaśmiał się wesoło, a potem obliczył, że jest to trzeci świąteczny dzień, wódkę w domu miał, usiadł po turecku i popijał drobnymi łykami, koło południa straszno mu się jakoś zrobiło, na ścianach zaczęły się pokazywać czarne sowy z ludzkimi oczami, tych sów z pięć, biegał po pokoju bezradny, sowy wbijały w niego ludzkie oczy, spocił się, uciekł z mieszkania i pobiegł na róg Czerniakowskiej i Śniegockiej, niesamowite, szeptał, tyle tych sów.

Na rogu pijackowie stąd stali gromadką, składali się na wódkę, Bródka ze smutkiem wywrócił kieszenie, nagle przypomniał o tych skarpetkach, co miał na nogach, elastyczne, komi-sowe, kupił do diagonalu, Donica pobiegł do domu, przyniósł onucki, Bródka ściągnął skarpetki, upadek kompletny, mamrotał, owinał stopy tymi brudnymi szmatami, ale poczuł się lepiej, za takie skarpetki, oświadczył, więcej niż dwadzieścia gorzałkowe handlary dadzą. Wśród pijacków był też Edzio Wariat, spokojny, nieśmiały, wymęczyli mnie tam, powiedział tylko, i już nic nie chciał o tych Tworkach mówić, Cesi Zegarmistrz i Donica śmieli się z wczorajszej draki, przestraszyłeś .Urzędnika i Kaczyńskiego, jeszcze dojść do siebie nie mogą, no cóż, ucieszył się Bródka, robotnik nie jestem, lecz rękę mam ciężką, a mój brat dodał, po studiach ekonomicznych, a umie się tłuc, ho, ho, z tymi studiami przesadził, bo brat miał tylko rok SGPiS-u, ale z takimi facetami trzeba z góry, pomyślał, żeby dystans utrzymać, po wódkę poszedł Donica do swojej ciotki, też handlary, przyniósł litr, poszli w krzaki i tam wypili pod papierosa.

W parkowe zarośla trafił też do nich gruby Kopyciński, lekko pijany, wystrojony świątecznie, parę groszy mam, powiedział, i na spóźnioną rybkę zapraszam Wariata i Bródkę, oni dwaj to ciekawe okazy, mówił dalej gruby, bardzo ciekawe, Bródka wykrzywił wściekle gębę, ale nic nie powiedział, żeby grubego nie zrazić. I poszli we trójkę do szpitalnej posługaczki na Szarą, ona wpuściła ich do pokoju, najlepszy mój klient, pokazuje na Kopycińskiego, proszę, siadajcie, panowie, właśnie gdy podchodzili do stołu, Wariat tak dziwnie zatoczył się na grubego Kopycińskiego, nogę mu podstawił i zwalili się obaj na podłogę, jak tylko wstali, Kopyciński złapał się za kamizelkę, dewizka oderwana, krzyczy, gdzie zegarek, na to Edzio Wariat zamyślił się i mówi, musiał Bródka cię skubnąć, w parku, pamiętam, zegarek miałeś w kieszeni i Bródka przysuwał się do ciebie, zagadywał, nic, tylko Bródka cię skubnął, niby inteligent, ale alkoholik, Bródkę zła krew zalała, wycharczał, rewiduj, jak chcesz, kieszenie wywrócił, i rób wszystkim rewizję, więc Kopyciński rewizję zrobił i u Wariata zegarek znalazł, Wariat popłakał się ze złości, taki zegarek mi przepadł, płaski, wodoszczelny, z kalendarzem, Kopyciński drzwi otworzył i rzekł, won, mojej wódki nie będziesz pił, Wariatowi usta zbieleły, dobrze, zaryczał, spojrzął na Bródkę i wyszedł. Posługaczka dłonie jak do modlitwy złożyła, panowie, chwała Bogu, że pan Wariat poszedł sobie, jak się cieszę, nawet trochę gimnazji ma, ale to wykolejeniec, pił kiedyś z moim sąsiadem, spokojny człowiek, rzemieślnik, żona mu umarła, z rozpachy pił, no i popił raz z panem Wariatem, u mnie to było, płakał jak bóbr, żonę nieboszczkę wspominał, potem zasnął, a pan Wariat rozpiął mu marynarkę i z kieszeni wszystkie pieniądze zabrał, jeszcze mnie przygroził i minę zrobił, Chryste ratuj. Wypił Bródka z Kopycińskim pół litra, Kopyciński hojny jak nigdy, postawił jeszcze ćwiartkę, ten zegarek, mówił, pamiątkowy, „Cyma”, po tatusiu, a wódkę postawić mogę, interes nieźle idzie, zbyt

jest, najgorzej z surowcem, na razie daję sobie radę, tylko żonę mam niedobłą, jędza, spokoju nie daje, gadał coraz ciszej, niewyraźnie, zasnął; on po wódce zawsze senny, na tę jego senność nie ma rady, nogi rozwalił i chrapie. Bródka zadowolony, już wieczór, ten trzeci dzień minął właściwie, trzeci dzień świąt, posługaczka przykryła kołdrą grubego Kopycińskiego, Bródka wyszedł.

Pośpiewując, zdążył do domu, kolędy śpiewał, woziwodę, i już dochodził do swojej bramy, gdy cień jakiś zastąpił mu drogę, Bródka oczy przeciera, cień skoczył na niego, zasłonić się nie zdążył, dostał kilka mocnych uderzeń, jedno w dołek, zemdlilo go, upadł, jeszcze kopniaków kilka i nad sobą głos Edzia Wariata posłyszał, zakapowałeś, mówił Edzio, skarciłem, szybki tupot kroków. Bródka leżał nieruchomo, poruszył się, zajęczał, piersi bolały, nerki też, wreszcie na czworakach dowlókł się do swojej facjatki na czwarte piętro, ułożył się na kanapce, ale zasnąć nie mógł, coś poważnego, przestraszył się, jakby żebra połamane, a może nerki odbite, do świtu leżał z otwartymi oczyma, zapadł w płytki sen. Zbudził go ból w piersiach, spróbował poruszyć się, zakłuło mocniej, pozbierał wspomnienia z wieczora i popłakał się z żalu nad sobą, sam jestem, chlipał, samiuteńki, nikt mi nie pomoże, przypomniał sobie garnitur z diagonalu, dużo jeszcze innych spraw, jak szafę tej zapijaczonej rodzinie z pierwszego piętra sprzedał, Donicy, zdaje się, rodzina, oszukali go przy sprzedaży, pili z nim za tę szafę, i gdy zasnął, resztę mu zabrali, wtedy najgorszy, najwredniejszy był Krawczyk, taki czterdziestolatek na utrzymaniu matki, karciarz i wyścigowiec, ale przypomniał sobie, już nie żyje, facet był jak tur, nigdy nie chorował, no i zapadł na białaczkę, ucieszył się Bródka mściwie, a rok po Krawczyku zarzęni Poldera I, tamten Polder też wilk, zawsze namawiał Bródkę, po co ci jesionka, opylimy, wystarczy płaszcz, po co ci golfy, niemodne teraz, opylimy, więc Poldera też nie, ma, uśmiechnął się Bródka, i Rysiek Urzędnik marnie wygląda poci się, ukradkiem popluwa w chusteczkę, może i jego kostucha, zagalopował się w tych marzeniach daleko i wyobraził sobie, jak zdycha Edzio Wariat, siny, usta wykrzywia, ratujcie, rzezi, żyć chcę, coraz ciszej powtarza, żyć chcę, a on, Bródka, stoi nad nim spokojny, wygolony, ubrany wykwinie, w garniturze nowym z flaneli, nogi rozkraczył, wziął się pod boki i czeka, twarz Bródki pojaśniała łagodnym uśmiechem, ręce szeroko wyrzucił i zaskowyczał, coś w piersiach zakłuło piekielnie, powoli zsunął się z kanapy, na czworakach dowlókł się do kranu, dręczyło go pragnienie, opił się wody, powinienem skończyć z wódką, pomyślał, najwyższy czas, podsunął głowę pod kran, puścił strumień wody, orzeźwiło go.

Rozległo się ciche, delikatne pukanie do drzwi, Bródka znieruchomiał, znów to delikatne puk, puk, przyczał się, to ja, posłyszał, z korytarza, no ja, Kopyciński, otworzył, gruby wtoczył się na pokrzywionych nogach, jego świńskie oczka błyszcząły mętnie, do kogo miałem przyjść; powiada, tylko do ciebie, z żoną zgodzić się nie mogę i rozpiłem się, ale mam, poklepał się po wypchanej kieszeni, z pustymi rękami nie przychodzę, wyciągnął ćwiartkę.

Bródka skrzywił się niechętnie, cóż to, myślał, mój dom hotel dla tłustych przywaciarzy z żoną zgodzić się nie może, ale Kopyciński szybko podsunął mu pełną musztardówkę, więc wypił, odetchnął głęboko, klucie w płucach zelżało, butelkę opróżnili w dwóch rozlaniach, gruby zerkał łaskomie na kanapkę, wreszcie skoczył tam jak zając, położył się na wznak i zaraz przysnął.

Bródka dopił resztkę ze szklanki grubego, z żalem popatrzył na kanapkę, zdrzemnął się na krześle, obudził się w ciemności znów trzeźwy i schorowany, przeraził go dźwięk dziwny w tej ciemności, bulgot i jęk, strach ścisnął mu serce w kleszcze i pot wystąpił na czoło, odetchnął z ulgą, przypomniał sobie o grubym, zapalił lampkę, popatrzył na gębę złożoną, i to usteczko maleńkie w tej mordzie, jak ryjek, kto jest większym okazem, ryknął ochryple, ja czy ty, i ściągnął z kanapki Kopycińskiego. Obaj spacerowali wzdłuż ściany, trzeźwi i dygoczący, gruby pocił się obficie i ziewał, wiedział jednak, że o spaniu nie ma mowy, więc w końcu powiedział ze smutkiem, pójdę i przyniosę karabinka, Bródka poweselał, pobiegł gruby po wódkę, słyhać szum wiatru za oknem, wstrętny, żalony szum, Bródka żałował, że nie ma radia, jakaś muzyka teraz, cicha, łagodna, wiatr walił w szyby, przestanę pić, szepnął Bródka, wyliczył sobie, że przez dwa dni z domu nie wyjdzie, akurat przełamie w sobie chęć do wódki, przestanę, powiedział głośno, zaczął grzebać wśród starych papierów w kącie, wyciągnął grubą książkę, spróbował czytać, ale litery rozlatywały mu się

jak groch, tupot kroków na schodach, Bródka odrzucił książkę, wpadł gruby z butelką, zdyszany i radosny.

Tak popijali z Kopycińskim, nie można powiedzieć jak długo, czas im się pomieszał, zasłony na oknach naciągnięte, Bródka kończyć picie postanawiał, gruby mu przytakiwał, to tylko marnotrawstwo czasu i pieniędzy, ale trzeba jeszcze po łyku, mówił Bródka, wyleczyć się trzeba, ostatni łyk, myślał, żeby pozbyć się tego dygotu i galarety w środku, jednak potem był smak na więcej, wypychał Bródka grubego po wódkę, nie żałuj, krzyczał, z tego warsztatu forsy masz jak lodu, oh, opierał się gruby, domiarami gnębią, kobieta zachłanna, dwa futra jej kupiłem, popielice i karakuły, urywał, przerażały go gorączkowe, ostre, jakby wypalone do białości oczy Bródki, i wzdychając wychodził na ulicę, słabi już obaj byli, i po butelce senność ogarniała ich przemożna, Kopyciński ledwie wypił swoje, wskakiwał na kanapkę, taki kolos różowy, fałdzisty, w granatowych gatkach, kanapka stękała pod jego ciężarem, gruby rozkładał się na wznak, taka góra tłuszczu na kanapce, Bródka zgrzytał zębami, sam zasnął na krześle...

Gdy tylko obudził się po tej trzeciej chyba butelce (tak, trzy puste flaszki na stole), pociągnął za nogi Kopycińskiego, rozleci się kanapka, mówił płaczliwie, won, Kopyciński zwałił się na podłogę i dalej pochrapywał zachłannie, trzeba coś wypić, szczypał go Bródka w miękkie, jakby babskie piersi.

To pukanie do drzwi zabrzmiało jak grzmot, takie chamskie, natarczywe, Bródka przestał szczypać grubego, głosy za drzwiami, poznał od razu, Urzędnik i Kaczyński, otwórz, mówili, mamy piwko, wódeczkę, pogodzić się trzeba, kusili, przecież my razem z tobą, Bródeczka, na studia, pamiętasz, no, Bródka wahał się, nie, zdecydował po długiej chwili, gruby musi mieć jeszcze pieniądze, i nie wpuścił, oni kopali w drzwi, w końcu odeszli, Kopyciński chrapał jak motor na podłodze, Bródka pochylił się nad nim, zrewidował kieszenie, nic nie znalazł, zastanowił się, i delikatnie zsunął mu buty ze stóp, za skarpetką znalazł zmięty w kulkę banknot stułotowy, na palcach wyszedł z mieszkania, wrócił z butelką. Pił sam, gruby spał twardo, Bródka wstawił butelkę do szafki, przykleknął przy grubym, szczypnął w piersi, Kopyciński zerwał się oszołomiony, idziemy do kina, wrzasnął Bródka. Ubrali się i wyszli, wyglądali dziwnie, Bródka zarośnięty jak galernik, Kopyciński opuchły i czerwony, szli niezgrabnie na miękkich nogach, gruby postękiwał żałośnie, po co kino, pomyślał Bródka, dwóch godzin nie wytrzymasz, przed kinem trzeba coś wypić, powiedział głośno, więc wstąpili do baru i wypili po setce, w barze tłok, dziwni ludzie, myślał Bródka, wygoleni, krzyczą, dobrze im chyba, spojrzał na grubego, gruby zalecał się do barmanki, wsiowej z wyglądu dziewczuchy, zwierzę, pomyślał Bródka, przypomniał też sobie, jak kiedyś do liceum fotograficznego chodził, fotoreporterem chciał zostać, i uciekł grubemu, szybko wymknął się z knajpy, przyczał się za drzewem, przeczekał i wolnym krokiem poszedł do siebie na Dół.

W mieszkaniu z rozkoszą ułożył się na kanapce, próbował czytać tę grubą książkę, książka wypadła mu z rąk, zadrzemał, poderwało go mocne klepięcie w plecy, zamrugał oczyma, przed nim stał Kopyciński, uśmiechał się przyjaźnie, zgubiłeś mi się, powiedział, ale znów jesteśmy razem, wyciągnął ćwiartkę, Bródka pociągnął łyk, gruby zepchnął go z kanapy, zmęczyłem się, powiedział, ułożył się po swojemu na wznak, nogę na nogę założył, miło, mruczał, bardzo miło, i zasnął.

Bródka ćwiartkę do reszty opróżnił, podszedł do okna, w świetnej dzielnicy mieszkam, uśmiechnął się miękko, mało domów, park, dużo pijaczków, Wisła, jak dla... nie dokończył, zrobiło mu się niedobrze, zwymiotował, odpoczął chwilę na podłodze, bolało go serce, popatrzył na Kopycińskiego, śpi jak u siebie w domu, pomyślał, przewala się jak wieloryb, pobudka, wrzasnął przeraźliwie, jak pić to pić, powiedział mściwie, gruby wstał niechętnie, nie chciał się ubierać, ale Bródka siłą prawie nałożył mu futro, piękne, pomyślał, z takim kołnierzem, i jakie podbicie, wyszli na ulicę, tylko za co pić, powiedział Gruby; pieniędzy już nie mam, możesz zastawić zegarek, poradził Bródka, ja swój już zastawiłem, serce bolało go nieustannie, jestem nie dopity, pomyślał, przywarł do ściany i znów zwymiotował, za sobą posłyszał żałosny głos grubego, obejrzał się, pod sklepikiem z warzywami dopadli Kopycińskiego szwagier i wspólnik, wyskoczyli zza krzaków,

wykręcili mu ręce, do domu, mówią, interes zamknięty, żona płacze, pociągnęli go, gruby opierał się i wierzgał, nie chcę, skowyczał, ja nie mam domu, mam tylko przyjaciela, wskazał na Bródkę. Bródka parsknął pogardliwie, przyzwyczaił się, chamidło, był–zadowolony, nie ma grubego, kanapka wolna, zastawił u szpitalnej posługaczki szalik, nie chciała przyjąć, szmata nie szalik, szcze–kała, ale powiedział jej, że za dwa dni otrzyma chorobowe, więc dała mu ćwiartkę, zapalę małą lampkę, pomyślał, przyjemny nastrój, mróz zelżał trochę, już nie skrzypiało pod nogami.

Przed swoją bramą Bródka zobaczył Edzia Wariata z jakimś drugim, opuścił głowę, chciał ich minąć, lecz Wariat zastąpił mu drogę, po cóż ta nienawiść, powiedział, stało się i koniec, tak nie robi kolega, wymamrotał Bródka, wiesz przecież, że mam trochę nie tego, Wariat stuknął się w czoło, ale do świństwa przyznaję się, to nie było lojalne, powiedział Bródka, Wariat wyciągnął rękę, uścisnęli sobie dłonie na zgodę, peszyły nieco Bródkę oczy Wariata z tańczącymi błyskami w głębi, tam w Tworkach wymęczyli go na pewno, pomyślał, i zaprosił Wariata i tego drugiego do mieszkania, zgodzili się chętnie, ten drugi wstrętny jakiś, przymilał się do Bródki jak kot, proszę uprzejmie, mówił, i przypalił mu papierosa, słucham, owszem, oczywiście, taki wrednie układny, ale z Wariatem, pomyślał Bródka, lepiej żyć w zgodzie, więc nalał Wariatowi do szklanki najwięcej wódki, Wariat wyłopał szybko, rozejrzał się ciekawie po pokoju, wytarł usta, dobrze pijesz, pochwalił go Bródka, bez najmniejszego skrzyzwienia, Wariat poruszył się niespokojnie, polecę już, powiedział, coś nie mogę usiedzieć, podziękował za wódkę i wyszedł bez pożegnania, ten wrednie przymilny westchnął, szkoda człowieka, pokręcone ma w głowie, Bródka doskonale się poczuł, sprzedam walizkę, postanowił, walizka, obliczał, to może starczyć na pół litra, bardzo dobrze poczuł się, z sercem też w porządku, spojrzął na stolik, wstał gwałtownie, głupawo rozchylił usta, na stoliku przed chwilą była papierośnica, taka z laki, chińska, dostał od tej wdowy sprzed świąt, przed chwilą była, pamiętał doskonale, szuka, nie ma papierośnicy, wrednie przymilny również wstał, może mnie pan posądza, więc zrewidował go Bródka, nie ma, przypomniał sobie, że Wariat wychodząc lekko dłonią po stoliku przesunął, jakby kurz ścierał, więc on, Bródka, przybladł z oburzenia, niech pan nie denerwuje się, uspokajał go wrednie przymilny, na pewno przez pomyłkę wziął, typowe roztargnienia dla, wymienił jakiś termin łaciński, Bródka nie wiedział, co oznacza ten termin i to go rozwścieczyło, otworzył drzwi, proszę wyjść, powiedział drgającym głosem, no, wrednie przymilny dopił swoją wódkę, uśmiechnął się grzecznie i wyszedł.

Bródka zamknął drzwi na sztabę, usiadł na kanapie, butelkę ze stołu chwycił i rozbił o podłogę, skaleczył sobie palec, przytknął do gorzałkowej kałuży, zaszczypało, przestaje, powiedział stanowczo, przestaje, tupnął nogą, i jeszcze zobaczą, wyszeptał, właśnie że kupię futro, uspokoił się, rozejrzał się po mieszkaniu, nie tak wiele straciłem, meble zostały, kołdra też, drugie ubranie też, podszedł do drzwi, sprawdził, czy sztaba dobrze założona, futro kupię, chodziło mu uparcie po głowie, wziął tę grubą książkę, ułożył się na kanapie, przewracał kartki, szelest przyjemny, przymknął oczy, książka wysunęła mu się z rąk.

LOS

W tym miejscu nad glinianką było spokojnie i cicho. Cesiek Główka przygiął do ziemi żółte trzciny, cały kłęb trzciny przygiął, usiadł na tym chrzęszczącym dywaniku i oparł się wygodnie o akację. Czarną kozę przywiązał do przegubu dłoni. Zaczęła szczytać wątlą trawkę na zboczu.

– Kijowy los – powiedział Cesiek. Ten wielki, pleczysty chłop przygarbił się jakoś i twarz pokręcił mu niewesoły, trochę głupkowaty uśmiech.

– Taki los to... w pysk, w serce, wszędziesiął monotannie i zawzięcie. – Bo i co. Niby tyle różności, a nic nie ma. Gorzała, nie powiem, dobre to. Ale ciągle nie można chłać, kałdun wysiada, nery, motorek też. Więc wyskakujesz z gorzałkowania. Z babami to samo. Gnieciesz te cycki, sapiesz, drgawka cię łapie i tak możesz całą noc bez przerwy. Ale też do czasu. Potem mogę ci ten interes i na pysk położyć, nie ruszysz się nawet, nie bierze ani trochę. I tak dalej. Z wszystkiego wysiadasz, dwa jego w mordę mać. Gnijesz tylko i śmierdzisz. Sam smród zostaje.

– Sam – powtórzył i szarpnął postronek, Kozą zastrzygła kosmatymi uszami.

– Tak to jest. Wcale nie żaden farmazon. Nie jestem tabaka i na życiu znam się nieźle. I forsz miałem, dużo czasem, harmonię pięćsetek, bawić się umiałem, a też cykoriowy nie byłem za bardzo i frajerów nieraz tłukłem. Za kłaki, sufitem, frajer pada na pysk. Umiałem się tłuc. Nie pękałem nikogo, bo wiedziałem – albo ty mnie, albo ja ciebie, innego siupu nie ma, więc pękać to raczej nie pękałem. Każdy to powie. Znają mnie chłopaki. Pamiętają. Do końca się tłukłem. Nie było zabawy w straży, żebym nie wystąpił. Nieraz dostałem w globus, nieraz zalałem się czerwoną. O, cały globus w dziurach.

Pochylił krótką, okrągłą głowę, rozgarnął jasne kłaki. Widać białe cętki blizn, większe, mniejsze, dużo tego.

– I w ciurmie też nie raz, nie dwa, i to wcale nie były żadne obozy, tylko ciężkie puszki i nie bałem się nikaki, jego w mordę mać. Rok nie wyrok, dwa jak za brata. Wiedziałem, odsiedzę, wyskoczę, nic mi nie zrobią, zdrow jestem, miechy mam jak dzwon, a i motor nic nie nawala. Więc i głodować mogłem, dziesięć dni głodowałem, dwadzieścia też, w karcu wiele razy, ale nic się nie bałem. Smutno tylko trochę, no bo kraty, za kratami fajne życie, dziwki, gorzała, ale nie za bardzo tym się gryzłem. Na betonie też mocno spałem jak na materacyku najlepszym i żarcie więzienne opychałem za dwóch. Wyrok się kończył, wyskakiwałem za bramę, zapalałem pierwszą fajkę na wolności i mówiłem sobie: dobra jest. Widziałem od razu wszystkie te zabawy, wódę, dziwki, siupy, które będę robił...

Od początku, myślałem, zaczyna się wielki bal.

Muzyka, słońce, flaszka pod papieroska, opalę się na Murzyna, będę leżał od rana do wieczora na gliniankach, pływał crawlmem, po kozacku, delfinem, dobry byłem ;v delfinie, nawet tacy z klubu gadali, że ładnie, i poskaczę sobie porządnie z tej najwyższej wierzby. Już widziałem siebie, jak opalony na brązowo łażę po brzegu, co lepsze sztuki podrywam, chłopaki mi zazdroszczą, bo mam nowe, piękne wzorki, ślicznie kłute, przez git fachowców kłute... Kanada, nowa kanada, powtarzałem sobie, i śpieszyłem się do chaty, jak cholera się śpieszyłem, bo czekało na mnie wszystko przecież, i zupka też czekała, pierwsza klasa, taka specjalna zupka, a w ogóle obiadek taki pierwszy sort, co zawsze matka na moje wyjście. robiła. Wskakiwałem w tramwaj, nawet w największym biegu mogłem wskoczyć, faceci tylko głowami kiwali, bo fachowo, jak należy wskakiwałem...

Ten Cesiek Główka szarpnął koszulę, rozchyliła się szeroko na piersiach, wynurzył się siny tatuaż, gwiazda, kobieta o małpiej twarzy, jej nogi rozrzucone szeroko, taki wulgarny, często spotykany wzór.

– Ale dwa jego w mordę mać – powiedział zawodząco, jakimś psim, smętnym głosem do czasu ten bal. Teraz już nic nie mogę, za Boga Ojca nie mogę.

Odechciało się, rozpieprzyło się wsio. Siedzę tylko w chacie, w tej swojej chacie, stara wyszła za handlem, ona trochę handluje warzywami na placu, palę fajkę, dym nie smakuje, gaszę, wyglą-

dam przez okno, tak godzinami wyglądam, nie chce mi się nigdzie iść, nic mi się nie chce. Więc tak siedzę, nawet w głowie nic mnie nie męczy, pusto we łbie, ten czas leci, już wieczór, stara wróciła, narzeka, że tak siedzę, nic nie robię, kolację zaczyna gotować, bo u nas żre się na gorąco wieczorem, po kolacji też siedzę przy oknie, już wszystkie światła zgaszone, czarno na naszej ulicy. Czasem jakaś dziewczyna z chłopakiem przejdzie, po głosach rozpoznać można, tylko latarnia na rogu jeszcze świeci, bardzo późno już, cichutko ładuję się do kojka, graby podkładam pod głowę i leżę, nie od razu mogę zasnąć, przypominam to i owo, jak to kiedyś na zabawie kuflem w czerep mnie trzasnęli, krew patrzalki zalała, ale drapnąłem za krzesło i tym frajerom duży łomot krzesłem spuściłem, albo w tej „Warszawiance”, cośmy się założyli o stówaka, kto flaszkę wypije za jednym razem, i wypilem, to i śmo jeszcze sobie przypominam, no i wreszcie sen łapie, czasem jeszcze, już tak pół we śnie, o fajnej kobiecie pomyślę, takiej tłustej z dużym zadkiem, miękka jak poducha, dobra... Zawsze lubiłem takie. Ale żeby to mnie męczyło, żebym tak chciał – wstanę, pójdę do kumplów, o nie... Pomyślę troszkę i zasypiam. No i następny dzionek, jeszcze następny, już cały tydzień zleciał, cieszę się, dlaczego, nie wiem, ćwiartkę sobie w niedzielę na sen wypijam, sam tę ćwiartkę wypijam, bo po co mi towarzystwo, czasem tylko starej dam kielicha, ona lubi se chlapanąć. I leci to wszystko jak w więzieniu, pajdka, kima i dnia nima, tylko w takim dobrym więzieniu, jak sanatorium, co to i wyjść można, i w ogóle żadnego apelu, karca, klawiszów nie ma, takie niby więzienie albo sanatorium, a właściwie jeszcze coś zupełnie innego, czy jakaś inna taka polka branzłówka...

Już ze dwa latka tak żyję, starej trochę pomagam, te warzywa przywiozę, buraki, pietruczę, cebulę, na placu postoję, pohandluję, tę kozinę czarną nad stawem pasę, dwa jego w mordę mać...

Ściągnął sznur z dłoni i przywiązał do akacji. Ta czarna, brudna koza ułożyła się wygodnie w gliiniastym wgłębieniu, raz po raz strzygła kosmatymi uszami i spoglądała na niego ludzkim, głupim wzrokiem.

Zdjął buty, zanurzył stopy w zbeltanej wodzie, poruszał nimi przewalście jak wiosłem.

– Dobrze to – skrzywił twarz – ciepła woda, fajnie dla palców, tak przepłukać sobie... Na niejednego to przyjdzie – dodał cicho – musi przyjść, a wtedy kłapa, tak jak wyrok najdłuższy, dożywotka... Już do końca nie ma żadnego sposobu, gryzie to czasem, męczy w środku, chciałoby się skoczyć, tłuc łbem, wyć i zacząć wszystko jak kiedyś, od początku zacząć albo skończyć w ogóle. Ale to już zależy od charakteru, ja mam taki, że już ruszyć się nawet nie mogę, za Boga Ojca nie mogę, i z tym moim charakterem to na to nie ma żadnego sposobu, żadnego. I w ogóle raczej nie znajdzie się mądry na to.

Choć był taki jeden kosior, co nie mógł tego wytrzymać, i walczył, ostro walczył. On Pepo miał przezwisko. Taki mały, chudy jak patyk kozaczek. Siedział w dużych wyrokach, wesoły zawsze był, umiał żyć, wychodził z puszki, zarabiał nieźle, umiał kombinować, znów wpadał, bo w takim życiu to i najlepszy kosior musi wpaść, ale nigdy nie łamał się. I też naszło go to, cholernie naszło. W wyroku akurat był niedużym, półtora roku, zdaje się, że dostał, przy końcu tego wyroku, co to zresztą za wyrok, parę dni, i nic więcej, miskę wyrzucił na korytarz, żyć nie chciał, łbem wybił kafle z pieca, umazał się sadzą, przenieśli go do pojedynki, siedział w tej pojedynce i ostrzył o beton blachę, blacha już ostra jak brzytwę, cieniutka, włoski ścina, on myśli: no, teraz akurat, już można. I zaczął się kroić, wypuszczał żyły, brali go na szpitalkę, zszywali te żyły, wiązali graby, ale on zawzięty był, a już sobie postanowił, i rznął się abarotno, oni pilnowali go, wszystko, co ostre, zabrali mu z celi, leżał wtedy w szpitalnej pojedynce, brzuch miał świeżo zszyty, bo i flaki też sobie wypuszczał, mówił, lubię, jak te flaki tak dymią i z bebecha wyskakują, jak kabel jakiś – śmiał się przy tym ten Pepo jak szczur, drobne ząbki pokazywał, on cholernie się zawzięł, taki mały konus i chudziak, a wielka w nim krzepa była. Więc pilnowali go te wszystkie klawisze, pielęgniarze i doktory, a on gdzieś kawałek żyletki skombinował i schował pod językiem, poleżał se spokojniutko pod kocym, poczekał, aż odejdą, i wtedy się porznął, jak poszli sobie, i jak się porznął, mądralka, żyły zapalką podważał, bo mały miał kawałek żyletki, i wtedy dopiero kroił. Poharatał się mocno, przykrył kocym i znów leży cichutko, pewnie dobrze mu było, cieszył się,

coraz lepiej, na pewno taki rzadki się zrobił jak mgiełka albo jakby sen go złapał łagodny, przyjemny, co same fajne rzeczy się mającą. No i nie udało mu się. Ta czerwona strugami spod koca ciekła i zobaczyli. Odratowali. Nie wyszło mu to, co chciał.

Co teraz robi, nie wiem, może następny siup wyszedł mu na czysto, ale nie wiem na pewniaka, raczej wyszedł, bo się zawziął, a i osłabiony był, to i niewiele mu już brakowało do końca.

Fajny był chłopak, siedziałem z nim, oblatany, równy, ostatnią fajką się podzielił, opowiadać umiał filmy, taki mały suchy, z łapkami jak dziewczynka.

Zapalił papierosa.

– Ale ja bym tak nie mógł – mruknął nie każdy może iść na takie numery, nie to, żeby strach, czy coś, tylko raczej mnie to nie pasuje.

Zawinął spodnie i głębiej zanurzył nogi w burej, zmaconej wodzie.

– Zupełnie nie pasuje – silnie poruszył stopami, woda zabulgotała. Westchnął z zadowoleniem.

– Ciepła woda, dobra.

Uniósł stopy i wytarł o trawę.

– Wykąpać by się warto kiedy. Wstał.

– Późno już...

Czarna koza też się podniosła.